

**SAMO
ŻYCIE**

HISTORIE, KTÓRE
WYDARZYŁY SIĘ
NAPRAWDĘ

Jen Waite

Z RAJU DO PIEKŁA

Opowieść o małżeństwie i zdradzie



Jen Waite

Z raju do piekła

*Opowieść o małżeństwie i
zdradzie*

Przełożyła
Berenika Janczarska

Tytuł oryginału: *A BEAUTIFUL, TERRIBLE THING*

Redakcja: Agnieszka Niegowska

Korekta: Natalia Celer / Słowne Babki

Projekt okładki: Magda Kuc

Zdjęcie na okładce: Wulf Voss/EyeEm/Getty Images

This edition published by arrangement with Plume, an imprint of Penguin Publishing Group, a division of Penguin Random House LLC.

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca 2018

Copyright © for the Polish translation by Berenika Janczarska 2018

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 9788380159044

Wydawnictwo
**CZARNA
OWCA**
www.czarnaowca.pl

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

www.czarnaowca.pl

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: sklep@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Dla V.

Wszystko jest dla Ciebie. Wszystko. Wszystko.

„Z ust Matki Bożej prawdę poznałem

Co jak ogień gorze,

Że niebo czarne się staje,

I wyżej wznosi się morze”

G.K. Chesterton, *Ballada o białym koniu*

Od Autorki

Ta książka jest zapisem mojego osobistego doświadczenia. Terminy „socjopata” i „psychopata” są powszechnie stosowane na określenie osoby cierpiącej na zaburzenia osobowości. Choć poczyniłam wiele odkryć, opierając się na osobistych przeżyciach i obserwacjach, nie jestem specjalistą w dziedzinie psychiatrii, wobec czego moje stwierdzenia nie mają mocy diagnozy klinicznej.

Powietrze pulsuje. Trzymając na kolanach naszą trzytygodniową córkę, wpatruję się w ekran komputera, który używamy do spótki z mężem, i czuję, jak ściskają mi się trzewia. Czytam pierwszą linijkę mejla i żołądek podchodzi mi do gardła. Próbuję wziąć głęboki oddech, ale nie daję rady zaczerpnąć powietrza. Niechże to dziecko się uspokoi... Na pewno jest jakieś logiczne wytłumaczenie tego, co widzę. To jakieś kosmiczne nieporozumienie. Mąż mi to wyjaśni i wszystko będzie w porządku. Nie ma powodu, by podnosić alarm. Jak tylko usłyszę jego głos, oddech wróci. Jedną ręką przytrzymuję małą, która cały czas płacze, drugą sięgam po komórkę.

PRZEDTEM

Marco. To on, czułam to w trzewiach, to ten mężczyzna. W końcu zrozumiałam, co to znaczy, że coś się „po prostu wie”. Wiedziałam, że to Marco. Po prostu. Poznałam go w restauracji Square, gdzie oboje pracowaliśmy. Zatrudniłam się jako kelnerka, bo z aktorstwa i modelingu, którymi się parałam, nie dało się utrzymać. Dwa lata po ukończeniu college’u rzuciłam pracę analityka w funduszu hedgingowym i postanowiłam zostać pełnoetatową aktorką. Jak to mówią, raz kozie śmierć. W teorii brzmiało to wspaniale. Ale rok później tułałam się z przesłuchania na przesłuchanie, z castingu na casting, a największym sukcesem, jaki miałam na koncie, była reklama wódki. Poszukiwano „blondynki, ładnej, ambitnej, o szwedzkiej urodzie”. Pierwsze odhaczone, drugie odhaczone (acz z pewnym wahaniem), trzecie odhaczone i ostatnie także. W efekcie powstało moje opus magnum – dwadzieścia sekund gapienia się w oczy faceta o ciosanej twarzy, którego poznałam kilka godzin wcześniej, i stukania kieliszkiem o kieliszek. Kelnerowanie – by opłacić rachunki – to dość oklepany schemat, ale było jedynym wyjściem, a poza tym wprowadziło w moje codzienne życie jakiś ład.

Pierwszego dnia na szkoleniu w Square, modnej restauracji położonej kilka przecznic od mojego mieszkania, przy wielkim okrągłym stole wraz z dziesięcioma innymi pracownikami słuchałam Bruce’a, drobnego żywiołowego menedżera, omawiającego „etykiety i standardy obsługi”. Była to moja druga praca w charakterze kelnerki – w pierwszej restauracji, tej sieciowej w centrum miasta (jedyne miejsce, które zatrudniało pracowników bez doświadczenia), przepracowałam tylko dwa miesiące. Bruce dreptał po sali w tę i w tę, pokazując nam, kiedy podawać noże do steku, a kiedy do masła, ja zaś w tym czasie lustrowałam spojrzeniem twarze osób siedzących przy stole. Zatrzymałam wzrok na ciemnobrązowych oczach jednego z barmanów, wysokiego Latynosa z czarnymi, gładko zaczesanymi włosami i skórą w odcieniu mokki. Sądząc po akcencie, już od dłuższego czasu mieszkał w Stanach – mówił płynnie, pewnie. Gdy nasze spojrzenia przelotnie się skrzyżowały, posłał mi niewymuszony uśmiech. Odwróciłam wzrok, modląc się, by na twarzy nie wystąpił mi rumieniec.

Dawno temu przekonałam się, że najlepsza strategia na przetrwanie w Nowym Jorku to mieć się cały czas na baczności; w rodzinnym Maine natomiast miałam chłopaka i choć był to związek na odległość, byłam w nim szczęśliwa. Jeff, bo tak mojemu chłopakowi było na imię, miał jasnoblękitne oczy, kręcone kasztanowe włosy i sylwetkę wyrzeźbioną od codziennej pracy na budowie. Gdy zobaczyłam go nago, pomyślałam, że oto jakiś grecki bóg zstąpił z Olimpu. Nigdy wcześniej nie widziałam na żywo takiego ciała. Poznaliśmy się, gdy pojechałam na wakacje do domu, by zaopiekować się mamą, która dochodziła do siebie po operacji. Lato się skończyło, a ja wróciłam do Nowego Jorku. Nasze wypełnione pijaństwem noce spędzane na jego kanapie przeszły w długie godziny rozmów telefonicznych, a to, co miało być przelotną miłością, przerodziło się w romans, który trwał już rok. Nasz związek, sprowadzający się do wymiany esemesów i sporadycznie spędzanych razem weekendów, był uroczy w swej prostocie, a Jeff potrafił rozśmieszyć mnie do łez.

Szkolenie dobiegło końca; spakowałam notes i długopis i zsunęłam okulary na czubek głowy. Już stałam przy drzwiach, choć nikt inny jeszcze nie odszedł od stołu, gdy nagle poczułam, że ktoś jest za mną. A potem otwiera przede mną drzwi. To ten Latynos.

– Jen, dobrze zapamiętałam?

Doskonale, gdyby nie to, że w jego ustach zabrzmiało to jak „Dżin”.

– Mhm, tak. Wybacz, właśnie...

– Marco. Starszy barman. Bruce prosił, bym po spotkaniu rozdał wszystkim te pakiety pracownicze, ale uciekłaś, zanim zdążyłem... – powiedział, podając mi zwinięte w rulon kartki papieru.

– Och, przepraszam. Właśnie... Dzięki.

Nie miałam teraz wyboru – musiałam spojrzeć mu prosto w oczy i się uśmiechnąć.

– Widzę, że bardzo się śpieszysz – rzucił, mrugając porozumiewawczo, i odszedł, zanim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć.

Nazajutrz ćwiczyliśmy przy barze, by sprawdzić, jak szybko barmani uwiną się z drinkami.

– Wbij teraz trzy drinki na trzy różne zamówienia. Raz, raz, raz. – Bruce zwrócił się do mnie szeptem i potarł dłonią o dłoń.

Wbiłam trzy różne drinki.

– Ach! Margarita z jalapeño dla... Dżin – powiedział Marco, odczytując pierwsze zamówienie.

Spurpurowiałam. Wydrukowało się kolejne zamówienie.

– I mohito dla Dżin – kontynuował Marco z półuśmiechem.

Odwzajemniłam go, gdy przyszło trzecie.

– Martini z cytryną, bez lodu. Czekaście... Niech zgadnę... – Podniósł wzrok i zrobił wymowny grymas. – Dla Dżin!

– Sorry – rzuciłam ze śmiechem, kierując się do baru. – Zlecenie od Bruce’a – wyszeptalam, gdy podeszłam wystarczająco blisko.

– Nie przepraszaj – odparł. – Przygotowując je, będę miał przynajmniej miły widok.

– Aha – rzuciłam, zmuszając się, by spokojnie zaczerpnąć powietrza, a potem równie spokojnie wypuścić je przez nos.

Ostatniego dnia szkolenia, wieczorem, przed planowanym na kolejny dzień otwarciem restauracji dla przyjaciół i rodziny właścicieli, wszyscy jednogłośnie postanowiliśmy pójść na drinka do baru dwie przecznice dalej. Udałam się do łazienki, by zdjąć uniform.

– Idziesz do Doyle’a, Dżin?

Gdy podniosłam wzrok, zobaczyłam, że w moim kierunku idzie Marco z małą sportową torbą w ręku.

– Tak. Muszę się tylko przebrać.

– To zaczekam na ciebie. Wszyscy już poszli – powiedział z uśmiechem.

– Okej... Zaraz będę gotowa.

Serce mi waliło, gdy wkładałam džinsy i luźny podkoszulek. Wyszłam przez główną salę. Marco czekał na mnie przy dużych szklanych drzwiach wejściowych.

– Pani przodem. – Przytrzymał drzwi.

– A jednak rycerze nie są wymarłym gatunkiem – rzuciłam z krzywym uśmiechem.

– Taki już mój latynoski urok. Mam go w genach – odparł zupełnie poważnie.

– Czyżby?

Gdy w drodze do Doyle’a dotknęliśmy się na chwilę ramionami, wstrzymałam oddech. W barze usiedliśmy z resztą personelu. Ja obok Andrew, kelnera ze świecą łąsiną i z wielkimi śnieżnobiałymi zębami, który natychmiast uraczył mnie opowieścią o problemach, jakie ma ze swoim obecnym chłopakiem. Marco zamówił dwie wódki z wodą gazowaną – jedną postawił przede mną.

– Podwójna wódka dla Dżin.

Obdarzył mnie uśmiechem.

Gdy siadał naprzeciw mnie, ni stąd, ni zowąd naszała mnie myśl: ten mężczyzna będzie

moim mężem. Aż się wzdrygnęłam. Upiłam łyk przez słomkę, skupiając się na chłodnym płynie spływającym mi po gardle. Przez następną godzinę rozmawiałam i żartowałam z Andrew i Karly, wysoką kelnerką o blond włosach. Dotąd Karly wydawała mi się niedostępna, ale po dwóch piwach okazała się słodką trzpiotką z Kalifornii. Powiedziała, że udaje żonę, by uniknąć zalotów ze strony pomocników kelnerów, którzy najwyraźniej czuli do niej szczególny pociąg, choć przewyższała ich prawie o głowę. Cały czas miałam w pamięci, że Marco siedzi naprzeciw mnie, i chociaż oboje byliśmy pogrążeni w rozmowach z różnymi osobami, czułam, że każde słowo i każdy gest kieruję tylko do niego.

Gdy podwójna wódka zrobiła swoje, rozluźniając mięśnie i zarumieniając policzki, przywarłam kolanem do jego kolana. Przez chwilę nie działo się nic, a potem poczułam napór. Nie daliśmy po sobie poznać, co dzieje się pod stołem, i reszta towarzystwa nic nie zauważyła.

Około drugiej wszyscy się pozęgnali, a ja rzuciłam w stronę Marca:

– Na pewno zamówiłeś mi podwójną? Straszna słabizna.

– W takim razie zamówię ci jeszcze jednego. Nie pozwolę ci odejść z poczuciem niedosytu – powiedział z uśmiechem i zamiast wyjść ze wszystkimi, skierował się do baru.

Karly zatrzymała się w drzwiach.

– Nie idziecie? – spytała.

– Nie, wypijemy jeszcze po jednym. Do zobaczenia jutro!

„Wyhamuj” – wyszeptał jakiś głos w mojej głowie. A ja, zamiast go posłuchać, upiłam duży łyk drinka, który Marco właśnie przede mną postawił.

Chciał wiedzieć o mnie wszystko. Patrzył na mnie w bardzo szczególny sposób, przenikliwy i pełen zgęstniałego napięcia, jakbym była jedyną osobą w barze. Opowiedziałam mu o dorastaniu w małym miasteczku na wybrzeżu Maine. O dzieciństwie na piaszczystych plażach i kąpielach w lodowatej wodzie, od której dostawałam bólów głowy. O nocnych gonitwach w berka z dziećmi z okolicy. O rodzicach – czułych, ciepłych, zabawnych, ale surowych, kiedy trzeba – i o tym, jak wszyscy mi ich zazdrościli. Mama pięła się po szczeblach menedżerskiej kariery w korporacji L.L. Bean, a tata był informatykiem. Opowiedziałam Marcowi o tym, jak ojciec oznajmił, że rzucił pracę i zamierza założyć własną firmę. Nawet jako jedenastolatka wiedziałam, że to coś wyjątkowego, powód do dumy, ale mimo to czułam niepokój. Jego dwa pierwsze przedsięwzięcia biznesowe okazały się klapą, no i widywaliśmy się coraz rzadziej, bo pracował coraz dłużej. Mama dostawała migren. Atmosfera w naszym domu po raz pierwszy stała się napięta. Wreszcie po czterech latach i trzech plajtach rodzice zawołali mnie i siostrę do jadalni i wskazali gazetę leżącą na kuchennym stole. Małe notka zakreślona długopisem oznajmiała: „Cimaron zagarnięty przez AMCC”. Zapiszczałyśmy z radości. Firma taty została kupiona przez większe przedsiębiorstwo – nie poznałyśmy szczegółów, ale od tego dnia atmosfera w domu się rozluźniła.

Nie mam zwyczaju dużo mówić o swojej przeszłości, ale Marco patrzył na mnie takim wzrokiem, jakby widział mnie na wskroś, jakby wiedział, kim naprawdę jestem. O wszystko pytał i gdy doszłam do opowieści o Jeffie, cała spurpurowiałam. Marco skwitował to uśmiechem i zaczął mówić o sobie. Zrewanżował się opowieścią o dorastaniu w Argentynie, o wakacjach na wsi u dziadka, o królikach, którymi się tam opiekował (dopiero dużo później wyznał, że wiele z nich skończyło na ich talerzach), o wakacyjnej wyprawie do Stanów Zjednoczonych, na którą udał się w wieku osiemnastu lat (po ukończeniu wojskowej szkoły średniej) z mamą, tatą i ze straszą siostrą. Ta podróż odmieniła jego życie. Po spędzeniu tygodnia w Nowym Jorku zakochał się w żywiole tego miasta i choć po angielsku potrafił wydukać zaledwie pięć słów, odmówił wejścia na pokład samolotu, który miał ich zawieźć do domu. To był instynkt, decyzja podjęta w ułamku sekundy, która zaowocowała zupełnie nowym życiem w obcym kraju, w najbardziej

ekscytującym mieście świata. Pięć lat później, gdy miał zaledwie dwadzieścia trzy lata i pracował jako barman, jego dziewczyna, Polka, zaszła w ciążę. Zerwała z nim, gdy ich dziecko miało rok. Marco został w Nowym Jorku, bo chciał być blisko syna. Błagał swoją partnerkę, by dla dobra rodziny walczyła o ten związek, ale ona zamieszkała już z kimś innym. Dała mu tydzień na zabranie rzeczy z mieszkania, by mógł się do niego wprowadzić jej nowy chłopak. To było siedem lat temu.

– Nikomu nigdy nie mówiłem o tym wszystkim – powiedział powoli, podnosząc wzrok, wbity dotąd w splecione dłonie.

– Tak mi przykro. To... – Wysunęłam dłoń i musnęłam jego ramię.

Chciałam wiedzieć o nim wszystko, ale on odchrząknął i się uśmiechnął.

– Chyba zaraz zamykają. Dopijaj.

Nachyliłam się, by wysączyć przez słomkę resztkę wódki.

– Nie rób tak.

– Czyli jak? – spytałam.

– Nie nachylaj się tak.

Zerknęłam na swój dekolt, bardzo głęboki dekolt.

– No właśnie. Chyba już na mnie czas...

Marco odprowadził mnie. Pod domem przytuliliśmy się do siebie. Gdy nasze ciała do siebie przywarły, poczułam, jak przesywa mnie prąd.

– Lepiej uciekaj do środka – rzucił Marco ze śmiechem. – Bo jak nie, to jeszcze spróbuję cię pocałować. A nie chciałbym wyjść na głupka.

Poczerwieniałam, ucieszona.

– Dobranoc, Marco.

– Dobranoc, Dżin.

POTEM

Wrzaski Louisy wypełniają mi uszy i zalewają obszar mózgu odpowiedzialny za podejmowanie decyzji. Mój umysł, zwykle lotny i bystry, utknął w miejscu. Mam trudności ze sformułowaniem najprostszej myśli. W jednej ręce wciąż trzymam telefon; na drugiej leży Lulu. Przeglądam ostatnie połączenia i znajduję Mi Amor, ale zanim naciskam „Połącz”, mój umysł się otrząsa. Odkładam telefon na stolik. Znowu patrzę na mejl. Jest prawie sprzed dwóch tygodni, z dziewiątego stycznia. Dwa tygodnie temu byłam z Lulu w Maine u rodziców. Szef Marca w pierwszych tygodniach stycznia wziął urlop, i Marco miał rzekomo urwanie głowy w Angel’s Wing, modnej restauracji w centrum miasta, w której jest menedżerem.

– Kochanie, powinnaś pojechać z Louisą do Maine. Nie będę w stanie ci pomagać, a czułbym się paskudnie, wiedząc, że wszystko jest na twojej głowie.

Pomyślałam wtedy: „Mój kochany mąż pracoholik... żyły sobie wypruje, żebyśmy tylko mieli co włożyć do garnka...”. Byłam dumna, że mam przy swoim boku tak troskliwego człowieka, człowieka, który zrobi wszystko, by jego rodzinie niczego nie zabrakło, nawet jeśli miałby tyrać przez czternaście godzin na dobę. Tamtego ranka, pierwszego stycznia, gdy wyjeżdżałam z Lulu do Maine, pocałowałam go na pożegnanie i wybuchłam płaczem.

– Skarbie, nie płacz. To tylko parę dni. No proszę, nie płacz już – powiedział.

– Wiem, wiem. Przepraszam – wydukałam między jednym szlochem a drugim. – To hormony. Kocham cię, jak nie wiem co.

– Ja ciebie też. Bardzo.

W tamtej chwili nie potrafiłam wytłumaczyć, dlaczego czasami, ni stąd, ni zowąd, zalewała mnie fala miłości do mojego męża. Nie miało to nic wspólnego z hormonami.

Dlaczego czasami śniło mi się, że go tracę? Budziłam się wtedy gwałtownie i gdy uświadamiałam sobie, że leży obok, oddychałam z ulgą, a potem długo wpatrywałam się w pieprzyk pod jego okiem, podczas gdy on cicho pochrapywał. Zaczęłam do niego mówić: „Kocham cię, jak nie wiem co”, bo wydawało mi się, że słowo „bardzo” nie pomieści całej mojej miłości.

Otworzyłam komputer po raz pierwszy od trzech tygodni, jakie upłynęły od narodzin Louisy. I teraz znowu spoglądam na mejl. Przebiegam wzrokiem po dzisiejszej dacie widniejącej w prawym górnym rogu. Dwudziesty stycznia. Niezdarnie przesuwam kursor do wiersza z tytułem „Spotkanie”. Marco przesłał mejl do kogoś innego – do jakiejś kobiety. Klucie w brzuchu narasta, w głowie nadal coś nie zaskakuje; neurony nieruchomieją i zerkają po sobie niespokojnie, zamiast łączyć się i tańczyć jak zazwyczaj. Mimo mętliku w głowie udaje mi się zalogować do Facebooka. Wolną ręką wpisuję w wyszukiwarkę obco brzmiące imię „Viktoria”. Wyświetla się profil. I jeden wspólny znajomy. Mój mąż. Źle to wygląda.

PRZEDTEM

Miałam wolny dzień i rano przygotowywałam się do trzech przesłuchań, które czekały mnie po południu. Jedno do reklamy psiej karmy, drugie do alternatywnego teatru i trzecie do popularnego programu telewizyjnego – zwyciężczyni miała w nim wyrecytować dwie linijki tekstu. Na każdym musiałam inaczej się zaprezentować i na każde inaczej się ubrać. Ledwo mi się zmieściły do plecaka ubrania, buty i kosmetyki, potrzebne na cały ten dzień.

Wszystkie trzy przesłuchania poszły dobrze. Nie źle, nie wspaniale, po prostu dobrze. W zasadzie skończyły się, zanim do mnie dotarło, że w ogóle się zaczęły. Z każdego wychodziłam z duszą na ramieniu. Przymilne „Dziękuję” rzucane przez reżyserów brzmiało jak: „Nie będę o tobie pamiętał dłużej niż pięć minut, ale dzięki za fatygę”. Po wszystkim poszłam na stację, rozmyślając o tym, jakie popełniłam błędy.

Dźwięk telefonu przywrócił mnie do rzeczywistości. „Drink u Doyle’a?”

Serce mi przyśpieszyło, a wszystkie myśli o aktorskich porażkach rozpięzły się wobec perspektywy zobaczenia Marca. Było wpół do piątej. Trochę wcześniej na drinka, ale myśl o zaszcyciu się w ciemnym chłodnym barze woniejącym starym piwem i orzeszkami wydawała się cudownie wyzwalająca. Nie miałam żadnych planów, żadnych obowiązków, donikąd się nie śpieszyłam, nikt na mnie nie czekał. Poza Jeffem.

„Tylko jeden drink – powtarzałam sobie. – Jeden drink z kolegą z pracy to żaden grzech”. „Za pół godziny” – odpisałam i pobiegłam w dół po schodach, żeby złapać pociąg wjeżdżający na stację.

Marco miał na sobie czarny T-shirt, pod którym zarysowywały się jego szczupłe umięśnione ramiona. Na przedramieniu miał wytatuowany cytat z Nietzschego: „Gdy zbyt długo patrzysz w czeluść, czeluść zaczyna patrzeć na ciebie”. Był seksowny i tajemniczy, i nagle zapragnęłam go ponad wszystko. Usiadłam obok niego przy barze i przebiegłam palcem po tatuażu.

– Dość posępne – stwierdziłam.

– Zrobiłem go sobie, gdy zostawiła mnie matka mojego syna. Miałem wtedy dwadzieścia pięć lat. Postanowiłem, że już nigdy więcej nie będę szukał szczęścia.

Powiedział mi, że po odejściu Natalii, czyli matki Seba, związał się z dziewczyną z Europy Wschodniej Tanią, hostessą pracującą w tym samym miejscu co on. Uprzedził ją, że nadal kocha kogoś innego i nie jest gotów na poważny związek, ale wyszło tak, że zostali ze sobą siedem lat. Smutnych siedem lat, wypełnionych kłótniami i nieufnością. Spytałam, po co w takim razie tak długo tkwili w tym związku. Odpowiedział, że był dla nich obojga niczym kula ortopedyczna; żadne z nich nie było szczęśliwe, ale oboje bali się, że po zerwaniu zostaną z niczym. W końcu przed kilkoma miesiącami rozstali się.

Marco uciekł wzrokiem.

– Muszę ci o czymś powiedzieć – rzucił.

– Tak?

Rytmicznie stukaliśmy pod stołem nogą o ziemię, a potem zaplotłam ręce na kolanach. Przeczuwałam to. Ma dziewczynę. Ale zaraz przypomniałam sobie, że ja też mam chłopaka.

– Jestem tu nielegalnie. Mieszkam w Stanach od dwunastu lat jako nielegalny imigrant. Nie mogę pojechać do domu i odwiedzić rodziny, pracuję tylko na czarno. Kilka miesięcy temu zmarła moja babcia, a ja nie mogłem nawet pojechać na pogrzeb i się z nią pożegnać... – Głos mu się załamał.

Przez chwilę milczeliśmy, a ja szukałam właściwych słów. Marco przysunął krzesło bliżej

do stołu, tak że nasze kolana otarły się o siebie.

– Wiesz... nie miałem złudzeń co do tego, że mogę być jeszcze szczęśliwy... dopóki nie poznałem ciebie...

Spojrzał na mnie z taką mieszaniną smutku i strachu, że aż zakręciło mi się w głowie. Zanim się zorientowałam, już się ku niemu pochylałam. Musnął dłonią mój policzek, nasze usta się spotkały i rozwarły. Serce mi waliło. Spletliśmy języki i zapomnieliśmy o Bożym świecie. Ten pocałunek był inny. Na dwadzieścia sekund teleportowałam się na drugą planetę, na której istniał tylko Marco. Gdy się od niego odsunęłam, przypomniał mi się, że nadal jesteśmy w barze, a barman stoi kilka metrów od nas, spojrzał na mnie czule i założył mi kosmyk za ucho.

– Rany... – powiedział z przeciągłym westchnieniem.

– Chcesz pójść do mnie? – spytałam pośpiesznie.

„Co ty wyprawiasz?” – krzyczał jakiś głos w mojej głowie.

Weszliśmy do mojego mieszkania i poprowadziłam Marca do sypialni. Gdy położył mnie na łóżku i zaczął powoli rozpinąć koszulę, całować mnie po szyi, piersiach, brzuchu, rozplakałam się. Splótł swoje palce z moimi.

– Mogę przestać – wyszeptał.

Przytaknęłam, nie będąc w stanie wydusić z siebie ani słowa, zawstydzona, że wyszłam na oszustkę, a nie na podniecającą, żadną przygód „niegrzeczną dziewczynkę”, jaką chciałam zgrywać. Usiadł obok mnie i pocałował czule, ocierając mi łzy kciukiem.

– Przepraszam. Kretynka ze mnie – wybełkotałam. – Myślałam, że to łatwe, ale... Nigdy dotąd nikogo nie zdradziłam i...

– W porządku. Nie musisz przeproszać.

Pocałował mnie raz jeszcze i objął w talii. Pocałunek przybrał na intensywności.

Tym razem to ja sięgnęłam do jego spodni, by rozpiąć mu pasek. Miałam kontrolę nad sytuacją i w miejsce lęku zupełnie nagle pojawiła się odwaga. Wciągnęłam Marca na siebie, wprowadziłam do środka; przez cały czas patrzyliśmy sobie w oczy. A gdy było po wszystkim, nie czuliśmy ani niezręczności, ani rozczarowania, które zwykle pojawiają się po pierwszym razie z kimś nowym. Leżeliśmy tak i patrzyliśmy sobie w oczy, a ja myślałam o tym, że muszę zerwać z Jeffem.

Gdy pół godziny później Marco zbierał się do wyjścia, nasz pożegnalny pocałunek na nowo nas rozpałił. Marco przycisnął mnie do ściany, obrócił, ściągnął dżinsy i wszedł we mnie gwałtownym pchnięciem, aż przygryzłam wargę, na pół w ekstazie, na pół w nerwach, bo w każdej chwili mogła wrócić moja współlokatorka. Gdy zamknęły się za nim drzwi, jeszcze oszołomiona, wolniutko wróciłam do sypialni i znowu się rozplakałam. Dopadła mnie rzeczywistość.

Następne kilka dni pamiętam jak przez mgłę. Bez przerwy myślałam o Marcu.

Z Jeffem zerwałam, gdy przyjechał do mnie następnym razem. Powiedziałam mu, że związek na odległość nie ma sensu, że mamy różne priorytety, ale tak naprawdę chodzi o to, że poznałam kogoś innego i sprawy zaszły już za daleko. Płakałam, bo on płakał, ale było to jak zerwanie plastra z rany – chwilowy ból, potem lekkie pieczenie, które wkrótce ustaje.

W te dni, w które miałam zmianę razem z Markiem, dosłownie biegłam do pracy susami. Kiedyś weszłam do restauracji rano i od razu sprawdziłam rozpiskę wywieszoną w szatni. Marco przyjdzie za kilka godzin! Szybko przebrałam się w czarną koszulę i spodnie, przez cały czas uśmiechając się i nucąc pod nosem.

– No, no, widzę, że humor dopisuje. Udana randka? – spytał Andrew, który właśnie wparował do przebieralni.

– Nie. Po prostu jestem szczęśliwym człowiekiem. Nie każdy musi mieć żółowatość

w oczach jak ty i Karly – odparłam z uśmiechem.

– Zaraz, zaraz, przecież ty jesteś z Maine... Zupełnie zapomniałem... A Maine to kraina szczęśliwych ludzi. Pomieszkać w Nowym Jorku trochę dłużej, to zobaczysz. Odechce ci się podśpiewywać i szczerzyć od ucha do ucha. Zamiast „dzień dobry” będziesz mówić „suñ się, zdziro”.

Roześmiałam się.

– Niewykluczone. Czyż nie uczę się od mistrzów?

– Tak jest, skarbie – rzucił na odchodne.

Kilka godzin później, gdy Marco szykował się do swojej zmiany, podeszłam ukradkiem do baru.

– O, cześć. – Przywitał się. – Nie wiedziałem, że dzisiaj pracujesz.

– Mam dwie zmiany.

– O rany. – Uśmiechnął się, a potem ściszył głos: – No to już po mnie.

– Co się stało? – spytałam, rozglądając się wokół.

– To się stało, że jak cię widzę, robię się bardzo, ale to bardzo wesoły – odparł. – Rzuciłaś na mnie jakiś urok czy co?

Ponieważ właśnie minął nas Bruce, Marco powiedział nienaturalnie głośnym tonem:

– Jen, pomożesz mi przynieść beczkę z chłodni? Podpinamy ciemne ale.

– Przysłać wam do pomocy któregoś z chłopaków? – rzucił Bruce.

– Nie, nie – odparowałam pośpiesznie. – Damy radę. Jestem silniejsza, niż wyglądam.

– A gdy szliśmy przez kuchnię, spytałam szeptem: – Naprawdę podpinamy ciemne ale?

– Może tak... A może nie... – odpowiedział Marco z szerokim uśmiechem.

Zamknął za nami drzwi chłodni i objął mnie ręką w talii.

– Cześć – powiedział.

– Cześć.

– Masz pojęcie, jaka jesteś śliczna? – spytał, zgarniając mi pasmo włosów z czoła.

– A ty zdajesz sobie sprawę, jaki jesteś banalny? – skwitowałam ze śmiechem, czując na ciele dotyk jego palców i napierający tors.

– E tam, to właśnie mój latynoski urok – odparł.

Zastanawiałam się, czy Marco czuje, jak wali mi serce. Przechylił głowę, ujął mój podbródek, przyciągnął mnie do siebie i złożył mi na ustach długi namiętny pocałunek.

– Mógłbym cię tak całować cały dzień – powiedział, a mnie serce zabiło jeszcze mocniej.

– Ale niestety ktoś może zauważyć naszą nieobecność.

– I przemarzlibyśmy na kość – dodałam.

– Nie martw się. Znalazłbym jakiś sposób, żeby nas rozgrzać. – I puścił do mnie oko.

– Muszę wracać do moich stolików – oznajmiłam i ruszyłam do drzwi.

– Hej, a beczka?

– Myślałam, że to podstęp.

– Skądże. Po prostu chciałem połączyć przyjemne z pożytecznym.

Przez kolejne kilka tygodni każda sekunda wypełniona była myślami o Marcu. Ilekroć byliśmy razem, czułam się jak odurzona. Miałam dziwne poczucie, że po raz pierwszy widzę świat w kolorach i że nawet nie wiedziałam, iż dotąd oglądałam go w odcieniach szarości. Wysyłaliśmy do siebie setki esemesów dziennie; gdy co rano czytałam wiadomości od Marca, zalewała mnie fala endorfin: „Dzień dobry, piękna”, „Pobudka, bóstwo ty moje”, „Jak to możliwe, że dajesz mi tyle szczęścia?”. W pracy zachowywaliśmy się jak para zadurzonych w sobie nastolatków – choć staraliśmy się udawać obojętnych, ponosiliśmy sromotne porażki. Spotykaliśmy się w szatni, by wymienić słone gorące pocałunki, tym bardziej namiętne

i szaleńcze, że w każdej chwili mogliśmy zostać nakryci. Często chodziliśmy ze wszystkimi do Doyle'a i zawsze zostawaliśmy na „jeszcze jednego drinka”. Gdy wszyscy inni wychodzili, Marco przysuwał się do mnie, muskał mnie palcem po szyi i opowiadał o swoich marzeniach, by któregoś dnia otworzyć własny bar. Ja zaś zwierzałam się, jak bardzo się boję, że nie uda mi się odnieść sukcesów w aktorstwie, a to jedyna rzecz, jaką naprawdę chciałam robić.

Tyle że nie było to już prawdą. Bo teraz najbardziej na świecie pragnęłam być z Markiem. Chciałam, żeby to było moim pełnoetatowym zajęciem. Nie miało znaczenia, gdzie i co robimy, po prostu chciałam być blisko niego, na zawsze.

Pod koniec września Marco oznajmił, że jego siostra, która mieszka w Danii razem ze swoim mężem bankierem, urodziła pierwsze dziecko, synka imieniem Domenico. Poprosił mnie, żebym poszła z nim wybrać prezent dla maluszka. Spotkaliśmy się u Bloomingdale's. Było piękne roziskrzone popołudnie. Marco otoczył mnie ramieniem; wjechaliśmy na piętro z konfekcją dziecięcą. Powoli przechadzaliśmy się między wieszakami, macając śpioszki po pięćdziesiąt dolarów, przebiegając palcami po jedwabnych dziecięcych kimonach, oglądając kostiumik kąpielowy za czterysta dolarów z falbaniastą różową spódniczką z tiulu i cały czas się śmialiśmy. Atmosfera drogiego domu towarowego, sposób, w jaki Marco nachylał się, by pocałować mnie w szyję, cudowna nowość dziecięcych ubranek – wszystko to upoiło mnie silniej niż jakakolwiek wódka. W końcu postanowiliśmy kupić małą białą koszulkę z zarysem panoramy Manhattanu, elegancką i idealną dla turystów.

W drodze na parter Marco wyciągnął mnie z windy i poprowadził do Forty Carrots, gdzie zamówił dla nas małą porcję mrożonego jogurtu z polewą z masła orzechowego. Sprzedawczyni wręczyła nam kopiasty kubeczek jogurtu – spirala bieli zwieńczona górą białej czekolady i masła orzechowego.

– To najpyszniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek jadłam – powiedziałam, gdy Marco wsunął mi łyżeczkę do ust.

– Byłem pewien, że ci posmakuje – odparł, zanurzając łyżeczkę w kubku i wkładając mi do ust kolejną porcję.

Po trzeciej łyżeczce zaproponowałam, żeby sam spróbował.

– O nie, nie znoszę masła orzechowego – odrzekł z uśmiechem.

– Jak to? To dlaczego je zamówiłeś? – spytałam.

– Wspomniałaś kiedyś, że je uwielbiasz.

Marco z zadowoleniem patrzył, jak się zajadam deserem.

– Warto tylko patrzeć, jak to cię uszczęśliwia – powiedział i włożył moje palce sobie do ust, zlizując z nich resztki jogurtu. – Chyba nigdy się tobą nie nasycę – dodał, przyciągając mnie do siebie tak blisko, że aż poczułam, jak narasta jego podniecenie.

„Doskonale wiem, co masz na myśli” – westchnęłam w duchu.

POTEM

– Czy mogę prosić Marca? – pytam uprzejmie, starając się opanować drżenie głosu.

– Chwileczkę – odpowiada hostessa.

Czekając, znowu zerkam na mejl. „Moja dziewczyna i ja zdecydowaliśmy się na inne mieszkanie, ale dziękuję Panu za poświęcony czas”. Dziewczyna, dziewczyna, dziewczyna. Dlaczego mój mąż nazywa mnie swoją dziewczyną? I o jakim mieszkaniu mowa? Przyglądam się zdjęciu profilowemu, które wyświetla się na drugiej połowie ekranu. Spogląda na mnie blondynka w futrze. Ma wielkie ciemne okulary osadzone nisko na nosie, pociągnięte błyszczkiem usta ściągnęła w dzióbek. Długie proste włosy spływają aż do pasa. Viktorija Novak.

– Słucham? Mówi Marco. – Głos mojego męża syczy mi się do ucha, głos silnego asertywnego Marca profesjonalisty.

– Masz romans! – wrzeszczę.

Louisa wybucha równie gwałtownym krzykiem. Wstrzymuję oddech. Chyba nigdy wcześniej, przez całe pięć lat, jakie wspólnie przeżyliśmy, nie podniosłam na niego głosu. Prawie nigdy się nie sprzecamy. Zawsze świetnie się dogadujemy, a te kilka kłótni, które się między nami wywiązały, załagodiliśmy paroma głębokimi oddechami i spokojną rozmową. Gdzieś w środku jestem pewna, że Marco mi wszystko wytłumaczy i wszystko zamienimy w żart. To będzie pierwsza absurdalna kłótnia świeżo upieczonych rodziców z powodu jakiegoś idiotycznego nieporozumienia. „Ona naprawdę myślała, że tuż po narodzinach Louisy wdałam się w romans z jakąś dyskotekową dziunią w futrze” – wyobrażałam sobie, jak opowiada naszym znajomym. Wszyscy będą się śmiały z tak niedorzecznego pomysłu. Jakżeby Marco – facet znany z chorobliwej obsesji na moim punkcie – mógł mnie kiedykolwiek zdradzić? Ale gdzieś w środku, tak w głębi, czai się wątpliwość. Siedzę z telefonem przyciśniętym do ucha, wstrzymując oddech, i czekam na to coś w głosie mojego męża, co uśmierzy mój niepokój.

– Kochanie – mówi spokojnie. – Co ty wygadujesz?

– Czytałam twój mejl – odparowuję. – Do agenta nieruchomości. Napisałeś w nim „moja dziewczyna”. Co to, do cholery, znaczy, Marco?

Parska śmiechem. Ten głupkowaty szczerzy, pełen niedowierzania śmiech jest najśłodszy dźwiękiem, jaki kiedykolwiek słyszałam. Wyraża właśnie to, co przewidywałam: jedno wielkie nieporozumienie. Teraz Marco mi wszystko wytłumaczy i między nami będzie dobrze.

– Kotku, po pierwsze, nie mam żadnego romansu. Uwierz mi. Nigdy bym cię nie zdradził. Jesteś całym moim życiem. Skarbie? Chcę, żebyś wbiła to sobie do głowy. Jesteś moim życiem, rozumiesz?

– Rozumiem – odpowiadam.

Nagle wszystkie mięśnie się rozluźniają, choć nawet nie zdawałam sobie sprawy, że zeszywniały. Znowu mogę oddychać normalnie. Wiem, że Marco mówi prawdę.

– Po drugie, to wszystko to jedno wielkie nieporozumienie. Będiesz się śmiała, jak ci opowiem całą historię. Ta kelnerka, Chorwatka, dopiero co przyjechała do Stanów. Widziała, jak szukam mieszkania w komputerze w naszym biurze, i poprosiła, żebym zadzwonił w jej imieniu do agenta. Dziewczyna nie ma oszczędności, zdolności kredytowej, i żadna agencja nie potraktuje jej poważnie – tłumaczy spokojnym i opanowanym głosem. – Jak tak teraz na to patrzę... no głupio zrobiłem, nazywając ją „moją dziewczyną”. Ale chciałem jej pomóc. Ogromnie cię przepraszam, skarbie. Kretyn ze mnie.

– W porządku. – Wiem, że mówi prawdę. Czuję to całą sobą, a mimo to nadal dygoczę.
– To cholernie mało taktowne nazywać obcą kobietę „swoją dziewczyną”.

– Wiem, wiem. Dopiero teraz zdałem sobie z tego sprawę. Bardzo cię przepraszam.
Proszę, nie płacz już. To tylko głupi błąd.

– Proszę, wróć do domu. Wierzę ci, ale ciężko mi z tym. Posunąłeś się za daleko. Takich przysług nie wyświadcza się obcym kobietom. Nieważne, że to było niewinne. Jest mi bardzo przykro. Musimy o tym jeszcze porozmawiać, ale nie przez telefon.

– Dobrze. – Wiem, że wyczuwa powagę w moim głosie. – Zaraz wracam do domu.
Muszę tylko ogarnąć kilka spraw. Będę za godzinę, dobrze?

– Nie odpowiadam. Godzina wydaje się wiecznością. Louisa krzyczy tak głośno, że zaczyna się krztusić.

– Kotku, w porządku?

– Tak. Kocham cię.

– Kocham cię bardzo. Niedługo wrócę.

I chwała Bogu.

PRZEDTEM

– Sebastianie, poznaj Jen. Jen, to jest Seb. – Popycha ku mnie małego chłopca, który podaje mi na powitanie chudą rączkę.

Wtedy, w upalne sobotnie popołudnie, w ciasnej brazylijskiej restauracyjce kilka przecznic od mojego mieszkania, po raz pierwszy spotkałam się z siedmioletnim synem Marca.

– O jejku, przepraszam – powiedział Seb, cofając rękę. – Ja tylko... Przepraszam...
– Schował do kieszeni mały biały przedmiot, który trzymał w dłoni, i jeszcze raz mi ją podał.

– Bardzo się cieszę, że mogę cię poznać – odrzekłam, usadawiając się za stołem, naprzeciw Marca i Seba. – Co tam miałeś w ręce? – spytałam z uśmiechem.

– Och... – Chłopiec spojrział na mnie poważnie spod grubych okularów. – Muszelkę znalezioną na Coney Island. Należała do jakiegoś skorupiaka, ale nie jestem pewien, jakiego gatunku.

– Ekstra – odparłam i kątem oka zerknęłam na Marca.

„Skorupiaka?” – powtórzyłam bezgłośnie.

Marco uśmiechnął się i przecesał dłonią gęste włosy syna.

– Seb jest w najlepszej klasie w szkole.

– Najlepsza klasa? To chyba wyróżnienie? – spytałam.

– Zbierają najbystrzejsze dzieciaki z danego rocznika i umieszczają je w jednej klasie
– wytłumaczył Seb. – Uczę się rzeczy, o których nie wiedzą nawet trzecioklasiści.

– Rany. To świetnie. – Uśmiechnęłam się.

– Jedyny minus jest taki, że czasem muszę odrabiać lekcje przez całą godzinę. Moja mama mówi, że to karygodne. – Seb westchnął i przegryzł chipsa.

– Też tak uważam – odparłam, próbując ukryć rozbawienie.

Pod koniec lunchu Seb zwrócił się do mnie i spytał:

– Może byś przyszła do nas zagrać w warcaby?

– Oczywiście. Z przyjemnością. – Mrugnęłam porozumiewawczo do Marca. – O ile twój tata nie ma nic przeciwko.

– Nie ma problemu – odparował Seb. – Nie mamy żadnych planów, prawda, tato?

– Prawda, synku – powiedział Marco z uśmiechem. – Poza tym, że mieliśmy pograć razem w grę wideo.

– Rany, zapomniałem. – Seb zabębnił palcami o stół. – W weekendy grywamy w gry wideo. Tylko wtedy wolno mi w nie grać. U mamy niestety nie mam konsoli PS4.

– No tak, rozumiem. Wygląda na to, że to bardzo ważne plany.

– Jestem rozdarty – stwierdził Seb z powagą. – Siedemdziesiąt pięć procent mnie chce grać z tobą w warcaby, a pozostałe dwadzieścia pięć chce grać w grę wideo. Wiem, że będę żałował, jeśli nie nagram się w ten weekend do upadłego.

– Absolutnie to rozumiem. Może więc wpadnę innym razem – zaproponowałam.

Wyszliśmy zza stołu.

– Naprawdę cię polubił – wyszeptał Marco, gdy przytuliliśmy się na pożegnanie.

– Ja też go polubiłam – wyznałam również szeptem.

– Powinniśmy gdzieś się wspólnie wybrać następnym razem – powiedział Seb. – Było nadspodziewanie zabawnie.

– Dziękuję. I trzymam cię za słowo – odrzekłam, a Marco ukradkiem ścisnął mnie za rękę.

Kilka tygodni później dostałam zaproszenie na ósme urodziny Sebastiana. Gdy

wchodziliśmy na drugie piętro, gdzie mieściło się mieszkanie Natalii, mocno ścisnęłam Marca za rękę. Po tym jak nasłuchiwałam się, że złamała Marcowi serce, szykowałam się na najgorsze. Tymczasem przywitała mnie uśmiechnięta i prześliczna Polka.

– Cześć! Jestem Natalia. Znajomi mówią do mnie Nat – powiedziała i ucałowała mnie w policzek. – Dziękuję, że tyle czasu poświęcasz mojemu synowi. Szczerze mówiąc, nie rozumiem, jak ludzie dobrowolnie decydują się na towarzystwo cudzych dzieci, skoro ja ledwo wytrzymuję z własnym. – Zaśmiała się.

Od razu ją polubiłam. Po torcie i lodach zaprowadziła mnie do swojego pokoju.

– Słuchaj, chciałam ci podziękować. Wiem, że może za wcześnie na takie słowa, ale naprawdę zmieniłaś nasze życie. Poprzednia dziewczyna Marca to była katastrofa. – Nat ścisnęła głos do szeptu. – A raczej oni razem. Ciągłe się kłócili. Marco był zawsze przybity. Nigdy się nie uśmiechał. Palił jak smok, bo ona paliła. Może to egoistyczne z mojej strony – przerwała na chwilę i przecesała ręką swoje długie ciemne włosy – ale cieszę się, że zerwali. Teraz wszystko się zmieniło. Seb chce spędzać ze swoim tatą coraz więcej czasu.

Sploniałam się.

– To, że mi to mówisz, dużo dla mnie znaczy. Sebastian jest... wiesz... wyjątkowym dzieckiem.

– Prawda?

Gdy pierwszy raz wiozłam Sebastiana do siebie do domu, żeby poznał moją rodzinę, Holly, moja najlepsza przyjaciółka, jechała z nim na tylnym siedzeniu mojego zielonego subaru. Dorastałyśmy z Holly drzwi w drzwi, a po studiach obie przeniosłyśmy się do Nowego Jorku. Ponieważ w szkole średniej była pyzata, wyższa od rówieśników i miała blond trwałą, w ostatniej klasie okrzyknięto ją „klasowym klaunem”. Na studiach wyszczuplała i nagle jej sto siedemdziesiąt pięć centymetrów i cudowne wielkie oczy okazały się przepustką do kariery w modelingu. Gdy wyprostowano jej włosy i przycięto na eleganckiego boba, odmieniła się nie do poznania. Ale w ciele modelki mieszkała ta sama dziewczyna – klasowy klaun.

– Osz kurde... to znaczy kurczę... przepraszam, aniołku – syknęła Holly do Seba, machając dłonią i krzywiąc się z bólu. – Przez to zapięcie od pasa złamałam sobie paznokieć. Cholera, ale boli... to znaczy, kurczę, ale boli... Rany... bardzo was przepraszam.

Seb chichotał, zakrywając usta dłonią, zachwycony tą serią przekleństw wydobywającą się z ust dorosłej kobiety. Jechaliśmy na ślub mojej koleżanki.

Sebastian skończył dopiero osiem lat, a perorował, jakby miał ze czterdzieści osiem. Wysłuchawszy jego wyczerpujących wyjaśnień, dlaczego nie interesują go ani diabelskie młyny, ani kolejki górskie, Holly ochrzciła go „nieletnim wcieleniem Woody’ego Allena” („Mam nieco inne wyobrażenie o zabawie niż katapultowanie się, powstrzymywanie wymiotów i ryzykowanie życia”).

Po tamtym pierwszym lunchu od razu się z Sebem zaprzyjaźniliśmy. Zakochałam się w tym bystrym i nad wiek rozgarniętym miniaturowym dorosłym z szopą kręconych czarnych włosów i bladą skórą, która latem opalała się na połyskujący orzechowy brąz. Nad sport przedkładał warcaby i gry komputerowe, nad telewizję czytanie książek historycznych, a wyrażał się bardziej elokwentnie niż większość znanych mi dorosłych.

Marco znał już wtedy moich rodziców. Liczyłam się z ich zdaniem. Jeśli któryś z moich partnerów nie zdał sprawdzianu krzyżowego magicznej intuicji mojej mamy i praktycznego umysłu mojego taty, nasz związek zwykle szybko się kończył. Przed poznaniem Marca moi rodzice słyszeli o nim tylko wyrywkowe informacje (starszy o sześć lat, barman, ma dziecko), a te wzbudziły w nich pewne podejrzenia. Mama przyleciała do Nowego Jorku kilka miesięcy po tym, jak związałam się z nim na poważnie, pod pretekstem, że chce spędzić ze mną babski

weekend. Obie wiedziałyśmy jednak, że tak naprawdę przyjechała poznać mojego chłopaka. W małym przytulnym barze nieopodal Gramercy Park, przy butelce prosecco i przepysznych miniaturowych przystawkach, Marco opowiedział mojej mamie o swoim dzieciństwie, a ona w rewanżu podzieliła się z nim własnymi wspomnieniami.

– Gdy miałem pięć czy sześć lat, rodzice wysłali mnie w wakacje na farmę do dziadka. Dziadek mieszkał na wsi, kilka godzin drogi od Buenos Aires. Hodował króliki, a ja miałem ich pilnować. – Marco przerwał, by napełnić kieliszek mamy. – Twój kieliszek jest tylko do połowy pełny. To skandal, Maggie.

Mama uśmiechnęła się i upiła łyk.

– Miałeś swojego ulubionego króliczka?

– Były przesłodkie i niezły był z nimi ubaw, ale nie mogłem się do nich za bardzo przywiązywać. Nie do końca były to zwierzątka domowe... jeśli wiesz, co mam na myśli.

Marco wrzucił do ust crostini z brie i schrupał.

Mama otworzyła szeroko oczy.

– Chcesz powiedzieć, że hodowaliście je na mięso? – spytała.

– Smakują podobnie jak kurczaki – odpowiedział Marco z poważną miną, a po chwili uśmiechnął się szeroko. – Mieszkaliśmy w środku argentyńskiej głuszy. Robiłem, co kazał dziadek.

– To mi przypomina moje wakacje w Maine – z ciepłym uśmiechem odrzekła mama. – Wprawdzie byłam trochę starsza, a homary nie są tak przytulaśne jak króliki, ale w wieku szesnastu lat zostałam poławiaczką homarów.

Mama opowiedziała Marcowi, jak w wakacje łowiła homary, żeby zarobić na wymianę studencką w Szwecji, jej pierwszy wyjazd poza Maine.

Jeśli wchodząc do baru miała jakieś wątpliwości, to rozwiewały się one jedna po drugiej, w miarę jak przy śmiechu i rozmowach z butelki ubywało prosecco. Gdy w końcu spojrzałam na telefon, okazało się, że jesteśmy spóźnione do restauracji w centrum miasta, gdzie czekał na nas stolik.

– Uroczy chłopak – powiedziała później przy kolacji. – Ale bądź ostrożna. Ma pewien bagaż.

– Ależ mam! – zawołałam z żarliwością dziewczyny zakochanej po uszy. – Nie chciałybyś być z kimś, kto ma potencjał?

Mama spojrzała mi w oczy.

– Naprawdę wierzysz w tego chłopaka?

– Tak. Wiem, że to brzmi jak szaleństwo, ale wierzę w niego całym sercem. Nigdy wcześniej nic podobnego nie czułam, mam.

Przejrzałam szybko w myślach katalog swoich byłych: na studiach Pete, palił dużo trawy i był przemiły – tak miły, że musiałam czekać cały kwadrans, aż zdecyduje, czy przynieść mi herbatę, czy kakao. Po studiach byłam z Mattem – pierwszy chłopak, z którym zamieszkałam, uprzejmy i inteligentny, miał dobrą pracę, ale wzdrygałam się, ilekroć mnie całował. No a potem był Jeff – grecki bóg, seksowny i zabawny, który powiedział, że jeśli w ciągu pół roku nie dostanę jakiegś wielkiej roli, powinnam dać sobie z tym spokój i zrobić z nim dziecko. O żadnym z nich nigdy nie mówiłam tak emocjonalnie. Zwykle wzruszałam ramionami i gdy pytano mnie, czy to ten jedyny, wdychałam: „Sama nie wiem”, i zmieniałam temat. Zawsze sądziłam, że moja druga połówka gdzieś tam na mnie czeka; nie wiedziałam tylko, co tak naprawdę powinnam czuć, gdy ją znajdę. Teraz nie miałam wątpliwości. Tym razem zamiast rozpaczliwie unikać odpowiedzi, czułam się jak bohaterka komedii romantycznej, która nie jest w stanie powstrzymać cikliwych słówek.

– Och, *l'amour* – westchnęła mama i z uśmiechem założyła pasmo włosów za ucho.

– Już przestań, mamo – powiedziałam śpiewnym głosem, starając się ukryć zażenowanie.

W duchu jednak myślałam: „Tak! Tak właśnie wygląda prawdziwa miłość, która roztapia serce i o której chce się krzyknąć całemu światu”. Każdą rozmowę sprowadzałam do tematu Marca.

– Chce otworzyć restaurację i myślę, że ma duże szanse, bo pracuje w branży gastronomicznej i uwielbia to.

– Brzmi bardzo obiecująco. A co sądzi o twojej karierze aktorskiej? – spytała mama, wylawiając z miski pierożek najpierw pałeczkami, a potem palcami.

– Absolutnie mnie wspiera. Cały czas powtarza, że we mnie wierzy. Naprawdę sobie pomagamy. Mam poczucie, jakbyśmy razem mogli przenosić góry – powiedziałam w przypływie emocji. – Wy z tatą też pewnie czuliście coś podobnego na początku waszego związku. Nie wiedziałam dotąd, jakie to uczucie być częścią tandemu.

– Zawsze się nawzajem podziwialiśmy – odrzekła mama. – To bardzo ważne w związku, w małżeństwie. Zawsze mieliśmy wizję tego, co chcemy osiągnąć, i razem pracowaliśmy nad tym, by wcielić marzenie w życie. Mały czy duży cel... trzeba zebrać w sobie siły i działać wspólnie. Szacunek i współpraca. Bo jeśli nie gra się w tej samej drużynie, to po co to wszystko?

– Tak bardzo szanuję Marca – westchnęłam z błyszczącymi oczami.

Przez resztę wieczoru wypytywałam mamę o małżeństwo z tatą i słuchałam, chłonąc każde jej słowo.

Tata poznał Marca kilka miesięcy później w małej wenezuelskiej restauracji, położonej kilka przecznic ode mnie. Martwiłam się tym spotkaniem z wielu różnych powodów. Jak jin dopełnia jang, tak ciepło i wylewność mojej mamy kontrastują z dominacją i uporem mojego ojca, które doskonale mu służą na kierowniczym stanowisku, ale potrafią też onieśmielać ludzi, zwłaszcza moich nowych chłopaków. Nie przewidziałam jednak, że mój tata, który część dzieciństwa spędził w Hondurasie, będzie zafascynowany wszystkim, co wiąże się z Ameryką Południową. Zasypał Marca pytaniami, poczynając od tego, jak wymawiać nazwy przystawek widniejących w menu, kończąc zaś na bieżących nastrojach politycznych w Argentynie. Pod koniec lunchu Marco był cały spocony, a tata podekscytowany. Przez kolejny rok zacieśniła się między nimi silna więź; prawie codziennie wymieniali esemesy – przeskakując z angielskiego na hiszpański i z powrotem – na różne tematy – od kuchni latynoskiej po pięćdziesięciometrowe podania Toma Brady'ego.

A jeśli moi rodzice w ogóle mieli jeszcze jakieś wątpliwości związane z Markiem, to po poznaniu Seba wszystkie się rozwiały. Gdy wyskoczył z mojego zielonego subaru na Haven Road, rodzice wybiegli nam na spotkanie.

– Sebastian! – zawołała moja mama. – Tyle o tobie słyszeliśmy!

– Witaj, młody człowieku. – Tata mocno uściśnął małą rączkę.

– Śmieszna sprawa – odparł Seb bardzo poważnym tonem, podciągając swoje okulary w czarnych oprawkach. – Jestem zdenerwowany, a zarazem bardzo szczęśliwy. Dwa przeciwstawne uczucia. Bardzo ciekawe.

Tamtego popołudnia moja mama zabrała go na jagody do lasu rozciągającego się za domem rodziców – obserwowaliśmy dwie głowy wystające z zielono-brązowych zarośli, pograżone w rozmowie. Nazajutrz rano po przebudzeniu Seb oznajmił:

– Wybieram się do lasu. Pa!

– Nigdy dotąd nie był poza miastem. Wreszcie zachowuje się jak typowe dziecko – z uśmiechem powiedział Marco, który ledwo co otworzył jedno oko.

Następnego dnia tata zagrał z Sebem partyjkę warcabów, a my z Markiem pospaliśmy

dłużej. Pod koniec tygodnia tata odciągnął mnie na bok, by porozmawiać ze mną na osobności.
– Ten chłopak jest wyjątkowy – powiedział. – Marco świetnie się spisał.
W końcu moje dwa światy harmonijnie się stopiły.

POTEM

Marco wchodzi, a ja czekam na niego na kanapie. Louisa, dzięki Bogu, śpi w sypialni. Modłę się, żeby dała mi kilka minut spokoju, abyśmy mogli wszystko sobie z Markiem wyjaśnić i już więcej do tej sprawy nie wracać. Myślałam, że Marco rzuci się od progu, by mnie przeproszać, ale on bez słowa opada na fotel.

– Marco? – zaczynam i czekam, aż coś powie.

Nadal nic. Wbija wzrok w podłogę.

– Marco? Co jest, u licha?

Jestem już wściekła.

– Jen, powiedziałem ci, że ten mejl to nic ważnego, głupi błąd. Prawie nie znam tej kobiety. Naprawdę masz mnie za totalnego kretyna? Myślisz, że chodziłbym szukać mieszkania z jakąś pierwszą lepszą dziewczyną, gdy jestem tak zawalony robotą, że od dwóch miesięcy nie widziałem własnego syna?

Wytrzymuje mój wzrok.

– No dobra, ale... – Zaczynam przemowę, którą sobie przygotowałam i w której zamierzam wykazać, jak niestosowny był ten mejl niezależnie od intencji.

– Zaczekaj – przerywa mi. – Muszę z tobą o czymś porozmawiać... – Pociera ręką skroń.

– Mniej więcej od roku nie czuję się szczęśliwy. Jestem wyzuty ze wszystkich uczuć. Myślę, że coś mi dolega. Pod względem fizycznym. Albo... sam nie wiem... Na przykład teraz. Patrzę na ciebie i nic nie czuję. Tylko odrętwienie.

Robi mi się słono w ustach. To łzy, które ciekną mi po twarzy. Mój mąż nic nie czuje? Co się, do cholery, dzieje? Nie pojmuję słów, które padają z jego ust. Z tyłu głowy wciąż kołacze mi się mejl, ale zapominam o nim, gdy znowu słyszę głos męża:

– Jen, nie mam uczuć.

– O czym... o czym ty mówisz?

Czuję się jak na złym tripie po LSD. Nic nie składa się w całość. Z moim mężem stało się coś złego. Siedzi naprzeciw mnie, w swoim cieple, ale to nie ten sam człowiek.

– Marco... proszę.

Teraz już zaczynam błagać, choć nie wiem o co i dlaczego.

– Chcesz mi powiedzieć, że przez ostatni rok nic nie zauważyłaś? – Jego zazwyczaj radosny głos nagle stał się monotony; w oczach miał pustkę.

– Dopiero co urodziło nam się dziecko. Może jesteś przemęczony i zestresowany?

Czuję przyływ troskliwości. Czy Marco naprawdę cierpi, a ja nic nie zauważyłam? Poddaję umysł katuszom, próbując wyłączyć hormony i strach i przeanalizować ostatni rok. Urządziliśmy w końcu w Maine huczną imprezę z okazji naszego ślubu, odwiedziliśmy rodzinę Marca w Argentynie i pojechaliśmy z Sebem na wakacje do Francji. To wszystko miłe wspomnienia, niektóre z nich zaliczam do najszczęśliwszych chwil w moim życiu.

– Co cię tak unieszczęśliwia? Nie rozumiem.

– Skarbie, prawie się nie widzimy. Cały czas spędzam w pracy. Nie robimy już razem tych wszystkich szalonych rzeczy. Kiedyś bardzo dbałaś o wygląd, wiesz? Jak spojrzałem na ciebie przed przesłuchaniem, myślałem... Rany, co za dziewczyna...

– Ale... – Jak mam to powiedzieć, żeby nie zabrzmiało jak banał? – Dopiero co urodziłam dziecko... – Mój głos zanika.

– Przecież wiem. Nie to miałem na myśli. Chodziło mi o to, że może to prawda, co wszyscy mówią. Że ślub jest dla związku jak gwóźdź do trumny.

– Nie rozumiem... – Cedzę słowa, chcąc zyskać na czasie. Może gdy będę mówiła powoli i maksymalnie się skupię, pojmę, co mój mąż próbuje mi powiedzieć. – Co to znaczy, że „ślub to gwóźdź do trumny”? Jesteśmy szczęśliwi. Bardzo szczęśliwi – mówię dziwnie wysokim głosem.

Jestem w szczęśliwym związku małżeńskim. Jestem w szczęśliwym związku małżeńskim. Jestem zakochana w moim mężu. Szaleńczo zakochana i właśnie urodziłam mu dziecko.

On jednak wbija wzrok w podłogę.

– No wiesz, faceci nie lubią włosów tam na dole...

Odruchowo ściągam kolana i wzdrygam się, gdy podpaska ociera mi opuchnięte tkanki. Policzki mnie pieką.

– Przez ostatnie kilka miesięcy... nie mogłam tam dosięgnąć... a teraz mam szwy...
– dukam i urywam, nie będąc w stanie wydusić z siebie nic więcej.

– Wiem – rzuca pośpiesznie. – Mówię tylko...

Brzęczenie w moich uszach przybiera na sile.

Dochodzi już druga nad ranem.

– Muszę się przespać – oznajmia Marco. – Nie martw się, skarbie. Jakoś to rozwiążemy.

Jestem wykończona. Powinam się położyć, bo Louisa niedługo się obudzi, ale nie usnę, bo właśnie usłyszałam, że mój mąż nic nie czuje, gdy na mnie patrzy. Leżę, nie mogąc zasnąć, pieką mnie oczy.

O czwartej Louisa zaczyna się wiercić i popłakiwać. Po chwili ten cichy dźwięk przechodzi we wrzask. Podnoszę ją i drepczę tam i z powrotem po sypialni.

– Ciii, ciii, ciii – mówię, kołysząc ją w ramionach. – Ciii.

Ale głoski więzną mi w gardle, głowa cięży, a wszystko przed oczami wiruje. Potem jakaś czarna fala zalewa mi oczy, a ja nagle znajduję się na kolanach, na dywanie, trzymając Louise prosto przed sobą, tuż nad podłogą. Słyszę ją jakby przez ścianę.

Mam wrażenie, że siedzę na podłodze całą wieczność, zanim dobiegają mnie jęk i odgłos stóp Marca dotykających ziemi.

– Daj mi ją – mówi.

Nic więcej.

Podaję nasze dziecko mężowi, podpełzam do łóżka i się podnoszę. Idę do salonu i siadam na kanapie. Siedzę tam jak sparaliżowana. Powoli kieruję wzrok na ekran komputera. Nadal wyświetla się list Marca do agenta. Widzę imię i nazwisko osoby, do której go przesłał: Viktorija Novak. Wpisuję je do wyszukiwarki na górze skrzynki pocztowej. Pokazuje się kilkanaście mejli. Szybko przebiegam po nich wzrokiem. Wszystkie dotyczą harmonogramu pracy. Poza... Co to, do cholery, jest? Otwieram mejl bez tytułu, od niej do niego. Wysłany przed sześcioma dniami. Jest w nim tylko link i słowa: „Od razu pomyślałam o tobie”. Klikam w link do artykułu zatytułowanego „36 pytań, dzięki którym dwoje nieznajomych zakocha się w sobie na zabój”.

PRZEDTEM

Marco oświadczył mi się podczas corocznego przyjęcia bożonarodzeniowego u moich rodziców. Kilka dni wcześniej pojechaliśmy do Bloomingtona, żeby kupić Sebastianowi elegancki sweter i spodnie. Gdy patrzyłam, jak moja mała rodzina spaceruje między rzędami ubrań, zastanawiałam się, czym różni się miłość od zadurzenia.

– Pamiętasz, jak kupowaliśmy tutaj prezent dla Domenica? – Zwróciłam się do Marca, przykładając Sebastianowi do szyi stylową muszkę.

– Kiedy to było... Jakież dwa lata temu, co? – spytał Marco, splatając dłoń z moją dłonią.

– Mniej więcej – odparłam, a potem wyszeptałam mu do ucha: – Pamiętasz, jacy byliśmy wtedy napaleni?

– Doskonale pamiętam – odszepnął, przyciągnął mnie do siebie i pocałował. – Lepiej uważaj, młoda damo. Ten staruszek jeszcze ci może pokazać kilka nowych sztuczek.

Uśmiechnęłam się w myślach na to kostropate zdanie.

– Fiu, fiu... – skwitowałam.

Gdy schodziliśmy po śliskich schodach do metra przy 59. ulicy, Seb się ożywił:

– Hej, może poszlibyśmy się napić gorącej czekolady? Tak dawno jej nie piłem. Chyba kilka tygodni.

– Kilka tygodni? – powtórzył Marco. – To oburzające. Ale zapytajmy jeszcze Jen, co o tym myśli. Może się gdzieś śpieszy. – Marco mrugnął do mnie porozumiewawczo.

– Hm. – Spojrzałam na Seba z poważną miną. – Nie ulega wątpliwości, że wyglądasz na osłabionego. Na chłopca, któremu dobrze zrobiłaby dawka czekolady. I to natychmiast.

Zmieniliśmy kierunek i wsiedliśmy w metro jadące na Union Square. Wychodząc z wagonu, wzięliśmy Seba za ręce i podrzucaliśmy go do przodu, smagani lodowatym wiatrem.

– Jesteście pewni, że dostaniemy tu gorącą czekoladę? – Seb rozglądał się z powątpiewającą miną. – Byłem wcześniej na Union Square z mamą, żeby kupić tenisówki. Nie wydaje mi się, żeby sprzedawano tutaj czekoladę.

– Poczekaj, jeszcze chwila. – Z uśmiechem skierowałam się ku ciężkim brązowym drzwiom kilka kroków dalej.

Powitał nas słodki zapach gęstej czekolady.

– Witamy u Maxa Brennera. Lunch dla trójga? – spytała hostessa.

Seb natychmiast się nam wyrwał i pobiegł do wielkiej kadzi z czekoladą, stojącej na środku sali. Przebiegł wzrokiem po pomieszczeniu, półkach pełnych truflii z białej, mlecznej i gorzkiej czekolady, gablotce, gdzie stał rozlupany blok czekolady, jutowych workach z napisem „Kakao” i szklanych rurkach, w których bulgotała mleczna czekolada.

– Tylko deser – odpowiedział Marco.

– Tu jest ekstra... – wyszeptał Seb.

– Myślę, że powinniśmy przychodzić tutaj częściej. Przynajmniej raz w miesiącu – powiedziałam, odwijając szalik z szyi i sadowiac się na miękkim krześle.

– Popieram Jen. – Seb opadł na krzesło między mną a Markiem. – Mogę bywać u was przez kilka dni w tygodniu, a nie tylko w weekendy?

Spojrzeliliśmy na siebie z Markiem i jednocześnie wypaliliśmy:

– Byłoby super!

– We wtorki i w środy muszę być u mamy, bo jesteśmy w trakcie maratonu *Zagubionych* – powiedział Seb.

– Jasne. Jakoś to załatwimy.

Marco sięgnął przez stół i ścisnął moją dłoń. Ta chwila wryła mi się głęboko w pamięć – moja nowa rodzina.

Gdy wieczorem na bożonarodzeniowym przyjęciu u rodziców Sebastian zszedł z sypialni na piętrze na dół do salonu, wśród zebranych rozległy się westchnienia zachwytu.

Szybko stał się celebrytą wśród naszej rodziny i przyjaciół z Maine.

– Cóż za bystry i elokwentny chłopiec. – Cmokali z zachwytem.

Siedziałam na kanapie w salonie rodziców, rozmawiałam z Holly i podziwiałam świąteczne dekoracje w pokoju. Salon, z białymi pluszowymi sofami i czerwonymi półkami, wypełnionymi książkami w imponujących twardych oprawach (które tata zakupił w miejscowym sklepie ze starociami), był doskonałą scenerią dla ogromnej choinki połyskującej białymi lampkami i ozdóbkami z lat dziewięćdziesiątych. Seb przysunął się niepostrzeżenie ze szklanką soku żurawinowego w rękę i cierpliwie czekał, aż Holly skończy zdanie.

– ...i robi to każdej zimy. Nie znosi, jak mu zimno. Ja zresztą też szybko marznę. Kupiliśmy piecyk przenośny, bo „mama ma swoje potrzeby”.

Holly kończyła opowiadać mi o tym, jak to Mike, jej mąż informatyk, nie znosi uprawiać seksu, gdy są przymrozki. Zorientowała się, że Sebastian stoi obok niej, i szybko się odwróciła:

– ...i to już koniec mojej opowieści o zagrożeniach związanych z globalnym ociepleniem. Seb upił łyk soku.

– Rozmawialiśmy już kilkakrotnie z mamą o kwiatkach i pszczołkach. Mam dziewięć lat, nie dwa.

– Mhm, proszę o wybaczenie – powiedziała Holly, wrzucając do ust krabowe ciasteczko.

– Jen, mój tata prosi, żebyś przyszła na górę i doradziła mu w kwestii ubioru – oznajmił Seb.

– Okej, zaraz przyjdę – rzuciłam ze śmiechem.

Podniosłam się z kanapy.

– Marco ma większe wyczucie stylu niż ja, więc zapowiada się ciekawie – zawołałam do Holly, idąc przez salon.

– Spodnie w cekiny to strzał w dziesiątkę! – zażartowała.

– Wielkie dzięki!

Gdy weszłam po schodach na piętro, gdzie mieści się mój dawny pokój, w którym teraz mieszkaliśmy z Markiem podczas naszych wizyt w Maine, przystanąłam, by przejrzeć się w lustro wiszącym na ścianie. Choć zwykle ubierałam się jak chłopczyca, to na święta zawsze dbałam o elegancję. Tym razem włożyłam zielonkawoniebieską dopasowaną sukienkę, a włosy rozpuściłam. Zrzuciwszy swój codzienny mundurek składający się z T-shirtu i dżinsów, czułam się szykowna i bardzo seksowna. Postanowiłam częściej układać włosy. Na szczycie schodów skręciłam w lewo do sypialni i dopiero wtedy zauważyłam, że Marco stoi po prawej stronie schodów w małym pokoiku, który nazywaliśmy „kanciapą”.

– Kochanie, wyglądasz bosko. Czym się tak martwisz?

Puchłam z dumy, patrząc na tego wysokiego przystojnego bruneta stojącego naprzeciw mnie (ależ mu było do twarzy w słodkim niebieskim swetrze, spod którego wystawał jasnoniebieski kołnierzyk!). Uśmiechnęłam się szeroko. Oto mój chłopak.

– Jen, skarbie. Muszę cię o coś spytać. – Głos, dziwnie oficjalny, lekko mu drżał.

Zjeżyły mi się wszystkie włoski na karku.

O Boże, o Boże...

– Wiesz, te ostatnie lata były najszcześniejszym czasem w moim życiu...

O Boże...

Głos zaczynał mu się łamać, więc wziął głęboki oddech.

– Od kiedy cię poznałem, znowu z nadzieją myślę o przyszłości, o naszej wspólnej przyszłości. Właśnie wtedy, gdy straciłem już całą nadzieję, dałaś mi taki ogrom szczęścia. Czuję, jakbyśmy razem mogli osiągnąć wszystko. – Wziął jeszcze jeden głęboki oddech i ujął moje ręce. – Wszystko odmieniło się na lepsze. Jesteś jak anioł, który wkroczył do mojego życia, i już nie potrafię go sobie wyobrazić bez ciebie. Chcę spędzić z tobą resztę moich dni, Jen. – Sięgnął do kieszeni i przyklął na jedno kolano. – Czy zechcesz uczynić mnie najszczęśliwszym człowiekiem na świecie i wyjść za mnie?

O. Mój. Boże.

– Jen? Kochanie?

Usłyszałam zaniepokojony głos Marca i zdałam sobie sprawę, że chodzę w kółko po szczycie schodów z głową schowaną w dłoniach.

– Tak – zaskrzeczałam, podchodząc do niego.

Nadal klęczał, a w rękę trzymał pudełeczko wyściełane niebieskim aksamitem.

– Tak, tak, tak!

Wsunął mi na palec prosty pierścionek z diamentem. Krzyknęłam i rzuciłam się w jego ramiona.

– Nigdy wcześniej nie byłam niczego bardziej pewna.

Na twarzy Marca malowała się ulga.

– Wiesz, że odeszłaś, nie dając mi odpowiedzi?

– Naprawdę? Chyba na chwilę straciłam kontakt z rzeczywistością.

Zarzuciłam mu ramiona na szyję, całowaliśmy się długo, a potem wybuchnęłam histerycznym śmiechem.

– To najszczęśliwsza chwila w moim życiu. Jak to zrobiłeś? Kiedy kupiłeś ten pierścionek? Jak udało ci się utrzymać to w tajemnicy?

Zarzuciłam go pytaniami, niezbyt uważnie słuchając odpowiedzi, wpatrzona w kamyk połyskujący na moim palcu. Gdy zeszliśmy na dół, moi rodzice czekali na nas z butelką szampana i czterema kieliszkami.

– Wiedzieliście? – pisnęłam.

Wznieśliśmy toast.

– Witajcie w rodzinie, Marcu i Sebastianie – powiedział tata swoim grzmiącym głosem, a mnie aż zakręciło się ze szczęścia w głowie.

Stuknęliśmy się z Markiem kieliszkami. Bałam się, że z radości pęknie mi serce. Oto mój narzeczony.

POTEM

Gdy pytam Marca o mejl z linkiem do artykułu, jego twarz nie wyraża niczego.

– Co takiego? Nigdy nie przysyłała mi żadnego artykułu... Ach, tooo... Tak, teraz pamiętam... Studiuję psychologię i mówiła mi o jakimś eksperymencie, w którym nieznanymi zadają sobie pytania i zakochują się w sobie. Udawałem, że mnie to interesuje, ale nigdy nawet do niego nie zajrzałem. Czytałaś to? O czym jest?

Czuję, jak wnętrze mi falują i wywracają się na drugą stronę, ale odpowiedź Marca brzmi szczerze. Wcześniej tego ranka, gdy znalazł mnie na kanapie wpatrzoną w fejsbukowy profil tej dziewczyny, powiedział:

– Rany, Jen. Napisz do niej, jeśli ci to pomoże. To jakaś groteska. Powiedziałem ci, że coś jest ze mną nie w porządku, z moim zdrowiem, a ty przejmujesz się jakąś przypadkową dziewczyną.

Jak zasygerował, tak robię. Nie mówię mu tego, ale piszę pod numer, który mi dał (sprawdziwszy uprzednio, czy zgadza się z numerem widniejącym pod jej podpisem w mejlu): „Dzień dobry. Tu Jen, żona Marca. Nie miałyśmy okazji się poznać, bo byłam w zaawansowanej ciąży, a potem pochłonęła mnie opieka nad naszym maleńkim dzieckiem. Strasznie mi głupio, że kontaktuję się z Tobą w ten sposób, ale znalazłam mejl, który Marco napisał do agenta nieruchomości. Napisał w nim, że oglądał mieszkanie ze swoją dziewczyną. Przesłał potem ten list do Ciebie. Wyjaśnił mi, że to nieporozumienie. Przez ostatnie pięć lat Marco był fantastycznym partnerem i wiem, że powinnam mu wierzyć i że to wszystko wina moich rozszalałych hormonów! Jeszcze raz przepraszam za tę szaloną wiadomość, Jen”.

Odkładałam telefon i natychmiast go podnoszę, by sprawdzić, czy dostałam potwierdzenie dostarczenia wiadomości. Pojawia się wielokropek, co znaczy, że dziewczyna już pisze odpowiedź. Trzymam telefon kilka centymetrów od twarzy i czekam. Paraliżuje mnie strach, kręci mi się w głowie. W końcu wiadomość przychodzi. „Cześć, Jen. Przede wszystkim bardzo przepraszam, że przysporzyłam Ci zmartwień i wzbudziłam Twój niepokój. Nie miałam takiego zamiaru. Bardzo Cię szanuję jako kobietę i gratuluję narodzin córeczki. Marco mówi prawdę. Chciał mi pomóc znaleźć mieszkanie i skontaktował się w tym celu z agentem nieruchomości. Mężczyźni potrafią być w takich sytuacjach tacy głupi, a ja nie zastanawiałam się długo, bo bardzo zależało mi na tym mieszkaniu. Po drugie, z własnego doświadczenia wiem, że romanse mogą zrujnować ludziom życie, więc nigdy nie zadawałabym się z żonatym facetem. Jeszcze raz przepraszam Cię za nieporozumienie. Miłego wieczoru”.

Pośpiesznie wstukuję podziękowania.

– Wybacz, dostałam obsesji na punkcie tego mejla – zwracam się do Marca. – Napisałam do tej Viktoriji. Potwierdziła, że był to głupi i niestosowny... – posyłam mu wymowne spojrzenie – ...błąd. Więc teraz zajmę się twoimi dolegliwościami. Na pewno jest jakieś medyczne wyjaśnienie. Nie wiem... przemęczenie, stres. Musi być jakaś fizjologiczna przyczyna tego, że zapadasz w odrętwienie.

Marco kiwa tylko głową i powoli idzie do łazienki. Słyszę, jak odkręca kran, a potem dochodzą mnie odgłosy wymiotów. Gdy wychodzi, ma bladą, pozbawioną wyrazu twarz.

– Właśnie zwymiotowałam – bąka pod nosem.

Gdy Marco udaje się tego wieczoru do pracy, wkładam Louise do wózka i idę z nią na spacer. Przechadzam się po naszej ulicy, a moja córeczka przygląda mi się przez folię ochronną. Staram się skupić na wiadomości od Viktoriji. Potwierdziła wszystko, co mówił Marco. Niemożliwe, by oboje tak świetnie kłamali. Jednakże nadal mam ucisk w żołądku i trudno mi się

oddycha. Gdy po raz piąty przechodzę pod naszymi oknami, sięgam do kieszeni płaszcza i wyjmuję komórkę. Dzwonię do siostry.

– Stella, muszę z tobą porozmawiać o czymś ważnym. Nikomu jeszcze o tym nie mówiłam i chyba nikomu nie powiem. Nie mogę zadzwonić do rodziców, bo wiesz, jacy oni są. Wydadzą pochopny osąd i na zawsze pozostanie niesmak.

– W porządku. Uspokój się. O co chodzi?

W tle słyszę szcęk talerzy i nieartykułowane dźwięki wydawane przez jej rocznego synka, mojego siostrzeńca Henry'ego. Siostra ma pewnie na sobie rozciągnięty sweter, pod którym zarysowuje się ciężowy brzuszek, myje sałatę, a telefon przytrzymuje ramieniem. Opowiadał jej o wszystkim poza artykułem. Nie potrafię o tym wspomnieć, bo wiem, jak to zabrzmiało.

– Kompletnie zgłupiałam – kończę. – Nie wiem, co o tym myśleć.

– Chryste Panie. – Stella wzdycha. – No cóż, przede wszystkim to naprawdę niestosowne. Nawet jeśli Marco mówi prawdę, że to było przejęzyczenie i że robił komuś przysługę, to sprawa wygląda naprawdę poważnie, Jenny.

Czuję ukłucie w dołku.

– Wiem, masz rację.

– Ale myślę też, że było tak, jak mówi. Głupi, niestosowny flirt i tyle. Niemożliwe, żeby poszedł z tą dziewczyną do łóżka. Przecież to Marco. Barman musi być uroczy i kokieteryjny, poza tym... Nie chcę cię jeszcze bardziej nakręcać, ale wiesz, że dla mnie zawsze wszystko jest albo czarne, albo białe... W Marcu zawsze było coś śliskiego, jeśli chodzi o to, co dopuszczalne, a co nie.

– Co masz na myśli? – pytam.

– Pamiętasz tę wiadomość na Facebooku, którą przeczytałaś w pierwszym roku waszego związku?

Całkiem o tym zapomniałam. Wprawdzie było to cztery lata temu, czyli całą wieczność, ale jak to możliwe, że zupełnie wypadło mi z głowy? Kilka miesięcy po tym, jak zostaliśmy parą, jego profil na Facebooku wciąż był otwarty. Wszłam w wiadomości i zobaczyłam, że napisał do jakiejś dziewczyny: „Ładne zdjęcie profilowe”. Na zdjęciu była w okularach kujonicy i ścisnęła usta w dzióbek. „Ha, ha, zrobiła mi je koleżanka. Szkoda, że nie widziałeś tych bardziej seksownych ujęć” – odpisała, a on na to: „A pokażesz?”. Na tym rozmowa się zakończyła, ale ja i tak urządziłam mu scenę. Od razu powiedziałam, że nie uda nam się stworzyć związku, że mu nie ufam. Rozmawialiśmy wtedy godzinami o tym, jakie są nasze granice i jak różne mamy pojęcie o tym, co jest dopuszczalne, a co nie. Przyznał, że będąc barmanem, przywykł do flirtowania w pracy i być może przekroczył pewną granicę, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. W końcu ujął moją twarz w dłonie i powiedział:

– Jen, nigdy, przenigdy cię nie zdradzę. Jeśli kiedykolwiek poczuję, że czegoś mi brakuje w naszym związku, od razu ci o tym powiem. Na tym właśnie polegał problem z moją ostatnią dziewczyną. Na braku komunikacji. Jeśli będziemy ze sobą absolutnie szczerzy, damy radę przejść przez wszystko.

No i odważyłam się wtedy na ten „skok wiary”. Zaczęliśmy budować prawdziwy związek, oparty na trwalszych fundamentach niż namiętność i pożądanie. Z czasem – choć powoli – zostaliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Po tym incydencie nic podobnego się nie powtórzyło. Kilka miesięcy potem Nat wzięła mnie na bok i powiedziała:

– Coś ty zrobiła Marcowi? Naprawdę się zmienił. Zrobił się z niego... prawdziwy mężczyzna. Naprawdę dojrzał.

– Tak? Poważnie? – spytałam z dumnym uśmiechem.

Jakaś część mnie cieszyła się, że tak się stało; w końcu udało nam się osiągnąć porozumienie co do istotnych kwestii.

Teraz wracam do rozmowy z siostrą.

– Tak, pamiętam, ale... Stella... rozmawialiśmy o tym wtedy całymi tygodniami; nic podobnego się więcej nie zdarzyło. Dzięki tym wszystkim rozmowom o naszych granicach i zaufaniu w końcu naprawdę mu zawierzyłam.

– Hm... – Moja siostra nie wydaje się przekonana. – No dobra, chciałam ci tylko pokazać, że to już utrwalony schemat zachowania. Co zrobisz, jeśli sytuacja powtórzy się za... powiedzmy pięć lat? Bo wygląda na to, że takie zachowanie to po prostu część tego, kim Marco jest. – Nie zdążyłam odpowiedzieć, a Stella dodała: – Ale prawdziwym problemem jest to całe gadanie o braku uczuć.

– Tak, to mnie przeraziło. Myślę, że chodzi o jakiś problem zdrowotny.

– Zdecydowanie. Marco pracuje całe noce i przesypia dni. Wiesz, jakie to niezdrowe nigdy nie oglądać słońca? Jestem pewna, że ma jakiś poważny problem zdrowotny. Powinien zrobić badanie krwi. Na pewno ma deficyt witaminy D i jeszcze kilku innych rzeczy. – Umysł mojej siostry jest jak komputer, pracuje szybko i sprawnie i od razu rozpoznaje, gdy ktoś wciska kit. – Czy Rosa i Oscar już przyjechali? – pyta i słyszę, jak znowu odkręca kran.

Rodzice Marca zaplanowali wielką podróż, by uczcić odejście Oscara na emeryturę – ich pierwszym przystankiem miał być Nowy Jork. Chcą zobaczyć Louise. Mają spędzić dwa tygodnie w lokalu moich rodziców, a potem ruszyć do Danii, gdzie mieszka siostra Marca ze swoją rodziną.

Moi rodzice znaleźli mieszkanie kilka przecznic od nas do podnajęcia na pierwsze trzy miesiące życia Louisy. Wprowadzili się tam pierwszego grudnia i, czekając na narodziny Louisy, przez cały miesiąc pomagali mi zaadaptować naszą sypialnię na pokój dziecięcy.

– Zapowiada się hiszpańsko-angielski miszmasz i mnóstwo wina! – zakomunikowała moja mama kilka dni wcześniej; była bardzo podekscytowana.

Ale teraz radosne spotkanie rodzinne wydaje się mało prawdopodobne. Odganiam tę myśl.

– Tak, dziś rano – odpowiadam siostrze. – Jeszcze z nimi o tym nie rozmawiałam. Bariera językowa tego nie ułatwia.

– Jenny, musisz zadbać też o siebie. Marco wiele zrzucił na twoje barki. Może i jest chory i rozumiem, że chcesz mu pomóc, ale dopiero co urodziłaś dziecko. Najpierw musisz zadbać o siebie i o małą.

– Okej. Masz rację – mówię, choć wiem, że obie, ja i moja córka, potrzebujemy Marca zdrowego.

Przez następne kilka dni obłąkańczo przeszukuję internet, wpisując: „atrofia uczuć”, „odrętwienie”, „wyczerpanie”, „stres”. W końcu mówię o naszej rozmowie rodzicom, ale pomijam wątek mejla. Mama natychmiast przyłącza się do poszukiwania wyjaśnień – to jej specjalność. Od razu stawia diagnozę.

– To hypoadrenia. Wyczerpanie nadnerczy – oznajmia z przejęciem. – Wszystko, co wyczytałam, absolutnie pasuje do Marca. Gdy organizm jest bardzo przemęczony, nadnercza przestają prawidłowo funkcjonować, co powoduje poczucie odrętwienia i utratę uczuć.

Nie mam pojęcia, co to nadnercza, ale brzmi sensownie.

– Tak, tak. To na pewno to. Wielkie dzięki, mamo. Od razu zacznę o tym czytać i może znajdziemy jakiś sposób, żeby się z tym uporać.

Rozłączam się i wpisuję w wyszukiwarce: „Hypoadrenia”. Po chwili czytam artykuł o „fizjologicznym wypaleniu”. Gdy kończę, jestem absolutnie przekonana, że znalazłam

przyczynę złego samopoczucia mojego męża. Jestem przerażona, bo jak na dolegliwość o niegroźnej nazwie „wypalenie” syndrom ten może być katastrofalny w skutkach – niekiedy może oznaczać rozpad rodziny, utratę pracy, a nawet chęci do życia. „Mimo wszystko to dobrze – stwierdzam nagle w myślach. – Jeśli to tylko fizjologiczny problem, to da się go wyleczyć. Marco robi badania krwi, które wykażą wszystkie niedobory. Jeśli wierzyć informacjom z internetu, powrót do zdrowia może wymagać wielomiesięcznego odpoczynku, ale mimo wszystko to dobra wiadomość, oznacza bowiem, że to, co dolega mojemu mężowi, podpada pod kategorię medyczną. Dawny Marco wróci, i znowu będzie między nami jak dotąd”.

Już mam do niego zadzwonić i powiedzieć, czego się dowiedziałam, ale zerkam na zakładkę „Historia” z boku ekranu. Najeżdżam na nią kursorem, choć jakiś głos krzyczy mi w głowie: „Nie rób tego! Nie rób tego!”. Za późno. Przeglądam historię stron internetowych otwieranych w ostatnich dniach. Kilka razy pojawia się Uber. Marco często korzysta z ich usług, jeżdżąc do pracy i z powrotem. Ostatnio nawet o tym rozmawialiśmy („Kochanie, twój szef powinien płacić za taksówkę, jeśli każe ci pracować do czwartej nad ranem. Wydajemy na twoje przejazdy sto pięćdziesiąt dolarów tygodniowo. To jakiś absurd”). „Porozmawiam z nim, skarbie, ale na pewno się nie zgodzi. Pracuję w gastrobiznesie. Tak już tutaj jest, że robi się do późna”). Loguję się na nasze wspólne konto na Uberze, choć tak naprawdę nie wiem, czego konkretnie szukam. Przebiegam wzrokiem po liście przejazdów do pracy i z powrotem do domu. Otwieram jeden z nich z zeszłego tygodnia, o 4.03 rano, i zerkam na mapkę z wyrysowaną trasą z Tribeca, gdzie pracuje Marco, do Astorii, gdzie mieszkamy. Tylko że... co, do cholery? Przystanek w Williamsburgu? Serce zaczyna mi walić. Otwieram kolejny, sprzed dwóch dni, o 5.30 rano (Marco wrócił do domu o 6.10), i znowu widzę przystanek w Williamsburgu. Truchleję. Z sypialni dobiega kwękanie Louisy. Wstaję z kanapy i robię krok w jej stronę, ale zaraz szybko wracam do komputera i nachylam się nad klawiaturą. Przebiegam po niej palcami i po chwili wyświetla się profil Chorwatki na Facebooku. Wchodzę w „Informacje” i oddycham z ulgą, gdy czytam, że mieszka na Upper East Side. Już mam zamknąć stronę, gdy mój wzrok pada na jej ostatnie zdjęcie. Siedzi po turecku w salonie otoczona kartonowymi pudłami. „Ktoś pomoże mi się rozpakować?” Oznaczono: „Williamsburg, Nowy Jork”...

PRZEDTEM

Marco oświadczył mi się dwudziestego drugiego grudnia. Dwa miesiące później, dwudziestego drugiego lutego, wzięliśmy ślub w nowojorskim ratuszu w obecności naszych rodziców, mojej siostry i jej męża Tima, Holly i Mike'a. Seb stał z boku, ściskając w dłoni obrączki. Dwa miesiące, które upłynęły od oświadczyn do ślubu, spędziłam na gorączkowym załatwianiu formalności związanych z wnioskiem o zieloną kartę dla Marca. Chcieliśmy mieć metrykę ślubu i złożyć wniosek o zieloną kartę, zanim urządzimy wesele w Maine, żeby móc pojechać na prawdziwy miesiąc miodowy. Tuż po powrocie do Nowego Jorku zasięgnęliśmy darmowej porady u prawnika zajmującego się imigrantami, ale uparłam się, że wypełnię wniosek sama i w ten sposób zaoszczędzę tysiąc pięćset dolarów na nasz miesiąc miodowy.

– Kochanie, jesteś pewna, że nie potrzebujemy prawnika? Nie chciałbym pomylić się w tak ważnej sprawie – powiedział Marco, gdy wyszliśmy z biura.

– Kotku, jestem pewna, że poradzę sobie lepiej niż prawnik. Będę z tym miała niezły ubaw.

– Jak chcesz, moja narzeczono – odrzekł Marco i objął mnie ramieniem. – Jeśli jednak odeślą mnie do Argentyny, to liczę, że pojedziesz tam ze mną i nauczysz się tańczyć tango.

– Mogę obiecać przynajmniej tyle, że będę do ciebie codziennie pisać do czasu, aż poznam kogoś innego – odparowałam, a Marco pacnął mnie po pupie, gdy wchodziliśmy do kawiarenki, by poczytać w internecie o wniosku o zieloną kartę na podstawie małżeństwa z obywatelem amerykańskim.

Nazajutrz spędziłam cztery godziny na analizowaniu formularza za formularzem, pytania za pytaniem, wszystkich instrukcji i listy opłat. W końcu miałam przygotowany szczegółowy list aplikacyjny, opisujący każdą stronę, jaką należało dołączyć do wniosku. Westchnęłam z satysfakcją, wydrukowałam go, zasznurowałam zimowe buty i podreptałam ulicami pokrytymi gołoledzią do Rite Aid, przecnicę od naszego mieszkania. Kupiłam czarny segregator, album na zdjęcia, podziałki alfabetyczne i z trudem dobrnęłam z tym wszystkim do domu. Przez następne dwa miesiące ślęczałam nad wnioskiem długie godziny. Co chwila dzwoniłam i esemesowałam do Marca: „Jak brzmią pełne imiona twoich rodziców?”, „Gdzie jest twój paszport?”, „Dlaczego nie załatwiłeś I-04, gdy dwanaście lat temu przyjechałeś do Stanów?” („Ten... tego... chyba je zgubiłem kilka lat temu podczas przeprowadzki”. „Marco. Wrrrr. Okej. Jakoś to ogarnę”), kserowałam nasze akty urodzenia, paszporty, wyciągi z konta, umowę najmu mieszkania, rachunek za wspólny telefon komórkowy i każdy inny niezbędny dokument. Wydrukowałam pięćdziesiąt zdjęć dokumentujących nasz związek – od czasów spotkania w burgerowni po zaręczynowy toast – i pod każdym umieściłam czuły podpis: „Pierwsza podróż do Disneya”, „Wakacje w Lake Luzerne”, „Zbieranie jabłek z Sebastianem”. Moi rodzice i Holly podpisali oświadczenia, w których potwierdzali, że od dwóch lat jesteśmy w związku; sporządziłam aneks, w którym wyjaśniłam każdą potencjalną przeszkodę, mogącą spowodować zwłokę, i zawarłam wszelkie dodatkowe informacje przydatne służbom imigracyjnym („Proszę zwrócić uwagę, że pan Medina zagubił formularz; załączam kserokopię strony paszportu pana Mediny z wpisem z lotniska Johna F. Kennedy'ego z 10 grudnia 1999 roku). Dwudziestego pierwszego lutego dwa tysiące trzynastego roku miałam już przygotowany cały wniosek o zieloną kartę – elegancko uporządkowany w czarnym segregatorze, każdy dokument za zakładką z odpowiednią literą alfabetu, w kolejności zgodnej z listem aplikacyjnym. Tylko między A i B było puste miejsce – tamtego popołudnia, dzień przed naszym ślubem cywilnym, otworzyłam segregator i przeczytałam na głos zakładkę: „Metryka ślubu”.

– Kochanie, spójrz na ten piękny segregator – powiedziałam, pakując walizkę, bo zamierzałam zatrzymać się tej nocy w hotelu. – Oczekuję, że łaskawie przyznasz mi rację, że nie potrzebowaliśmy prawnika.

Marco otworzył segregator i przerzucił zakładki.

– Niesamowite. Jesteś po prostu niesamowita. Czy możemy szybko uczcić twoją niesamowitość, zanim wyjdiesz? – zapytał, pociągając mnie za szlufkę od paska, gdy zapinałam buty.

– Rodzice właśnie przysłali mi esemes, że czekają na mnie w hotelu. Idziemy na obiad, jestem już ubrana, ale muszę się jeszcze umalować...

– I oto zaczyna się nudne życie małżeńskie. – Marco pocałował mnie czule. – Nie potrzebujesz się malować. Bez makijażu wyglądasz jeszcze piękniej.

Uśmiechnęłam się.

– Jak długo by to uczczenie miało potrwać? Z pięć minut?

– Och, mogę się uwinąć w pół minuty.

– Cóż za romantyzm. – Roześmiałam się i przyciągnęłam go do siebie.

Dzień po tym, jak w niecałe pięć minut rozradowana urzędniczka udzieliła nam ślubu w nowojorskim ratuszu, mój przystojny szpakowaty, świeżo upieczony teść wymamrotał:

– *Muy rapido, no?*

– Bez obaw. Uroczystość i wesele w Maine będą bardziej tradycyjne. Jenny i Marco chcieli uruchomić procedurę przyznawania zielonej karty, żeby w przyszłym roku spędzić miesiąc miodowy we Francji – odparł po hiszpańsku mój tata.

Miałam na sobie prostą kopertową sukienkę, którą znalazłam na Etsy kilka tygodni wcześniej, i satynowe szpilki. Marco stał naprzeciw mnie w szarym garniturze, z wąskim czarnym krawatem i uroczym uśmiechem zdradzającym wielkie zdenerwowanie. „Szczęściara z ciebie” – pomyślałam.

Świętowaliśmy tego wieczoru z naszymi rodzicami, moją siostrą i Timem w restauracji Dos Caminos przy Park Avenue South. Rodzice Marca mieli czterdziestoośmiogodzinny postój w drodze powrotnej z Danii i nazajutrz wracali do Argentyny – dlatego między innymi zdecydowaliśmy się na tę datę. Nasi rodzice spotkali się po raz pierwszy tamtego popołudnia w ratuszu i siedzieli teraz naprzeciwko siebie przy długim prostokątnym stole, a my z Markiem, wtuleni w siebie jak dwa gołąbki, naprzeciw Stelli i Tima. Słyszałam, jak moja mama i Rosa, mama Marca, rozmawiają ze sobą, z przesadą wymawiając hiszpańskie i angielskie słowa, próbując rozszyfrować, co znaczą, i śmiejąc się w głos. Mój tata i Oscar, ojciec Marca, prowadzili jakąś bardzo poważną rozmowę po hiszpańsku – ojciec Marca żywo gestykulował, a mój kiwał głową, próbując nadażyć i od czasu do czasu wtrącić jakieś zdanie.

– Nasze obrączki wyglądają ślicznie – powiedziałam, przykładając swoją lewą dłoń do ręki Marca. – Zakochałam się w nich.

Marco splótł palce z moimi palcami.

– A ja zakochałem się w tobie.

– Kocham cię, jak nie wiem co.

Marco przeprosił i poszedł do toalety. Chwilę później zjawiała się kelnerka.

– Jeszcze jeden? – spytała, wskazując na pustą szklanę.

– To mojego... męża – powiedziałam, a potem spojrzałam na siostrę i zapiszczałam ze szczęścia. – Tak, mój mąż chętnie wypije jeszcze jednego – zwróciłam się do uśmiechniętej dziewczyny.

Tego wieczoru policzki bolały mnie tak bardzo, że musiałam składać usta w dzióbek, stojąc na chodniku i czekając na taksówkę do Palace Hotel, gdzie mieliśmy spędzić noc poślubną

(prezent od moich rodziców). Usiadłam w taksówce obok Marca i położyłam głowę na jego ramieniu.

- Moja żona. Moja żona. – Usłyszałam, jak mówi gdzieś nad moją głową.
- Mój mąż. Mój mąż – odpowiedziałam.
- Moja żona – powtórzył.

POTEM

Nazajutrz Marco i ja bierzemy Louise i idziemy zjeść z Rosą i Oscarem śniadanie w knajpce na rogu. Gdy stajemy w drzwiach, Rosa podnosi się z krzesła i rzuca się ku Louise. Nagle po policzkach spływają mi łzy. „Proszę, pomóż mi” – chcę wyszeptać, gdy bierze mnie w ramiona.

– *Mi amor?* – pyta, patrząc na Marca.

– To hormony, mamó – wyjaśnia Marco po hiszpańsku. – Od kiedy urodziła się Louisa, Jen miewa hormonalne wahania nastrojów i płacze z byle powodu. Ale wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Rosa przygląda mi się uważnie, a potem zerka na Louise.

– *Śi?* – pyta niepewnie.

– *Śi* – przytakuję z wymuszonym uśmiechem. – *Śi, śi.*

Chcę jej powiedzieć, że nic nie jest w porządku. Chcę jej opowiedzieć, co się dzieje od kilku dni, ale wygląda na to, że Marco nie zamierza nic o tym wspominać, a ja nie znam na tyle hiszpańskiego. Przy śniadaniu ledwie dziobię to i owo z talerza, a Marco mechanicznie wcina swój omlet. Rosa i Oscar spoglądają na siebie z niepokojem. Modłę się, by zauważyli, że coś tu nie gra. Od chwili gdy ich poznałam trzy lata temu, czułam, że są mi bliscy, ale zawsze komunikowaliśmy się tylko gestami i uśmiechem. Nie potrafiłabym opowiedzieć, co się stało, nawet po angielsku, a co dopiero w języku, w którym ledwo dukam? „Proszę, pomóżcie mi – chcę powiedzieć. – Pomóżcie mi odzyskać waszego syna”. Tymczasem Louisa zaczyna się wiercić w wózku i Rosa natychmiast wstaje z krzesła.

– *Preciosa* – woła Rosa, gdy Louisa otwiera oczy i wyciąga swoje małe rączki w górę.

Przez następne dwadzieścia minut Rosa i Oscar z radością przekazują sobie nawzajem małą. Gdy wstajemy, by wyjść, Rosa pomaga mi włożyć ją do wózka. Odwracam się do niej; musi być jakiś sposób, żeby jej powiedzieć. Zanim udaje mi się znaleźć słowa, Rosa mnie przytula.

– Wszystko będzie dobrze – mówi, głaszcząc mnie po plecach, i dodaje coś po hiszpańsku.

Szukam słów, by powiedzieć jej, że z dnia na dzień Marco stał się obcym człowiekiem, ale w głowie mam pustkę. W milczeniu idziemy do drzwi.

Gdy tamtej nocy Marco wraca do domu, nie śpię, karmię Louise. Mówię mu w końcu o wszystkim, czego się dowiedziałam, i opisuję objawy hypoadrenii.

– Tak, tak. Tak się właśnie czuję – potwierdza Marco.

– Widzisz? Jesteś przepracowany i przemęczony, kochanie. Wiedziałam, wiedziałam, że to o to chodzi.

Gdy pytam go o przejazdy Uberem, wzdycha.

– Skarbie. W Williamsburgu mieszka przynajmniej pięćdziesięciu moich pracowników. Z jednym z barmanów często wspólnie zamawiamy taksówkę. Mieszka przy Bedford Avenue. Dajże już spokój.

Louisa znowu budzi się o piątej rano. Marco leży obok i chrapie. Idę do salonu po szklankę wody. Na kanapie ładuje się jego telefon. Po roku bycia razem zdradziliśmy sobie wszystkie nasze hasła, choć nie w wyniku jakiejś wspólnie podjętej decyzji. Marco po prostu zawołał kiedyś z łazienki, żebym sprawdziła, czy szef odpowiedział mu na mejl. Pamiętam też, jak wychodząc z Sebem do szkoły, rzuciłam Marcowi swój telefon i poprosiłam, żeby odpowiedział na esemes od mojej mamy. I tak poznaliśmy te kilka swoich haseł, które wszędzie

stosowaliśmy. Gdy zapalam ekran i wpisuję kod, tętno przyspiesza. „Sprawdzę tylko jego wiadomości, by się utwierdzić w tym, co i tak już wiem” – mówię sobie w duchu. Przewijam jedną po drugiej. Nic. Ostatnią osobą, do której pisał, jest Nat. Czytam ich rozmowę. Marco pisze jej o swoim odrętwieniu, a ona w odpowiedzi sugeruje mu delikatnie, żeby ograniczył pracę i że to nie jest najlepszy moment, by dokładać mi zmartwień. Uśmiecham się. Nat jest po mojej stronie.

Nat: Stary, jak ktoś pracuje od drugiej po południu do czwartej nad ranem, to musi się liczyć z poważnymi problemami zdrowotnymi. Musisz sobie zrobić przerwę. Spędzać więcej czasu z Jen i maleństwem. Przytulać ich. Wypaść się porządnie. Mówię poważnie.

Marco: Chyba tak. Sam nie wiem. Nic nie czuję. Tylko odrętwienie.

Nat: Okej... ale nadal kochasz Jen, prawda? Bo gdybym ja miała się z kimś związać do końca życia, to na pewno wybrałabym ją. Ha, ha, ha.

Marco: Nie wiem. Bałbym się utraty dziecka, ale jej nie.

Krew mi w żyłach lodowacieje. Potem wrze. Potem znów zamienia się w lód. Wpatruję się w ekran. Muszę się stąd wydostać. Jak automat maszeruję do sypialni Seba, którą planowaliśmy przekształcić w pokój dziecięcy, i wyciągam spod łóżka walizkę. Przystawiliśmy tu moją bieliźniarkę, żeby zrobić w naszej sypialni miejsce na łóżeczko Louisy. Pośpiesznie wysuwam szuflady i pakuję ubrania do walizki. Na łóżku Seba leży stos upranych ubrań, chwytam kilka niemowlęcych ciuszków i dorzucam na wierzch walizki. Na palcach wracam do sypialni i odłączam telefon od ładowarki. Wchodzę na jetBlue.com i wybieram lot do Portland za całe dwieście pięćdziesiąt dolarów. Jest za drogi, jestem przerażona, że będę na pokładzie z maleńką Louisą. Kupuję. Mam godzinę, by dotrzeć na lotnisko. Wyjmuję śpiacą Louisę z bujaka i wkładam ją do fotelika samochodowego stojącego w salonie. Wierci się, ale zaraz znowu zasypia. Wracam do sypialni.

– Marco? – Głos mi drży. – Marco? Lecę z Louisą do Maine. Nie mogę tu dłużej zostać. Czytałam twoją rozmowę z Nat i nie mogę tu z tobą być.

„To twoja ostatnia szansa – mam ochotę wykrzyczeć. – Proszę, postaraj się, proszę, wybierz nas, jest mało czasu”. Powoli otwiera oczy i siada.

– Co ty, do cholery, wygadujesz, Jen?

– Napisałeś: „Bałbym się utraty dziecka, ale jej nie” – mówię i znowu wybucham płaczem. – Muszę iść. Kupiłam bilet do Maine. Nie mogę tu dłużej zostać. W takim stanie nie dam rady zajmować się Louisą.

Marco zwłóknął się już z łóżka i teraz idzie szybko w moją stronę, ma dzikie spojrzenie. Cofam się na korytarz, potem do salonu. A on idzie za mną. I krzyczy:

– Jesteś najbardziej kurewsko egoistyczną osobą, jaką znam! Co mam niby powiedzieć moim rodzicom?! Pomyślałaś o tym? Przyjechali tu dla ciebie i dla Louisy! Będą zdruzgotani, i to będzie twoja wina!

Jestem już w kuchni. Rozglądam się. Nie mam się dokąd wycofać. Marco wciąż krzyczy, oczy nabiegły mu krwią. Chwyta fotelik z Louisą i znika w sypialni Seba.

– Neeee... – Wydaję jęk i biegnę za nim.

– Co z tobą, do kurwy nędzy?! Chcę się pożegnać z moją córką! Mogę?

Ogarnia mnie poczucie winy, gdy wyobrażam sobie, jak niepokieszeni będą rodzice Marca. Wysłałam do Sofii esemes, w którym opisuję sytuację: „Proszę, powiedz swoim rodzicom, że bardzo mi przykro, ale nie mogę tu zostać i w takim stanie zajmować się Louisą”. Po chwili przychodzi odpowiedź: „Poczekaj. Porozmawiam z nimi”.

Nie powinnam do niej pisać przed wyjściem z domu. Teraz nie będę mogła uciec.

„Ubierają się. Zaraz u ciebie będą. Proszę, nie wychodź, dopóki nie przyjadą”.

Cholera. Cholera. Cholera.

Mam tylko pięćdziesiąt minut, żeby dotrzeć na lotnisko JFK. Po jakimś czasie słyszę trzaskające drzwi wejściowe do budynku, a potem stłumione głosy na schodach mówiące po hiszpańsku. Chwytam Louise i walizkę i wychodzę na klatkę.

– *Lo siento* – powtarzam raz po raz.

Rosa bierze mnie w ramiona. Ma łzy w oczach.

– *Mi amor, mi amor*, chodź ze mną – mówi.

– Spokojnie, spokojnie – odzywa się Oscar.

Ma zatroskaną twarz. Kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Proszę, pójdz z Rosą do naszego mieszkania, a ja porozmawiam z Markiem. Proszę.

Jestem w potrzasku. Idę z Rosą do subaru zaparkowanego tuż przed budynkiem, montuję fotelik Louisy i rzucam walizkę do bagażnika. Jedziemy do mieszkania, które podnajmują moi rodzice. Taszczę Louise po schodach na górę. Na szczęście mała śpi spokojnie. Rosa od razu wyjmuję komórkę i dzwoni do Sofii. Gdy na ekranie pojawia się jej twarz, mówię jej o mejlu, wypaleniu i wymianie zdań, którą przeczytałam. Słucha w milczeniu. Mówi coś powoli po hiszpańsku do mamy, tłumacząc jej wszystko, co powiedziałam. Oczy Rosy robią się coraz większe, w końcu zakrywa twarz dłonią i wybucha płaczem. Sofia mówi po hiszpańsku:

– Mamo, ona musi jechać do domu. Gdybym to ja znalazła się w takiej sytuacji, nie chciałabyś, żebym była w miejscu, gdzie czuję się bezpiecznie? Przy Marcu Jen nie czuje się teraz bezpiecznie. Nie wiem, co się z nim dzieje, ale coś tu nie gra. Ani ona, ani dziecko nie powinny teraz z nim mieszkać.

Rosa potakuje. Po twarzy ciekną jej łzy, buja się w przód i w tył i wciąż powtarza:

– *Dios mío. Dios mío.*

Żegnamy się z Sofią.

– Pokaż mi tę dziewczynę. – Rosa zwraca się do mnie po hiszpańsku.

Wchodzę na profil Chorwatki i podaję Rosie telefon.

– Nie, aj... nie, nie, nie – jęczy Rosa.

Żołądek mi się ścisza. Nie mam czasu jej pytać, co o tym myśli, i nie jestem pewna, czy w ogóle chcę wiedzieć.

– Rosa, *lo siento*, muszę iść – oznajmiam i biorę fotelik.

Przytula mnie i mówi, że Marco na pewno jest chory, że zajmą się tym i że wszystko będzie dobrze. Kiwam głową.

– *No sé, no sé* – mówię. – *No comprendo nada.*

Wsadzam Louise do samochodu i odjeżdżam. Mam trzydzieści minut do zamknięcia bramki. Dzwoni telefon.

– Słucham?

– Ojciec mówi, że nie mogę ci pozwolić wyjechać – rzuca Marco. Teraz ma spokojny i opanowany głos. – Przynajmniej pozwól, żebym odwiózł was na lotnisko. Porozmawiamy po drodze. Proszę cię.

Naciskam hamulec.

Gdy Marco wsiada do samochodu, wiem już, że nie zdążę na samolot. W połowie drogi zawracamy.

– Kochanie, byłem pijany, gdy pisałem te rzeczy do Nat. Wszystko mi się poplątało w głowie. Nie miałem niczego takiego na myśli. Kocham cię ponad wszystko w świecie. Proszę, uwierz mi. Coś mi się stało. Chyba mam to, co mówiłaś... Wypalenie, tak? Nie chodzi o to, że cię nie kocham, tylko o to, że nic nie czuję. Nie rozumiesz... Straciłem wszystkie uczucia. Jesteś najważniejszą częścią mojego życia. Czy wiesz, jakie to straszne patrzeć na kobietę, którą

poślubiłem, z którą postanowiłem być do końca swoich dni, i nic nie czuć? Musisz mi pomóc.

Zaciskam dłonie, gdy zatrzymujemy się na naszej ulicy.

– Pogubiłam się w tym wszystkim – mówię. – Jest mi z tym źle.

Jak mam ująć w słowa, że człowiek, który siedzi obok mnie, stał się mi obcy? Że ktoś, przy kim czułam się jak w bezpiecznym domu, teraz napawa mnie lękiem.

– Poradzimy sobie – obiecuje Marco.

Parkuję, Marco wyskakuje z samochodu, sięga na tylne siedzenie i zabiera fotelik. Siedzę ze wzrokiem wbitym w przednią szybę.

– Jen, no chodź – rzuca.

Próbuje ukryć poirytowanie, ale wyczuwam je, jeżą mi się włoski na karku. Powoli odpinam pas i idę za Markiem do naszej kamienicy.

Po moim ciele rozlewa się strach.

PRZEDTEM

Kilka miesięcy po ślubie Marco wrócił do domu z nowej pracy i opadł na kanapę.

– Nie dam rady tego więcej robić. Nie znoszę pracować dla ludzi, którzy nie wiedzą, co robią. Myślałem, że na tym etapie życia będę miał coś własnego. A jestem trzydziestoczteroletnim barmanem.

– No to otwórzmy własny interes. Zróbmy plan. A przynajmniej zacznijmy myśleć, co zrobić, żeby to jakoś zadziało – powiedziałam, głaszcząc go po włosach.

– Skarbie, gdybym miał własny bar, zarabialibyśmy kokosy. Pracowałem w tylu różnych miejscach i wiem, co trzeba robić, a czego się wystrzegać. Znam się na tym o niebo lepiej od tego dupka, dla którego teraz pracuję. To mnie wykańcza.

– Wiem, że odniósłbyś sukces. Zawsze to wiedziałam, Marco. Jesteś taki pracowity. Dlatego się do ciebie przyssałam – rzuciłam z żartobliwym uśmiechem.

– Uda nam się, kochanie. – Gestem przywołał mnie do siebie i wtulił głowę w moje ramię. – Dziękuję, że we mnie wierzysz. Nie zawiodę cię.

– Wiem, że mnie nie zawiedziesz – odparłam i po raz tysięczny przytknęłam nos do jego nosa. – Czy teraz mam mniej spiczasty nos?

– Twój nos jest doskonały.

– Nie, jest zbyt spiczasty, ale jak zawsze udzieliłeś poprawnej odpowiedzi – odpowiedziałam, włączając najnowszy odcinek *Żywych trupów*.

Nazajutrz po południu Marco zadzwonił do mnie w drodze powrotnej z biznesowego brunchu.

– Cześć, skarbie. Myślałem o tym, o czym rozmawialiśmy wczoraj wieczorem, i postanowiłem, że pójdę za ciosem. Umówiłem się z moim dawnym klientem Steve'em, który już od dawna przebąkuje o otwarciu własnego interesu. Spytałem go, czy nie chce wejść w spółkę. Ma ogromne doświadczenie w branży gastronomicznej. Myślę, że dobrze by mi się z nim współpracowało.

– To ekstra! Bardzo się cieszę. Wracasz potem do domu? Chcę, żebyś mi wszystko opowiedział!

Po powrocie Marco stwierdził, że spotkanie przebiegło lepiej, niż się spodziewał.

– Steve rozmawiał z Tommym, tym gościem, co prowadzi Nosh, tę nową włoską knajpę na naszej ulicy.

– Czekaj... mówisz o tej strasznie eleganckiej restauracji, która zawsze świeci pustkami? – spytałam, wrzucając do blendera mrożone truskawki i mleko migdałowe.

– Tak, właśnie o niej. W tym cała rzecz, rozumiesz? Tommy rozpaczliwie chce sprzedać swój interes, bo już teraz przynosi mu duże straty. Nie pasuje do tej okolicy. Więc od pewnego czasu powtarza Steve'owi, że gdyby dał mu zaliczkę w wysokości jakichś dwudziestu pięciu tysięcy, restauracja jest jego.

– Tylko dwadzieścia pięć tysięcy? Poważnie?

Nie miałam pojęcia o rynku nieruchomości, ale wiedziałam, że takie lokale w Nowym Jorku kosztują grubo ponad sto tysięcy.

– Staralibyśmy się ze Steve'em o małą pożyczkę dla przedsiębiorców. Steve i jego żona Michelle już o tym myśleli, a ponieważ Michelle jest Azjatką, z łatwością dostałaby preferencyjny kredyt dla mniejszości etnicznych. Mamy już nawet nazwę: Thirsty Owl – powiedział Marco i zajrzał do blendera. – Dla mnie też zrobisz taki koktajl?

– Jasne. Okej, słuchaj, to brzmi naprawdę obiecująco. Wygląda na to, że wybrałeś

doskonały moment na rozmowę ze Steve'em. Mogłabym przeznaczyć część moich oszczędności na tę zaliczkę – powiedziałam z entuzjazmem.

– No nie wiem, skarbie. Jesteś przekonana, że to dobry pomysł?

– No cóż, jeśli macie wizję i biznesplan, to tak, jestem przekonana. Te pieniądze leżą bezproduktywnie, wolę je zainwestować w mojego męża niż nic z nimi nie robić.

Miałam odłożoną pewną sumę, zarobioną w funduszu hedgingowym i w modelingu, tak więc kilka tygodni później wypisałam Marcowi czek na dwadzieścia pięć tysięcy dolarów po czym wspólnie ze Steve'em świętowaliśmy u Doyle'a.

– Za naszą pierwszą restaurację, za Thirsty Owl! – powiedział Steve i stuknęliśmy się kieliszkami.

– Dobrze, cholera, gada! – zawtórował Marco.

Otwarcie restauracji okazało się dużo bardziej skomplikowane i stresujące, niż którekolwiek z nas sobie wyobrażało; przez kolejne kilka miesięcy piętrzyły się przeszkody. Zaczęło się od tego, że uzyskanie kredytu dla drobnych przedsiębiorców wywodzących się spośród mniejszości narodowych nie było tak proste, jak Steve i Michelle liczyli. Gdy tylko Tommy dał im klucze, Steve i Marco pełną parą ruszyli z remontem, a teraz kończyły im się pieniądze. Perspektywa kredytu preferencyjnego stawała się coraz bardziej odległa, więc musiałam wypisać kolejny czek, by zapłacić za prace remontowe i materiały. Steve, Michelle i Marco poświęcali restauracji każdą wolną chwilę. Uzgodnili, że skoro Michelle bierze pożyczkę, to cała trójka powinna mieć w spółce równe udziały.

– Wszystko idzie w złym kierunku – stwierdził Marco pewnego wieczoru po tym, jak cały dzień malował ściany w restauracji. – Kończą nam się pieniądze. Ludzie od pożyczki robią nas w bambuko. Powinniśmy zakończyć tę sprawę kilka tygodni temu, ale ona utknęła w martwym punkcie. I wygląda na to, że Steve i Michelle chcą mnie wysiudać z interesu.

– Co masz na myśli? – spytałam zaniepokojona. – Dlaczego mieliby cię wysiudać?

– Nigdy nie chcą, bym był na miejscu. Michelle mnie nie znosi, bo mamy inną wizję tego, jak należy robić pewne rzeczy. Mam wrażenie, że oboje próbują się mnie pozbyć.

– Okej... – mówię powoli. – Musimy wyłożyć wszystkie karty na stół. Usiądziemy jutro we czwórkę i wszystko omówimy.

Nazajutrz w napiętej atmosferze cała nasza czwórka usiadła przy drewnianym stole w pustej restauracji wśród drabin, narzędzi i kurzu. Marco zaczął od tego, że ma wrażenie, iż przestaliśmy działać jak zespół, a Steve i Michelle odparowali, że ich zdaniem Marco wkłada w całe przedsięwzięcie mniej wysiłku niż oni.

– Jesteśmy tutaj dzień w dzień, Marco – powiedziała Michelle. – A ty wpadniesz od czasu do czasu, pokręcisz się przez godzinę, i już cię nie ma.

Ściskam pod stołem Marca za rękę.

„Nie angażuj się emocjonalnie” – przekazuję mu telepatycznie.

W rezultacie do końca spotkania musieliśmy robić ze Steve'em za mediatorów między Markiem i Michelle.

– Słuchajcie – powiedziałam. – Wszyscy jesteśmy zestresowani. Dobijają nas kwestie finansowe i oczekiwanie na pożyczkę. Marco nie chce stracić tego, co już zainwestował, a wy macie na karku Tommy'ego, który domaga się kolejnych rat. Wszyscy jesteśmy ogromnie zdenerwowani.

– Jen ma rację – przyznał Steve. – Tommy mówił ostatnio, że odbierze nam klucze i wystąpi o odszkodowanie. W zasadzie rozpirzyliśmy jego restaurację w drobny mak i nie zapłaciliśmy pozostałych stu dwudziestu pięciu tysięcy, które miał dostać już kilka tygodni temu. To ci ludzie od pożyczki wpakowali nas w to szambo.

– Gdyby udało mi się wskrobać jeszcze z pięćdziesiąt tysięcy, Tommy uspokoiłby się na jakiś czas? – zapytałam, próbując na szybko znaleźć jakieś rozwiązanie.

– Na pewno dałby nam spokój na kilka miesięcy. A wtedy mielibyśmy już pieniądze z pożyczki. Od razu byśmy ci oddali i spłacili Tommy’ego, no i jeszcze by zostało na kapitał obrotowy – powiedział Steve, a Michelle i Marco przytaknęli skinieniem głowy.

– Dobra, to porozmawiam z rodzicami i zobaczę, co da się zrobić – odparłam, rytmicznie uderzając stopą o podłogę.

Choć czułam się z tym okropnie, postanowiłam poprosić rodziców o pożyczkę. Zapytałam ich jeszcze tamtej nocy.

– To chyba dobra inwestycja – stwierdziła mama.

– Dołożymy się, ale pod jednym warunkiem – powiedział tata. – Musisz być równym partnerem w tej spółce. Skoro wykładasz tyle pieniędzy, musisz być wpisana do umowy spółki i ją podpisać.

Dwa tygodnie później cała nasza czwórka zasiadła przy tym samym drewnianym stole w pustej sali restauracyjnej i podpisała umowę spółki, a po kolejnych dwóch tygodniach dostaliśmy pożyczkę. Nagle staliśmy się właścicielami restauracji.

– O rany! Udało ci się! – zawołałam, gdy Marco zakończył rozmawiać ze Steve’em przez telefon. – Nie żebym w ciebie nie wierzyła, ale przez chwilę bałam się, że wszystko szlag trafi. Ale udało ci się!

– Udało się nam. Mamy restaurację. Jasna cholera!

– Jasna cholera!

POTEM

– Dowiem się, w czym rzecz – mówi Oscar po hiszpańsku opanowanym głosem.
– Dowiem się, jeśli chodzi o jakąś kobietę. Marco nigdy mnie nie okłamuje. Zaufaj mi, *mi amor*. Dowiem się, co tu jest grane.

Siedzę na kanapie w mieszkaniu podnajmowanym przez moich rodziców, w którym Rosa i Oscar zatrzymali się na dwa tygodnie. Rozumiem, co mówią, ale nie umiem im poprawnie odpowiedzieć.

– *No comprendo. No comprendo nada* – mamroczę.

Mechanicznie powtarzam to zdanie, bo nic innego nie potrafię powiedzieć. Rosa i Oscar wypytyją mnie od kilku dni, próbując zrozumieć, co doprowadziło do tego, że nieomal uciekłam z Nowego Jorku z Louisą. Łamaną hiszpańszczyzną po raz kolejny opowiadam o mejlu i zmianie w zachowaniu Marca, ale nie układa się to w żadną sensowną całość, co przypieczętowuje cisza, jaka zapada po moim kolejnym *No comprendo nada*. Uczepiam się obietnicy Oscara. Dowie się, co jest grane. Jeśli ktokolwiek może dotrzeć do Marca, to właśnie on, człowiek, którego Marco szanuje nade wszystko. Chcę im powiedzieć, jak strasznie się boję. Chcę im powiedzieć, że dwudziestego stycznia mężczyzna, który był moją bezpieczną przystanią i moją miłością, spojrzął na mnie pustym wzrokiem i powiedział: „Patrzę na ciebie i nic nie czuję”. Chciałabym móc powiedzieć cokolwiek, co by nadało temu wszystkiemu jakiś sens. Że tak naprawdę od lat jesteśmy ze sobą nieszczęśliwi. Że co noc kłócimy się i na siebie wrzeszczymy i że od miesięcy ze sobą nie spimy. Ale kocham mojego męża. Przeraza mnie macierzyństwo; od powrotu ze szpitala kotłują się we mnie hormony, powodując nieznośny niepokój, ale wiem, że kocham mojego męża najbardziej na świecie. Głos więźnie mi w gardle, gdy po raz kolejny powtarzam: *No comprendo nada*.

Rosa i Oscar idą porozmawiać z Markiem. Spędzam z nimi poranki w jasnym dwupokojowym mieszkaniu z widokiem na Empire State Building. Marco budzi się teraz jeszcze później niż zwykle, a ja mam dość chodzenia na palcach po naszej ciemnej i dusznej klitce. Choć porozumienie między mną a jego rodzicami kuleje, ich towarzystwo podnosi mnie na duchu. Nasza trójka zawzięła się, by odzyskać dawnego Marca. Dziś rano opatuliłam Louisę w szary polarowy kombinezon z uszami króliczka, zniosłam ją po skrzypiących schodach i wysłałam z naszej posępnej kamienicy na mróz. Słońce raziło mnie w oczy, a wiatr policzkował twarz lodowatymi podmuchami. Włożyłam małą do jasnoczerwonego wózka i poszłam do kawiarni kilka przecznic dalej.

– Ile ma? – spytała kasjerka, gdy kupowałam latte.

– Dziś kończy pięć tygodni.

Usłyszałam, jak dwie kobiety siedzące przy stoliku obok szepczą między sobą:

– Mój Boże, ta kobieta wygląda świetnie.

Już się miałam odwrócić i powiedzieć im, że przez ostatni tydzień schudłam cztery kilo, bo odkryłam, że mój mąż prawdopodobnie ma romans, ale zamiast tego przykleiłam sobie na twarz uśmiech, wepchnęłam pod czapkę niesforne kosmyki i ruszyłam w stronę drzwi, by przywitać Rosę i Oscara.

Teraz czekam z Louisą u nich w mieszkaniu. Rozmawiają z Markiem już od godziny. Czekam i obgryzam paznokcie. W końcu słyszę brzęk kluczy i wstają. Wchodzą.

– *No hay otra mujer!* – woła Oscar tryumfalnie.

Łączę się z Sofią, żeby przetłumaczyła, bo chcę wiedzieć o wszystkim, co się wydarzyło. Sofia przekłada mi rozmowę zdanie po zdaniu. Oscar przemaglował Marca w sprawie tego mejla

i dziewczyny i nie ma wątpliwości, że Marco mówi prawdę. Nie ma żadnej innej kobiety. Ta panna to tylko znajoma z pracy, której chciał pomóc, nawet nie można jej nazwać koleżanką. Oscar i Rosa bardzo się martwią stanem psychicznym i fizycznym syna. Rosa mówi coraz głośniej, a na jej twarzy wymalowuje się troska. Tłumaczy, że Marco źle sypia, je byle co i za długo pracuje, i że to dlatego zachowuje się inaczej i utracił uczucia.

– *Enfermo*. – Zwraca się do Sofii i do mnie. – Bardzo, bardzo chory.

Oddycham z ulgą, a potem nagle, uświadamiam sobie, że nie pamiętam, kiedy ostatni raz brałam prysznic. Rosa pilnuje Louisy, a ja stoję pod strumieniem gorącej wody i namydlam ciało. Przez ścianę i szum wody słyszę płacz małej i ledwo splukawszy włosy, zakręcam kurek i zawijam się w ręcznik.

– *Gracias* – mówię, biorąc Louise z rąk Rosy i tuląc ją.

– *Tiene hambre* – poucza mnie Rosa. – Dzieci nie płaczą bez powodu. Pewnie jest głodna.

Udaję, że nie rozumiem, co mówi, bo nie potrafię odpowiedzieć po hiszpańsku, że dwadzieścia minut temu ją karmiłam, że brodawki tak mnie boją, jakby ktoś przepuścił je przez maszynkę do mięsa, i że choćbym robiła nie wiem co, to Louisa będzie płakać, bo jest noworodkiem, a noworodki mają kolki.

– *Gracias* – rzucam zamiast tego.

– *Yo voy hablar con Marco*.

Rosa kładzie mi dłoń na ramieniu i mówi bardzo wolno po hiszpańsku, że to niezwykle ważne, bym sprawiała teraz mężowi drobne przyjemności: rano przynosiła mu filiżankę kawy, całowała przed wyjściem do pracy, masowała mu barki w nocy.

– *Sí* – mówię. – *Sí, sí, yo sé*.

Gdy wracam do naszego mieszkania, Marco akurat wychodzi spod prysznicza.

– Hej, skarbie – rzucam z udawaną wesołością, ignorując przerażenie, które czai się gdzieś w moim wnętrzu. – Jak tam rozmowa z rodzicami?

– No cóż, tata pytał mnie ze sto razy, czy mam romans, i ze sto razy odpowiadałem mu, że nie. Więc spotkanie było niezwykle produktywne – kwituje z sarkazmem.

– Martwią się – mówię, ostrożnie cedząc słowa. – Chcą tylko zrozumieć, co się dzieje, by ci pomóc.

Marco, w ręczniku, idzie w moją stronę. Nadstawiam policzek do pocałunku. Mija mnie, nawet nie przystając.

– Nikt się nie przejmuje tym, co się ze mną dzieje! – wrzeszczy z łazienki. – Wszystkich interesuje tylko jakiś głupi mejl. Padnę trupem, a wy nadal będziecie przeżywać tylko tę wiadomość.

– To nieprawda – zaprzeczam dziwnie wysokim i nienaturalnie radosnym głosem.

Marco wychodzi do pracy, a ja karmię Louise. Gdy zasypia, chodzę po mieszkaniu, zbierając maleńkie ubranka i kocyki, wyparzam butelki i zamiatam podłogi. Otwieram lodówkę. Kiedy ostatni raz coś jadłam? Od dwudziestego stycznia w ogóle nie mam apetytu. Zamykam drzwi i nalewam sobie szklankę wody. Pijąc, ściskam piersi. Od sześciu dni nie płamię mlekiem i zaczynam się martwić, czy nie zabraknie mi pokarmu. Przypominam sobie kurs laktacyjny, na który chodziliśmy z Markiem w październiku. Co mówiła instruktorka? Że nawet niedożywione kobiety z krajów Trzeciego Świata mają wystarczająco dużo mleka, by karmić niemowlę przez pół roku.

– Ludzkie ciało jest niesamowite – powiedziała prowadząca.

– Niesamowite, słyszałeś? – wyszeptalam do Marca, na co on odparł, jakby nieobecny:

– Co takiego, skarbie? Przepraszam, piszę do twojego taty o Patriotach.

Wywróciłam oczami i uśmiechnęłam się.

Przypominam sobie tamtą chwilę. Czyli moje „niesamowite” ciało może wytwarzać mleko nawet wówczas, gdy nie jem. Mam w tej chwili za dużo zmartwień, więc odpycham tę myśl i nalewam sobie jeszcze jedną szklankę wody.

Louisa budzi się z gwałtownym krzykiem, który wypełnia całe mieszkanie. Biegnę do jej bujaka i biorę ją na ręce. Zakładam nosidełko, które sprezentowała mi mama, i wkładam do środka wierzgającą i wrzeszczącą Louise.

– Ciii, ciii, ciii – mówię i chodzę w kółko po mieszkaniu.

Komputer mnie kusi, ale odwracam oczy i szybko przechodzę obok. Louisa w końcu się uspokaja. Siadam na kanapie i nerwowo stukam nogą o podłogę. Patrzę na ekran. Chrzanić to! Otwieram laptop, drżącymi palcami naciskam zakładkę „Historia”. Nic nowego. Loguję się na pocztę Marca. Kilka listów z pracy i link od jego mamy do artykułu o tym, że najlepiej zaufać Bogu. Oddech mi się uspokaja.

– Masz obsesję. Opanuj się – mówię na głos, wchodząc na konto Ubera.

Przeglądam. Co jest, do cholery... Przejazd z restauracji Marca na lotnisko JFK. To niemożliwe. Marco jest w pracy. Kołyszę się z boku na bok, podczas gdy Louisa zaczyna się wiercić na mojej piersi. Wchodzę na Facebooka i loguję się na konto Marca. Znajduję tę dziewczynę. Dziesięć minut temu opublikowała zdjęcie. Bilet samolotowy na kolanach wystających z modnych podartych dżinsów oraz podpis: „Szykuj się, Vegas. Przybywam”.

PRZEDTEM

Marco otworzył drzwi.

– Pani przodem.

Do ostatniej chwili nie chciał mi zdradzić nazwy restauracji, do której zaprosił mnie w moje dwudzieste ósme urodziny.

– Rany! Jak tu pięknie – powiedziałam, przechodząc przez szklane drzwi.

Restauracja była jednocześnie wielka i przytulna – niebotyczne sufity i ceglane ściany. Przywitała nas elegancka brunetka.

– Witamy w Mercer Kitchen. Mają państwo rezerwację?

– Tak – odparł szybko Marco. – Na nazwisko Marco Medina, na dziewiątą.

– A tak, już widzę – odpowiedziała, przebiegając wzrokiem po ekranie komputera. – Tędy, proszę.

Marco miał na sobie sztywną białą koszulę i ładne ciemne dżinsy z brązowym paskiem. Wziął mnie za rękę i zesłaliśmy po schodach do sali na dole.

– Ależ tu pięknie! – stwierdziłam, obrzucając wzrokiem eleganckich gości tego przybytku.

– Naprawdę? Bardzo chciałem, żeby ci się spodobało – rzekł Marco nerwowo.

– Przeczytałem z pięćdziesiąt recenzji. Wszystkie dawały pięć gwiazdek, więc miejmy nadzieję, że miejsce zda egzamin.

Hostessa poprowadziła nas do przytulnego stolika przy ścianie.

– Przystojniak z ciebie – powiedziałam z uśmiechem, rozkładając na kolanach białą serwetkę.

– A z ciebie niebywała piękność – odparł.

– Nie powiedziałam tego po to, by dostać w zamian komplement. – Zaśmiałam się. – Ale dziękuję.

Zerknęłam na menu, potem na mojego męża. Już miałam coś powiedzieć, ale zamilkłam.

– O co chodzi? – spytałam.

Marco długo patrzył mi w oczy.

– Nie mogę się doczekać reszty życia spędzonego z tobą.

– Ty to potrafisz! – Zaśmiałam się.

– Co takiego?

– Sprawić, że czas staje w miejscu.

Gdy przebiegałam wzrokiem po zakąskach, przypomniało mi się, co jego siostra napisała rano na Facebooku. Proste pytanie, które zaowocowało dziesiątkami komentarzy: „Co jest ważniejsze w związku: żeby być w sobie zakochanym czy żeby być dla siebie przyjaciółmi?”. Prawie wszyscy odpowiedzieli, że przyjaźń jest ważniejsza od zakochania. „Aby związek przetrwał, potrzeba mocnych fundamentów w postaci przyjaźni, bo poczucie zakochania w końcu mija” – napisała jedna z kuzynek. Nie zgodziłam się z tym. „Obie te rzeczy są ważne! – odpowiedziałam. – Jeśli nie lubisz swojego partnera, to musisz być w nim zakochana, a gdy zakochanie się skończy, musisz go polubić”. Usłyszałam to przed laty od mamy, a ona od swojej w dniu ślubu. W moich wcześniejszych związkach nie potrafiłam znaleźć tego połączenia. Ktoś odpowiedział na mój komentarz: „Obyśmy wszyscy mieli tyle szczęścia”.

Podniosłam głowę i popatrzyłam, jak Marco studiuje menu.

Tak, tym razem w końcu je znalazłam.

POTEM

Gwałtownie zamykam klapę komputera. Gniew pojawia się najpierw w palcach stóp i wędruje aż do czoła. Z niepokoju odchodzę od zmysłów, tracę pokarm, a mój mąż płaci za taksówkę, żeby zawieźć swoją (no właśnie... kogo? Kim ona jest? Jego dziewczyną? Przyjaciółką? Pracownicą?) Chorwatkę na lotnisko. Chce mi się wyć. Mam ochotę czymś rzucić, ale się opanowuję. Zamiast tego maszeruję do sypialni i wyciągam spod łóżka jeszcze nierozpakowaną walizkę. Sięgam po leżące na stole kluczyki od samochodu, ale ręce tak mi się trzęsą, że kluczyki spadają na podłogę. Nachylam się ostrożnie i je podnoszę. Louisa na szczęście się nie obudziła. Taszczę walizkę po schodach i wychodzę na ulicę. Chodnik jest oblodzony, a wiatr ciska mi w twarz gradem. Powoli brnę przed siebie, jedną ręką ochraniając Louisę przed śniegiem, a drugą wlokąc za sobą walizkę. Rzucam bagaż do samochodu. Wracam do mieszkania po wózek, a potem znów idę do samochodu i ładuję go na walizkę. Jest cholernie zimno, choć po plecach spływa mi pot. Odpinam Louisę z nosidełka, wkładam do fotelika i zapinam pas. Wykrzywia buźkę w grymasie i zaczyna płakać.

– Wszystko dobrze, maleńka. Wszystko dobrze – mówię, odpalając silnik i włączając ogrzewanie.

W uszach słyszę bicie własnego serca. Powoli wjeżdżam na autostradę. Kończy się benzyna. Cholera! Zjeżdżam na pierwszą stację. Sklep jest zamknięty, ale dystrybutory działają. Louisa krzyczy już teraz z całych sił. Wsiadam z samochodu. Śnieg skrzypi mi pod nogami i przykleja się do butów. Wiatr smaga mnie po twarzy. Na baku osadziła się gruba warstwa lodu. Szlag! Wracam do drzwi i wyszarpuję kluczyki. Małymi kroczkami drepczę na tył samochodu i próbuję zeszkrobać lód kluczykiem. Nic z tego. Będę musiała zawrócić. Louisa wrzeszczy tak głośno, że aż się dławi. Serce mi łomocze. Oblewa mnie strach. Nagle duży kawałek lodu odpada, więc ze zdwojoną siłą wracam do skrobania. Odłupuję resztę i z tryumfalnym westchnięciem otwieram bak. Napełniam go i wracam na autostradę.

– Wszystko dobrze, kochanie, wszystko dobrze. Zaśnij, proszę – mówię błagalnie do mojej płaczącej córeczki, patrząc we wsteczne lustro.

Dopiero po dwóch godzinach jazdy dzwonię do rodziców, by ich poinformować, że właśnie jadę do nich z Louisą.

– Przepraszam, ale wiedziałam, że nie pozwolicie mi wyruszyć w taką pogodę. Nie mogłam tam zostać, mamo. Po prostu nie mogłam.

– Okej, melduj się co godzinę.

Mama mówi spokojnie, i tylko drzenie głosu, którym po chwili dodaje: „Kocham cię”, zdradza jej strach. Potem dzwonię do Marca.

– Widziałam na Uberze przejazd na lotnisko. Nie wiem, co to wszystko znaczy, ale coś mi tu nie gra, Marco. Musisz określić swoje priorytety, bo w takim stanie nie dam rady funkcjonować i jeszcze zajmować się Louisą.

– Oszalałaś, Jen? Ta głupia dziewczyna potrzebowała dostać się na lotnisko, więc zamówiłem jej Ubera. Zapłaciła mi gotówką. Co ci odbiło? Niebezpiecznie jeździć w taką pogodę – mówi i słyszę, że ze złości wszystko aż się w nim gotuje. – Poddaję się, Jen. Rób, co chcesz.

I się rozłącza. Zaciskam pięści na kierownicy. Może przesadzam. To tylko przejazd taksówką. W głowie mam gonitwę myśli i wielkim wysiłkiem woli skupiam się, by jechać prosto drogą.

Przez następne trzy godziny przychodzą dziesiątki esemesów od Marca. Zaczynają się od

złości, ale w ostatnich Marco przysięga, że udowodni mi i wszystkim innym, że jest chory, że coś jest z nim nie tak, ale że jest tym samym człowiekiem, za którego wyszłam, i nie ma żadnego romansu. Dojdzie do siebie i będzie dobrym mężem i ojcem.

Tymczasem ja docieram do domu rodziców o drugiej w nocy, po ośmiu godzinach jazdy, całkiem wyczerpana. Tata bierze ode mnie walizkę i zanosí na górę do mojego dawnego pokoju. Opowiadam rodzicom pośpiesznie o Uberze i o tym, co Marco pisał mi po drodze.

– Najpierw musisz się wyspać. Porozmawiamy rano.

Jestem tak zmęczona, że nie protestuję.

– Okej, masz rację – mówię i kładę się z Louisą do łóżka.

PRZEDTEM

Kilka dni po tym, jak oficjalnie podpisaliśmy umowę spółki i zamknęliśmy sprawę pożyczki, dostałam mejl z urzędu imigracyjnego.

– Kotku! – zawołałam z salonu do Marca, który był w sypialni. – Szóstego sierpnia mamy rozmowę w sprawie zielonej karty! To za trzy tygodnie. Wspaniale!

– Co? Poważnie? Rany! Chyba zaczynam się denerwować. Nie wierzę, że to się w końcu ziści.

– Wiesz, co to oznacza? Jeśli dostaniemy zgodę od ręki, będziemy mogli pojechać do Argentyny!

Codziennie wchodziłam na stronę internetową, gdzie zamieszczano wnioski i rozmowy przeprowadzane w całym kraju. Nowy Jork był na niechlubnym pierwszym miejscu, jeśli chodzi o czas oczekiwania na rozpatrzenie wniosku i wyznaczenie terminu rozmowy. W naszym przypadku zajęło to pół roku, ale niektóre pary czekały nawet rok.

– Nie wierzę, że już nam wyznaczono termin rozmowy. Ten, kto przygotował twój wniosek, spisał się na piątkę – powiedziałam, gdy Marco ciężkim krokiem wszedł do salonu i opadł obok mnie na kanapę.

– Ten, kto przygotował mój wniosek, zasłużył na to, by zabrać go na randkę – odparł i położył moje stopy sobie na kolanach.

– Też tak myślę. I na masaż stóp.

– Mówisz, masz.

– Żartowałam przecież, chociaż... może jednak... Pomasaowałbyś mi stopy? Bolały mnie ostatnio. Dziękuję, kochanie. Okej, no to porozmawiajmy – powiedziałam, machając nogami.

– O czym, skarbie?

– Przygotujmy się na rozmowę. Na pytania, które mogą zadać.

Marco podrapał się po brodzie.

– Ale, kochanie, jesteśmy przecież prawdziwym małżeństwem. Chyba tylko te lewe muszą przygotowywać odpowiedzi?

– Pomyśl o tym, jaka ze mnie gapa! A co, jeśli zapytają, jakiego koloru jest nasza łazienka, a ja powiem, że fioletowa?

– Skarbie, obiecuję, że zdamy z palcem w ucho. Może Rosjanka i gej wzbudziliby ich podejrzenia, ale my nie mamy o co się martwić.

– Z palcem w nosie, tak się mówi – poprawiam go z uśmiechem.

– Obie wersje brzmią równie głupio.

– Masz rację. Kocham cię... że nie wiem co.

Trzy tygodnie później siedzieliśmy w poczekalni razem z innymi parami. Ściszałam w rękach album z naszymi zdjęciami. Marco oderwał moją jedną dłoń i splótł swoje palce z moimi.

– Nie okazuj mi uczuć tak demonstracyjnie. To może wzbudzić podejrzenia.

Marco zaniósł się śmiechem i wszyscy zatopieni w napiętej ciszy popatrzyli na nas.

– Kochanie – wyszeptał. – Nie musimy udawać. Wystarczy, że będziemy normalne się zachowywali.

– Dostałam czerwonych plam z nerwów? – spytałam i obniżyłam dekolt bluzki.

– Tylko trochę – odparł Marco z uśmiechem. – Ale nadal wyglądasz pięknie. O, widzisz?

Nie mamy się o co martwić – powiedział, wskazując mężczyznę, który niezręcznie trzymał za rękę kobietę starszą od siebie o przynajmniej dwadzieścia lat.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, urzędniczka wrzasnęła tak groźnym głosem, że aż podskoczyłam:

– Medina!

Marco wstał i pocałował mnie w czoło.

– Kochanie, uspokój się.

– Jestem spokojna – odparowałam, idąc w stronę kobiety. – Jestem oazą spokoju.

Urzędniczka zaczęła od serii bardzo bezpośrednich pytań skierowanych do Marca.

– Czy był pan kiedykolwiek skazany za przestępstwo? – padło ostatnie pytanie.

– Nie, choć zaraz... kiedyś dostałem mandat za palenie papierosa na peronie metra

– powiedział Marco nerwowo.

Posłałam mu niedowierzające spojrzenie. Kobieta po raz pierwszy się uśmiechnęła.

– Myślę, że rząd Stanów Zjednoczonych przymknie na to oko – odparła i wróciła do zadawania pytań.

Gdy spytała o to, kto skompletował ten imponujący segregator, prawie podskoczyłam na krześle.

– Ja! Ja go przygotowałam. Marco mówi, że jestem typem analno-retencyjnym, ale moim zdaniem po prostu dbam o szczegóły.

– Na pewno nie powiedziałem „analny” – odparowuje Marco. – Przepraszam, chodziło mi o to, że... Wcale nie zamierzałem używać tego słowa podczas tej rozmowy... ale to moja żona powiedziała je pierwsza. – Purpurowy na twarzy Marco, wskazał mnie palcem.

Urzędniczka parsknęła śmiechem.

– No to może pan podziękować żonie za jej analne skłonności... O rany, to naprawdę brzmi fatalnie.

Teraz już cała nasza trójka chichotała jak przedszkolaki.

– No dobrze, chyba wiem już wszystko, co potrzeba. Polecę państwa do zatwierdzenia. Za kilka tygodni powinni państwo otrzymać warunkową zieloną kartę.

Uśmiechnęłam się szeroko.

– Planowaliśmy zrobić niespodziankę rodzicom Marca i odwiedzić ich w przyszłym miesiącu. Myśli pani, że karta będzie już gotowa? – spytałam niewinnie.

Na stronie wyczytałam, że nowojorskie urzędy często przekładają osobę do folderu „Zatwierdzone”, ale kartę wysyłają dopiero trzy miesiące później.

– Nie powinno być problemu, chociaż... – powiedziała kobieta i zaczęła klikać na komputerze. – Zobaczmy, czy mogę ją zatwierdzić już teraz.

Ścisnęłam dłoń Marca tak mocno, że aż zbieleły mi palce.

– Och, byłoby cudownie – odparłam.

Tamtego popołudnia wyszliśmy z urzędu imigracyjnego Long Island City z oficjalnym stemplem w paszporcie Marca, a w mojej skrzynce czekał już mejl z informacją, że nasz wniosek zatwierdzono, a karta zostanie niebawem wysłana. Marco otworzył wielkie szklane drzwi. Wyszliśmy z budynku na rozżarzone słońce. Na ulicy spojrzeliśmy na siebie i zapiszczyliśmy z radości.

– Jedziemy do Argentyny! – wrzasnął i przybiliśmy piątkę.

Sześć miesięcy później patrzyłam na twarz mojego męża, gdy lądowaliśmy w Buenos Aires. Była jak z kamienia, ale oczy napęłniły mu się łzami.

– Jesteś w domu, kochanie – nacyliłam się i wyszeptalam mu do ucha.

POTEM

Nazajutrz rano siedzę z moją mamą i Louisą przy kuchennym stole, a tata robi omlety.

– Nie wydaje mi się, żeby miał romans. To po prostu niemożliwe. Może z powodu przepracowania i przemęczenia podejmuje złe decyzje, nie zdając sobie sprawy, że takie zachowanie jest nie na miejscu. Twierdzi, że ledwo zna tę dziewczynę, że to ona wciąż go prosi o jakieś przysługi i że on nie chce jej odmawiać, by nie wyjść na gbura. Tak jak z tym mieszkaniem i taksówką na lotnisko. Sama nie wiem...

Głos więźnie mi w gardle. Nie wiem, kogo chcę przekonać: swoich rodziców czy samą siebie. W jakimś zakamarku umysłu już zsumowałam fakty, ale wewnętrzna, dziwnie atawistyczna siła uczepliła się możliwości, że Marco mówi prawdę.

– Jeśli chcesz poznać prawdę, to sprawdź wykaz jego połączeń telefonicznych – rzuca tata. – Jestem pewien, że to tylko potwierdzi jego słowa. Że nigdy nie rozmawiają. Że prawie się nie znają. – Głos ma pewny, ale oczy zimne.

– Tak zrobię.

W trzewiach zawiązuje mi się węzeł i drżą mi dłonie, ale wiem, czego się spodziewać. Okaze się, że Marco mówi prawdę. Powtarzał mi ją z tysiąc razy. Jest wypalony i przepracowany. Ale nie ma romansu. Otwieram komputer i loguję się na nasze konto. Wpisuję numer Marca i wciskam „Enter”. Przeglądam połączenia od stycznia. Wszystko gra. Przebiegam oczami po cyfrach, modląc się, by nie pojawiły się te, które już zdążyłam zapamiętać. Od pierwszego do dziesiątego stycznia nic. Ani jednego połączenia z tą dziewczyną. Zaczynam oddychać normalnie.

– Nic. – Staram się, by mój głos brzmiał przekonująco.

I nagle truchleję... Jedenasty stycznia, 3.14, środek nocy. Połączenie wychodzące, siedem minut. To mogło być cokolwiek, na przykład o zamknięciu restauracji na klucz. Dwunasty stycznia. Połączenie przychodzące, dwadzieścia dwie minuty. Nie, nie, nie. Trzynasty. Wychodzące połączenie, trzydzieści siedem minut. Oddech mi zamiera. Policzki płoną. Od czternastego stycznia do końca miesiąca jej numer powtarza się wielokrotnie. Dwie minuty. Pięćdziesiąt cztery minuty. Kilka razy dziennie. Jedenastominutowe połączenie w niedzielę, gdy miał wolne. Spędziliśmy ten dzień razem. Wracam do niego pamięcią. Przypominam sobie, co robiliśmy od rana (wspólne późne śniadanie) do wieczora (wspólne oglądanie pierwszej połowy Super Bowl, a potem Seb). Coś musi być nie tak z systemem tej sieci komórkowej... Może jakiś wirus... Zaraz, zaraz. Jeszcze raz zerkam na godzinę. 21.05, połączenie wychodzące. Serce zaczyna mi walić, bo przypominam sobie, że Marco wysadził nas pod domem („Skoczę po jakieś mięso na jutrzejszy lunch dla Seba. Nasza lodówka jest pusta. Kiedy ostatnio robiłaś zakupy?”). Gwałtownie odsuwam krzesło i wstaję.

– Jen? Wszystko w porządku? – woła mama.

– Tak, nic mi nie jest – mówię, szybko wchodząc po schodach.

Zamykam za sobą drzwi pokoju.

– Ty gnojku! – wrzeszczę do słuchawki, gdy Marco odbiera. – Jak mogłeś? Jak mogłeś?

Brakuje mi słów. Wybucham szlochem. Z trudem łapię powietrze i krztuszę się.

– Jen, Jen, uspokój się. O czym ty mówisz?

Ma zaspany głos i jest wyraźnie poirytowany.

– Znalazłam w internecie wykaz połączeń z twojego numeru. Dzwonisz do niej codziennie. Dzwoniłeś do niej w ostatnią niedzielę, gdy pojechałeś na zakupy? W swój wolny dzień?

Mój głos jest zarazem rozwścieczony i błagalny – tak bardzo chcę, by odpowiedział mi coś, co sprawi, że ta nowa informacja będzie znaczyła co innego niż to, co wiem, że znaczy.

– Jezus Maria! Tak! Lubię z nią rozmawiać! Okej? Nie dotknąłem jej! Nie całowałem się z nią! Nie spałem z nią! Ale lubię z nią rozmawiać! – Teraz już na mnie wrzeszczy. – Chcesz, żebym się z nią ruchał?! Tego chcesz?!

Rozłączam się. Cała dygoczę. Wyłączam telefon, gdy widzę, że oddzwania. Gdzieś w środku słyszę głos, który mówi to, o czym i tak wiedziałam: „Marco kogoś ma”.

Zbiegam po schodach i znowu siadam przed komputerem. Wyświetlam wykaz połączeń. Zmuszam się, by przewinąć wstecz, i znajduję datę, której szukałam. Dzień narodzin Louisy. Szybko przebiegam wzrokiem po numerach. Jest. 2.03 w nocy. Połączenie wychodzące, czterdzieści trzy minuty.

Czterdzieści trzy minuty!

Pamiętam, jak Marco ucałował mnie w czoło i powiedział: „Idę się przewietrzyć, skarbie, i może wrzucę coś na ząb. Potrzeba ci czegoś?”.

Pokręciłam głową i uśmiechnęłam się do niego słabo, zamroczona znieczuleniem zewnątrzoponowym. Kilka godzin później wypychałam z siebie Louise, a Marco przyciskał mi kolana do piersi. Spojrzałam na niego i powiedziałam, że nie dam rady. Lekarz spokojnie oznajmił pielęgniarkę, że tętno dziecka zwalnia i że prosi o maskę tlenową i wyciąg próżniowy. Rozglądałam się w panice po sali, rzucając głową na boki, gdy pielęgniarka zakładała mi maskę, dopóki Marco nie powiedział:

– Jen, kochanie. Spójrz na mnie. – Nasze oczy się spotkały i Marco przytrzymał mój wzrok. – Spójrz na mnie. Dasz radę. Dasz radę, kochanie. Jesteś dzielna.

Jeszcze tylko jeden raz... Poczułam, jak moje ciało się rozdziera, ale nie miało to dla mnie znaczenia, bo mój mąż miał rację. Trzymałam go za rękę i krzyczałam, a on tylko powiedział:

– Jest, już z nami jest.

Czterdzieści trzy minuty...

Kilka godzin przed narodzinami naszej córki...

Wstaję i czuję, że ziemia umyka mi spod stóp, a wszystko robi się czarne.

PRZEDTEM

Przyjeżdżamy z Markiem i Sebem do Buenos Aires w nocy dziewiątego marca dwa tysiące czternastego roku. Nazajutrz budzą nas promienie słońca wpadające przez okna nieskalanej sypialni dla gości w domu rodziców Marca. Dziesiąty marca. Trzydzieste piąte urodziny mojego męża. Od kilku miesięcy potajemnie pisałam do siostry Marca. Sofia zaplanowała z rodzicami przyjęcie-niespodziankę. Przyleciała z Danii tydzień przed nami ze swoim trzyletnim synkiem Domenikiem, by po dwunastu latach powitać brata w rodzinnych progach.

„Przygotujemy wszystko na przyjęcie. Nie mów ani słowa Marcowi. Skasuj tego esemesa!” – napisała mi Sofia kilka tygodni przed naszym przyjazdem. Od tamtej pory o tym nie rozmawialiśmy, ale obudziłam się tego ranka cała podekscytowana. Marco o niczym nie miał pojęcia. Jeszcze dzień wcześniej zapytałam tylko, czy jest jakaś szczególna restauracja, do której chciałby pójść w swoje urodziny. Pokręcił głową i powiedział, że najlepszym prezentem urodzinowym jest podróż do Argentyny i najchętniej spędzi spokojny wieczór w domu, w rodzinnym gronie.

– Sto lat! – zawołałam, jak tylko wyczułam ruch obok siebie na łóżku. – I jak się czujesz jako trzydziestopięciolatek? – spytałam, opierając się na łokciu.

– Zmęczony. Stary – wymamrotał Marco i naciągnął nam na głowę cienki, biały koc.

– Och, przestań – powiedziałam, wtulając się w jego ramię i zerkając przez maleńkie dziurki w tkaninie. – Nie jesteś taki stary. Nie w porównaniu z takim na przykład... dziewięćdziesięciopięciolatkiem.

– Zaraz dostaniesz za swoje.

Zanim się zorientowałam, chwycił mnie pod boki, a ja na próżno próbowałam się uwolnić.

– Przestań! – zapiszczałam. – Przestań, bo będę krzyczeć i obudzę twoich rodziców.

– I tak już nie śpią – odparował Marco, gilgocząc mnie z jeszcze większym zapalem.

– Będę... krzyczeć! – Parsknęłam między śmiechem a piskiem.

– Masz szczęście, że jestem taki stary – rzekł Marco, przyciągając mnie do siebie.

– O wiele za stary dla ciebie.

– O tak. O wiele, wiele za stary – przyznałam.

Przy lunchu po raz kolejny spytałam Marca, czy jest pewien, że nie chce wyjść wieczorem na kolację, rzucając jednocześnie Sofii ukradkowe porozumiewawcze spojrzenie.

– Zdecydowanie. Będę najszczęśliwszym kapciem domowym – odparł między jednym a drugim kęsem empanady.

Im bliżej było do początku przyjęcia, tym bardziej zaczynałam się martwić. Jak sprawić, żeby Marco wyszedł z domu, niczego nie podejrzewając? Czy jego rodzina wszystko obmyśliła? Siedzieliśmy z Markiem w salonie i gawędziliśmy z Sofią. Pomyślałam, że wymknę się na chwilę pod pretekstem pójścia do toalety i spytam o to rodziców Marca, ale potem uświadomiłam sobie, że mój hiszpański nie jest na tyle dobry. Za minutę ósma uznałam, że najpewniej coś źle zrozumiałam. Może odwołano przyjęcie. Albo pomyliłam dni. Zawiedziona, wzięłam gazetę leżącą na stoliku i opadłam na kanapę. Podszedł do mnie Seb.

– Co się dzieje? – spytał szeptem.

Wiedział o przyjęciu-niespodziance od kilku tygodni i ekscytował się nim tak samo jak ja (był też bardzo dumny, że udało mu się z tym nie wygadać).

– Nie mam pojęcia – wyszeptałam, chowając się za gazetą. – Chyba pomyliłam dni.

Nagle do pokoju wpadł Oscar.

– *Vamos, vamos!* – zawołał, po czym popłynęła litania hiszpańskich słów.

– Co mówi twój tata? – spytałam jakby nigdy nic, starając się niczego nie zdradzać miną.

– Że idziemy na zakupy, bo nie ma nic do jedzenia na jutro. Moi rodzice są kompletnie zwariowani. Chodzą do sklepu o przedziwnych porach. Powiem mu, że my zostajemy.

– Nie, nie! – Wyrwało mi się chyba odrobinę zbyt żywo, więc natychmiast dodałam obojętnym tonem: – Chętnie bym zobaczyła tutejszy sklep spożywczy.

Zapakowaliśmy się do dwóch maleńkich samochodów – ja, Seb, Marco i jego tata w jednym, Sofia, Dom i Rosa w drugim – i ruszyliśmy. Kilka minut później zadzwoniła komórka Oscara. Powiedział coś do słuchawki, po czym w stronę Marca posypała się lawina hiszpańskich słów. Marco odpowiedział z podobną szybkością i wyraźnym niezadowoleniem.

– O co chodzi? – spytałam.

– Mówiłem ci, że nie powinniśmy jechać – mruknął Marco. – Dzwoniła mama. Chce, żebyśmy wszyscy na chwilę stanęli po drodze i odwiedzili dawną znajomą. To będzie trwało wieki...

– Na pewno nie będzie aż tak źle – rzuciłam radośnie i ścisnęłam dłoń Seba.

Zatrzymaliśmy się przed wielkim budynkiem z kamienia. Ja i Seb wysiedliśmy tylnymi drzwiami. Podeszłam do Marca.

– Założę się, że moi rodzice chcą odwiedzić tę kobietę dlatego, że jest bardzo zamożna – skwitował ze śmiechem i ujął mnie za rękę. – Chcą zrobić na tobie wrażenie.

– Już jestem pod dużym wrażeniem – powiedziałam i puściłam oko do Seba.

Sofia, Dom i moi teściowie poszli przodem. Przeszliśmy przez dwoje masywnych drzwi z kutego żelaza i znaleźliśmy się w przestronnym lobby. Oscar zdążył już porozmawiać z ochroniarzem, ruszyliśmy więc przed siebie długim korytarzem. Teść, który szedł na przedzie, nagle otworzył drzwi po prawej stronie i Sofia, Dom i Rosa zniknęli za nimi.

– Tato? – zaczął Marco.

– *Vamos, vamos!* – Zamachał do nas Oscar.

Doskoczyłam do drzwi i z radością spojrzałam w hebanową czerń, jaka się przede mną rozpostarła. Naraz zapaliły się wszystkie światła, ukazując wielką salę z tuzinem dużych stołów, pięćdziesięcioma czy sześćdziesięcioma gośćmi stojącymi wzdłuż ścian, z orkiestrą mariachi pośrodku. Popłynęły radosne i skoczne dźwięki.

Jasna... cholera...

Marco stał i patrzył, jakby go zamurowało. Spojrzał na mnie.

– Wiedziałaś o tym? – spytał, przekrzykując muzykę.

Ludzie teraz pohukiwali i gwizdali. Spostrzegłam transparent z napisem: *Bienvenidos Marco, Jen y Sebastian*. Na lewo od orkiestry dostrzegłam bogato zaopatrzone barek.

– To znaczy... – Zaczęłam, gdy do sali wszedł wężyk kelnerów z szampanem. – Twoja siostra mówiła, że urządzi dla ciebie przyjęcie-niespodziankę, ale... – Urwałam i powiodłam wzrokiem po zgromadzonych kilkudziesięciu uśmiechniętych gościach zwróconych w naszym kierunku, podrygujących i klaszczących w rytm muzyki.

– Dziś w nocy – wrzasnął Marco, uśmiechając się od ucha do ucha i rzucając się w objęcia krewnych, którzy ruszyli ku nam korowodem – nauczysz się tańczyć tango!

POTEM

Przez następne kilka dni krzyczeliśmy na siebie do słuchawek. Marco przysyłał dziesiątki esemesów dziennie, próbując mnie przekonać, że nie ma romansu, że gdyby chciał mnie zdradzić, zrobiłby to już dawno temu i to z kimś, kto by mu się naprawdę podobał, i że nigdy, przenigdy nie tknął tej „tandetnej dziuni”, jak teraz ją nazywa.

Nie jem. Nie śpię. Gdy patrzę na Louise, w jej oczach widzę jedynie odbicie własnego strachu. Zostałam sama z noworodkiem. Chciałam mieć dziecko z Markiem, ale zanim go poznałam, nigdy nie tęskniłam za macierzyństwem. Jedyna myśl, która pomagała mi przetrwać miesiące przed narodzinami Louisy, to ta, że jesteśmy w tym wszystkim razem. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że będę wychowywać dziecko samotnie. Rozpaczliwie chcę uwierzyć Marcowi, żeby nie musieć konfrontować się z tą nową rzeczywistością, ale jak tego dokonać?

Usypiam Louise i rejestruję się na forum dla samotnych matek. Pośpiesznie przeglądam tematy dyskusji: „Sądowa walka o alimenty”, „Dziecko po raz pierwszy na noc u nowej dziewczyny” i „Nie wytrzymam tego – pomóżcie mi!”. Drżącymi palcami klikam „Opuść grupę”. Chwytam za telefon i wybieram numer Aarona, przyjaciela Marca. Aaron i Marco byli kiedyś sąsiadami, przez kilka lat mieszkali w tym samym apartamentowcu. Poznałam go stosunkowo niedawno, Aaron jest najlepszym przyjacielem mojego męża, w dodatku jedynym płci męskiej.

– Aaron? Mówi Jen – zaczynam, gdy odbiera. Nigdy wcześniej do niego nie dzwoniłam, więc szybko wyjaśniam: – Wiem, że to zniecka, ale... ale ostatnio z Markiem dzieje się coś niedobrego, ogłędnie mówiąc...

– Dzwonił do mnie – przerywa mi Aaron z lekkim śmiechem. – Faceci jednak ze sobą rozmawiają. W ważnych sprawach.

– Dzwonił do ciebie? Co mówił?

– Powiedział mi wszystko. O mejlu, o problemach zdrowotnych, atrofii uczuć, odrętwieniu...

– A o telefonach? – pytam ostro.

– Też – rzuca Aaron z westchnieniem. – Słuchaj, to, co teraz powiem, to moje prywatne zdanie, i wydaje mi się, że musicie sami znaleźć jakieś rozwiązanie. Odniosłem jednak wrażenie, że Marco czuje, że nie może już z tobą o wszystkim porozmawiać, bo reagujesz bardzo gwałtownie na każdy newralgiczny temat, jak praca czy finanse. Powiedział mi, że przyzwyczał się do rozmów z tą dziewczyną... co teraz oczywiście sobie wyrzuca... o niepokojach związanych z Thirsty Owl i o waszych finansach. Z tobą nie rozmawiał o tym, bo nie chciał, żebyś się denerwowała w ciąży, ale też dlatego, że panikujesz, gdy mowa o takich sprawach.

– Ale o takich właśnie sprawach powinni ze sobą rozmawiać małżonkowie – wtrącam.

– Słuchaj, powtarzam tylko, co mi powiedział. Moim zdaniem w tym momencie, jeśli oczywiście chcecie ratować swoje małżeństwo, musicie się skupić na tym, dlaczego Marco czuł, że nie może z tobą rozmawiać, a nie na tym, co już zrobił.

Być może Aaron ma rację. To prawda, że bardzo wszystko przeżywam, czasem nawet zwykłe codzienne sprawy. Ogarnia mnie panika na myśl, że Marco bał się ze mną rozmawiać o tak ważnych sprawach.

– Poza tym – odchrząkuje – spytałem go jak facet faceta, czy zdradził cię z tą dziewczyną, i odpowiedział, że nie. Zapytałem go: „Stary, spałeś z nią czy nie?”, a on na to, że nawet jej nie dotknął. Może i nie trzymam w tym momencie z nim sztamy, mówiąc ci o tym, ale chciałem cię uspokoić.

– Dobrze to słyszeć. – Cedzę słowa. – Dziękuję, Aaron.

Chodzę w tę i we w tę po kuchni rodziców. Jeśli to, co powiedział Aaron – że Marco nie tknął tej dziewczyny – jest prawdą, to znaczy, że wszystko sobie ubzdurałam. Że wymyśliłam całą tę skomplikowaną historię. Może Marco faktycznie jest wypalony... Ale te telefony?... Staram się uporządkować myśli, tyle że one biegają wkoło, zderzając się ze sobą nawzajem. Telefon, który trzymam w dłoni, rozbłyska. Biegnę do salonu i zamykam za sobą drzwi. Odbieram.

– Rozmawiałam z Aaronem – mówię.

– To dobrze. Cieszę się – odpowiada Marco. Jego głos jest cieplejszy niż przez kilka ostatnich tygodni. – Chcę być z tobą całkiem szczerzy, Jen. W ostatnich miesiącach nie mówiłem ci o wszystkim.

Serce mi wali. Zaraz powie, że uprawiał seks z tą dziewczyną.

– Nie chciałem przysparzać ci zmartwień w czasie ciąży i skończyło się tak, że z kimś innym rozmawiałem o rzeczach, o których powinienem był rozmawiać tylko z tobą. I szczerze mówiąc, uzależniłem się od uwagi, jaką obdarzała mnie ta osoba – wyznaje, a ja zaciskam powieki, czując, że zaraz padną te słowa. – Chyba zaangażowałem się emocjonalnie. Ale to czysto platoniczna relacja.

Otwieram oczy.

– Okej. – Drzę na całym ciele. – Dzwoniłeś do niej, gdy rodziłam nasze dziecko. – Łamie mi się głos.

– Że co? – Cisza. – Wtedy ledwo ją znałem. Zaczęła pracować jako kelnerka w listopadzie, a w grudniu, mniej więcej wtedy, kiedy urodziła się Louisa, przejęła prowadzenie restauracyjnych stron społecznościowych. Skarbie, pamiętasz, jak tuż po narodzinach Louisy, rozmawiałem w pokoju z kimś o zbliżających się imprezach?

Staram się usilnie, próbując się przedrzeć przez gęstwiny myśli w głowie. Tak, pamiętam wizytę moich rodziców, gdy przeniesiono mnie do sali poporodowej. Marco odebrał telefon z pracy i przez dziesięć minut rozmawiał z kimś, stojąc w kącie, podczas gdy moi rodzice po raz pierwszy brali małą na ręce.

– Pamiętam, że rozmawiałeś z kimś przez dziesięć minut. Ale tamto połączenie trwało czterdzieści trzy minuty. Ja spałam, a ty wyszedłeś kupić coś do jedzenia...

– Zgadza się. Ale na sali poporodowej dzwoniłem do niej w nawiązaniu do poprzedniej rozmowy, kiedy to ona zadzwoniła do mnie. Wiedziałem, że w najbliższych dniach będę bardzo zajęty, więc chciałem z nią omówić jej obowiązki – zapewnić z opaniem i ze szczerością w głosie. – Po tym jak została opiekunem mediów społecznościowych restauracji, zaczęliśmy coraz więcej ze sobą rozmawiać... Nie wiem, jak to wytłumaczyć, ale w pewien sposób uzależniłem się od tego, od uwagi, jaką mi poświęcała, od zainteresowania moją osobą. Ale nigdy nie tknąłem tej dziewczyny, skarbie. Przysięgam na życie Sebastiana i Louisy.

Tętno uspokaja się i udaje mi się wziąć normalny oddech.

– Marco, jak, do cholery, do tego dopuściłeś? Wdałeś się w platoniczną relację z inną kobietą, podczas gdy ja nosiłam w sobie nasze pierwsze dziecko? Wiesz, jakie to bolesne? Nie potrafię sobie poradzić z wydarzeniami ostatnich tygodni.

Wybucham płaczem, ale odczuwam ulgę. Uda nam się to przepracować, może nawet zaczniemy chodzić na terapię dla par. Jeszcze będziemy normalną rodziną.

– Nie wiem, skarbie. Mówię ci, że nic podobnego by się nie zdarzyło, gdybym był sobą. Cały ten czas czułem się taki odrętwiały i... wyłączony z życia. Nawet nie przyszło mi do głowy, że robię coś niewłaściwego. Aż do teraz. Coś się ze mną stało. Nie mam w sobie żadnych uczuć, i jest tak od końca października. Wszystko we mnie jest takie... płaskie... puste...

Rozmawiamy jeszcze przez kilka minut o jego zdrowiu i postanawiamy, że zrobi wszystkie możliwe badania. Okazuje się, że jego rodzice wyjechali do Danii zobaczyć się z jego siostrą, a on kupił bilet i zarezerwował hotel w Portland. Przyjedzie za pięć dni.

– Będę o ciebie walczyć – oznajmia. – Udowodnię ci, że wszystko to zdarzyło się, bo byłem bardzo poważnie chory, ale przywróćę do życia człowieka, za którego wyszłaś.

Chodzę wkoło pokoju, próbując to wszystko przetrwać. Nagle skrzypią drzwi i wślizguje się mama. Niesie dwa kieliszki różowego wina.

– Pewnie nie powinnam przynosić ci wina, skoro prawie nic nie jadłaś, ale uznałam, że ci pomoże – mówi, podając mi jeden kieliszek.

– Dziękuję.

Siadamy obok siebie na białej sofie i relacjonuję jej rozmowę z Markiem. Mama upija łyk wina.

– A więc albo jest z niego ostatni łgarz i wdał się w prawdziwy romans, albo cierpi na jakieś medyczne wypalenie, a ten cały romans to faktycznie sprawa czysto platoniczna.

Parskam śmiechem. Wszystko to brzmi doprawdy niedorzecznie.

– No, tak to można ująć. – Pocieram skroń i dopijam wino.

– Oto dlaczego wydaje mi się, że nie zdradził cię w sensie fizycznym – podejmuje mama, a serce z radości aż wyrwa mi się z piersi. – Czy naprawdę chciałby ryzykować wszystkim dla jakieś dwudziestodwuletniej dziewczyny, którą interesuje tylko strzelanie sobie selfie? Swoją zieloną kartę, restaurację, małżeństwo, małe dziecko... Przez pięć lat był w tobie po uszy zakochany. To wszystko nie trzyma się kupy.

– Wiem, mam, wiem.

– To, co zrobił, to dość, by zakończyć to małżeństwo. – Mama spogląda mi w oczy.

– W normalnych okolicznościach powiedziałabym, że czas odejść, bo nawet platoniczna relacja, jeśli już o tym mowa, jest niszcząca. Poza tym nadużył twojego zaufania. Ale przecież dopiero co urodziło wam się dziecko, więc w głębi serca chciałabym wierzyć, że da się to naprawić. – Wbija wzrok w kieliszek, a gdy go podnosi, w oczach ma łzy. – Nie chcę, żebyś straciła rodzinę i przyszłość, którą sobie wymarzyłaś. Nie w taki sposób.

– Wiem. Pogubiłam się w tym wszystkim.

Wchodzi mój tata z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Co się stało?

Opowiadam mu w skrócie.

– Powiedział, że w końcu jest ze mną całkiem szczerzy i że nie doszłoby do niczego podobnego, gdyby był przy zdrowych zmysłach. – Kończę relację i wyczekująco spoglądam na ojca.

– Mężczyźni nie wdają się w platoniczne związki – kwituje.

– Ale... – zaczynam, lecz głos więźnie mi w gardle. – Powiedział, że uzależnił się od jej uwagi.

– Mówię, co wiem, i tyle. – Ojciec jest nieprzejednany. Każde jego kolejne słowo jest ostre i rani jak sztylet: – Mężczyźni. Nie wdają się. W platoniczne związki.

– Robert – wtrąca mama – po co, u licha, Marco miałby sypiać z dziewczyną, która nawet mu się nie podoba, skoro ma taką piękną żonę, i w dodatku właśnie urodziła mu dziecko.

– Spryciarz z niego. Wciska ci kłamstwa, które brzmią jak prawda.

Biorę głęboki oddech.

– Pokaż mi tę dziewczynę – mówi tata.

Wyświetlam na telefonie jej zdjęcie i podsuwam mu przed oczy.

– Jak najszybciej zrób sobie badania w klinice wenerologii – stwierdza rzeczowo.

– Och. – To jedyny dźwięk, jaki potrafię z siebie wydobyć.

Nawet nie przyszło mi to na myśl, a teraz zaczynam się bać o Louise. Jeśli ich romans zaczął się przed jej przyjściem na świat, a ja mam jakąś chorobę weneryczną, to ona też jest nosicielką.

– Wybaczcie – mówię cicho i biegnę do łazienki z wymiotować.

Pięć dni później tata odbiera Marca z lotniska. Chce z nim porozmawiać po drodze. Słyszę, jak tuż przed wyjściem zwraca się do mamy:

– Dowiem się, czy kłamie. Wybadam go.

– Ojciec pozna – mówi mama z przekonaniem. – Kłamstwo wyczuje na kilometr.

Tata wraca godzinę później.

– I jak? – pytam niepewnie.

– Nie potrafię go rozszyfrować – odpowiada, a serce opada mi gdzieś do żołądka. – Był jak zombie. Raz tylko w ogóle jakoś zareagował, a mianowicie wtedy, kiedy podwoziłem go do hotelu i powiedziałem, że cokolwiek się stanie, cieszę się, że jest moim zięciem.

– To chyba dobrze, prawda? – W moim głosie pobrzmiewa cień nadziei. – To by pasowało do tego, co mówi: że utracił uczucia. No a twoje słowa poruszyły w nim jednak jakieś emocje, czyli jest szansa, że z tego wyjdzie. To chyba dobry znak...

– Nie wiem, Jenny – odpowiada tata, kierując się do swojej sypialni. – Naprawdę nie wiem, co myśleć.

Godzinę później pukam do drzwi hotelowego pokoju Marca. Louisa radośnie popiskuje w wózku. Dzisiaj kończy dwa miesiące. Uśmiecham się do niej nerwowo. Marco otwiera drzwi. Przez chwilę stoimy twarzą w twarz. Jeszcze nigdy nie widziałam go takiego bladego. Na jego twarzy wymalowuje się znajomy uśmiech, który mimowolnie odwzajemniam.

– Cześć – mówi.

– Cześć – odpowiadam.

Ciężkim krokiem wchodzę do pokoju, pchając przed sobą wózek po pluszowym dywanie. Miga mi moje odbicie w lustrze, gdy zdejmuję czapkę i płaszcz. Jestem chuda. Za chuda jak na świeżo upieczoną matkę. Zawstydzona, odwracam wzrok. Muszę jeść, żeby Louisa mogła jeść. Siadam na fotelu obok łóżka, Marco zajmuje miejsce naprzeciw mnie, na krześle przy biurku.

Wyglądam przez rozległe okno na rozciągającą się w dole dzielnicę Old Port. Byliśmy z Markiem w Maine tyle razy, że każdy zakątek Portland przywołuje inne wspomnienie związane z moim mężem. Kiedyś było to moje miasto. Teraz jest nasze.

– Marco – zaczynam i wzdycham. – Nawet nie wiem, od czego zacząć. Nie mam pojęcia, jak ułożyć sobie w głowie te ostatnie kilka tygodni. Nie wiem, czy kiedykolwiek uda nam się przez to przejść.

– Okej – rzuca Marco beznamiętnie. – Wezmę prawnika, który zajmie się rozwodem.

Serce mi zamiera. Mówi o tym jak gdyby nigdy nic. Jeśli ktokolwiek powinien tu wspominać o rozwodzie, to chyba ja, prawda? Przyjechał do Portland tylko po to, żeby mi o tym powiedzieć? W zamroczeniu wracam myślami do Square, do chwili, gdy poznałam Seba, do naszych, moich i Marca, zaręczyn, do narodzin Louisy, a potem wybiegam naprzód do naszej czwórki świętującej przyszłoroczne Boże Narodzenie, do zabaw w parku latem, naszej pierwszej rodzinnej wyprawy do Buenos Aires. Ostatnie pięć lat i przyszłość, której byłam tak pewna, ulatniają się w ułamku sekundy. Mam ochotę wrzeszczeć: „Nie to miałam na myśli. Proszę, Marco, proszę!”, ale gdy spoglądam mu w oczy, widzę w nich tylko pustkę. Dławię krzyk w gardle. Co to było, co się z niego wydostało? Jęk? Szloch?

– Okej – odpowiadam najspokojniej, jak potrafię, i wstaję, kompletnie oszołomiona.
– Lepiej już pójde.

Już mam zamknąć za sobą drzwi, gdy słyszę:

– Jen, zaczekaj, proszę. Przyjechałem tu, żeby wszystko naprawić. Żeby odzyskać rodzinę.

Jego głos jest nadal bez wyrazu, ale mam ochotę paść mu w ramiona. Chcę nim potrząsnąć i wykrzyknąć mu w twarz: „Gdzie jest mój Marco? Chcę, żeby natychmiast do mnie wrócił!”. Zamiast tego mówię ostrożnie:

– Mamy wiele do omówienia. I wiele do przepracowania.

– Wiem. Nie mam pojęcia, jak do tego wszystkiego doszło. Naprawdę nie wiem.

– Wyjmuje telefon. – Złożę wypowiedzenie. Ta praca mnie wykończyła i o mało nie zniszczyła naszej rodziny. Nie jest tego warta.

Trzy tygodnie temu spojrzełabym na niego, jakby postradał zmysły. Teraz jednak mówię, starając się ukryć radość w głosie:

– Myślę, że to dobry pomysł.

Marco przez kilka minut pisze coś na telefonie.

– Załatwione – mówi i odkłada go na biurko.

Podchodzę i zarzucam mojemu mężowi ręce na szyję.

– Jen. – Marco kładzie mi dłonie na ramionach, a potem ujmuje w nie moją twarz. – Moje zdrowie jest w bardzo, bardzo złym stanie. Nie szukam wymówek, ale coś jest ze mną nie w porządku.

– Szkoda, że nie powiedziałeś mi wcześniej. Szkoda, że pozwoliłeś, by to wszystko zaszło tak daleko.

– Wiem. Ja też żałuję.

– Marco, muszę o to spytać... – Biorę głęboki oddech. – Czy uprawiałeś seks z tą dziewczyną? Albo chociaż się z nią całowałeś? Czy między wami do czegośkolwiek doszło? Muszę znać prawdę.

Przypominam sobie selfie, które udostępniła Viktorija. Ujęcie z góry, w czarnym sznurowanym gorsecie. Piersi wylewają się jej ze stanika, pokazuje środkowy palec. „Życie jest podle” – głosi podpis. Kiedyś na widok takiego zdjęcia Marco by jęknął: „Dlaczego każdej tandeciarze wydaje się, że jest Kim Kardashian?”. Ale gdy zobaczyłam je dziś rano, aż mnie ścisnęło.

Marco śmieje się ze znużeniem.

– Jen. Powtarzałem ci już z tysiąc razy. Ona mi się w ogóle nie podoba. Owszem, popełniłem wielki błąd, mówiąc jej o rzeczach, o których powinienem rozmawiać tylko z tobą, ale nigdy nie było w tym nic fizycznego. Gdybym chciał cię zdradzić albo gdybym cię zdradził, to nie chciałbym kontynuować tego małżeństwa.

– Podobam ci się jeszcze? – pytam.

Przy Marcu zawsze czułam się jak bogini, jak najpiękniejsza kobieta na świecie. Często przyłapywałam go na tym, jak rano wpatrywał się we mnie, zanim jeszcze nałożyłam makijaż. „Jesteś taka piękna” – wzdychał. A teraz sama muszę się dopytywać...

– Oczywiście, że tak – odpowiada i miękko mnie całuje.

Pocałunek staje się coraz bardziej namiętny i już po chwili lądujemy na łóżku, ściągając z siebie ubrania. Modlę się, żeby Louisa się nie obudziła.

Po wszystkim Marco obrzuca mnie spojrzeniem.

– Dlaczego chciałaś uprawiać seks? – pyta poważnym tonem, którego nie potrafię rozszyfrować.

– Nie wiem – odpowiadam powoli. Milknę, by się zastanowić. – Chyba sądziłam, że to nas do siebie zbliży. Przez ostatnie tygodnie była między nami tak wielka przepaść – mówię

szczerze.

– Aha – kwituje tylko.

Dawny Marco, mój Marco zniknął. Wrócił ten obcy.

PRZEDTEM

– Rany boskie, wyglądam jak wy kiedyś. – Zwróciłam się do Holly, Charlotte i Stacy, przypinających mi do koka długi powłóczysty welon; wspomniałam przerażenie i podziw, z jakimi patrzyłam, jak moje przyjaciółki szykują się do ślubu.

– Wyglądasz olśniewająco – powiedziała Holly, ostatni raz poprawiając welon.

– I wcale nie widać brzuszka – dodała Stacy zza lustra, obrzucając spojrzeniem moją talię.

– Naprawdę? Jesteś pewna? – spytałam, obracając się w prawo i w lewo.

– Absolutnie – zapewniła Charlotte i rozpostarła tren mojej sukni.

Szesnaście tygodni wcześniej poszłam z Markiem na romantyczną kolację. Po powrocie do domu znalazłam wystający ze śmieci test ciążowy, który robiłam sobie tego dnia po południu.

– Kochanie... – zawołałam z łazienki. – Co, do cholery... Nie rozumiem...

– Mówiłaś coś?

Powoli wyszłam z łazienki. Marco zasiadał właśnie w salonie przed telewizorem, by obejrzeć *Grę o tron*. Na stoliku czekały dwa kieliszki wina.

– Wszystko w porządku, Jen? Co się stało? – spytał, widząc, że jestem blada jak ściana.

– Pamiętasz, jak mówiłam dzisiaj, że zrobię test, bo miesiączka spóźnia mi się o kilka dni?

– Tak... Wynik był negatywny, prawda? – odparł Marco, zerkając na plastikowy patyczek w moim ręku.

– Bo był. Ale teraz jest pozytywny. Nic z tego nie rozumiem...

– Skarbie, był w koszu, na pewno już się nie nadaje. Ale może powinnaś zrobić jeszcze jeden? Tak dla pewności.

– O tak, kochanie, zdecydowanie tak, tylko że nie mam drugiego.

Wyjęłam telefon i wpisałam w wyszukiwarce: „Test ciążowy i zmiana wyniku na pozytywny po kilku godzinach”, podczas gdy Marco wkładał już buty.

– Skoczę do Rite Aid – rzucił. – Ale nie martwiłbym się na zapas. Szansa, że jesteś w ciąży, to jakiś ułamek procenta. A gdyby nawet, to co w tym złego?

– Wiesz co, na tej stronie jest napisane, że po jakimś czasie wszystkie testy ciążowe pokazują pozytywny wynik. Coś tam się dzieje, gdy ta substancja połączy się z powietrzem. Uff. Wiem, że masz ciśnienie na dziecko, ale jednak wolałabym się dowiedzieć, że jestem w ciąży w innych okolicznościach niż po wydudnieniu pół butelki wina i kilku drinków – powiedziałam ze śmiechem.

Marco znał właściciela francuskiej restauracji, z której właśnie wróciliśmy, i ten po kolacji przyniósł nam po kieliszku absyntu. Czekając na powrót Marca, chodziłam niespokojnie po salonie.

– Nie ma możliwości, żebym była w ciąży – powiedziałam na głos. Usiadłam w wielkim, kremowym fotelu stojącym obok kremowej kanapy, a potem aż podskoczyłam, bo przypomniałam sobie, że na tym właśnie fotelu miesiąc temu poszliśmy z Markiem na całość, ignorując wszelkie środki ostrożności. Raz. Jeden raz. – Nie można zajść w ciążę po jednym razie – przekonywałam sama siebie na głos, ale zaraz potem dopowiedziałam w myślach, że oczywiście można.

– No dobra, dawaj – zawołał Marco, który właśnie stanął w drzwiach.

Poszłam do łazienki z małą saszetką z Rite Aid i walącym sercem, a trzy minuty później wyszłam ze łzami ciekącymi po policzkach.

– Co my teraz zrobimy? – zapytałam.

Marco wstał z kanapy i podszedł do mnie z promiennym uśmiechem na twarzy.

– To wspaniała wiadomość, skarbie. Cudowna.

Wziął mnie w ramiona, a ja zatopiłam się w nich i zaczęłam płakać jeszcze bardziej.

Ale miał rację.

W końcu płacz przeszedł w śmiech, a strach w podekscytowanie. Ustaliliśmy, że po powrocie z miesiąca miodowego Marco zacznie się rozglądać za pracą na etat w charakterze menedżera restauracji. Duch współpracy osłabł w naszej czwórce kilka miesięcy po wielkim otwarciu Thirsty Owl, wszyscy staliśmy się bardzo drażliwi. Przez cały czas były jakieś niesnaski.

– Mówię ci, skarbie, od początku chcieli nas wysiudać z tego interesu.

– Jak mogą nas wysiudać, skoro zainwestowaliśmy tyle pieniędzy – mówię, niespokojnie chodząc po pokoju. – Ledwo nam starcza na czynsz, a teraz jeszcze jestem w ciąży i nie znam nawet dobrego lekarza, i...

– Skarbie, daj spokój. Dostałaś już wysypki z nerwów. – Stał naprzeciw mnie i położył dłonie na moich ramionach. – Musisz mi obiecać, że pozwolisz mi się wszystkim zająć. Nie wolno ci się teraz stresować. Gdy wrócimy z Francji, znajdę dobrze płatną robotę, odzyskam twoje pieniądze i zerwiemy wszelkie kontakty z tymi ludźmi, dobrze?

– Dobrze. Masz rację. Spróbujmy odzyskać, ile się da. Mam nadzieję, że wszystko. Te pieniądze bardzo by się nam teraz przydały.

– Zajmę się tym. Więcej o tym nie myśl. A przynajmniej nie przez najbliższe dziewięć miesięcy. Obiecujesz?

– Obiecuję.

Od tamtego dnia przestałam budzić się o drugiej w nocy i zamartwiać o restaurację, a zaczęłam skupiać się na utrzymaniu pogody ducha – wszystko dla dobra dziecka. Marco co wieczór pisał do mnie z nowej pracy („Jak się macie”?) i niezależnie od tego, ile razy sobie powtarzaliśmy, że wcale nie wiadomo, czy to dziewczynka, przesyłał zdjęcia małych „córeczek tatusia” („Nie mogę się już doczekać!”), a pod spodem obrazek przedstawiający mężczyznę z maleńką blondyneczką, istnym aniołkiem: on kroi warzywa, ona stoi na taborecie i wpatruje się w niego z zachwytem.

I teraz spojrzalam w lustro na pannę młodą naprzeciw mnie i położyłam dłoń na brzuchu.

– Chodźmy do tatusia.

Wypowiedzieliśmy słowa przysięgi małżeńskiej wobec siedemdziesięciu pięciu osób – grona przyjaciół i członków rodziny – z bezkresnym oceanem w tle. Zabytkowy tramwaj zawiózł gości na miejsce ceremonii z widokiem na plażę, a potem do domu moich rodziców, gdzie wzniesiono wielki biały namiot. Wykosztowaliśmy się na ostrygi, trunki najlepszego gatunku i utalentowany, choć nieco sentymentalny zespół muzyczny. Gdy trzymając się za ręce, wróciliśmy ze ślubnej sesji zdjęciowej, przyjęcie toczyło się już pełną parą. Moja siostra wzniosła toast.

– Zauważyłam to od razu. Że Jenny ogromnie podziwia Marca. Myślę, że to bardzo ważne w związku i małżeństwie – zaczęła.

Szturchnęłam Marca w bok i wyszeptalam:

– *Es verdad.*

– Pamiętam, jak po raz pierwszy mi o nim opowiadała – kontynuowała. – To było na początku ich związku. Była bardzo podekscytowana. Zauważyłam jednak coś jeszcze: rany, Jen naprawdę szanuje tego faceta. I zapamiętałam to, bo nigdy wcześniej nie mówiła o żadnym ze swoich chłopaków z takim szacunkiem i podziwem. A potem, gdy poznałam Marca,

zrozumiałam, dlaczego ma do niego taki stosunek.

Mówiła przez kilka minut o szacunku i podziwie równie istotnych dla powodzenia związku jak miłość. Ścisnęłam dłoń Marca.

– Piękne słowa – powiedział.

– No cóż, wszystkie głosiły twoją chwałę i wspaniałość. Trudno, żeby ci się nie spodobały – skwitowałam.

Następny w kolejności był Seb i zanim zdążył otworzyć buzię, rozległy się gwizdy i okrzyki zachęty. Z pełną powagą poprawił sobie muszkę i odchrząknął do mikrofonu.

– Witam wszystkich – zaczął. – Niektórzy z was pewnie mnie nie znają, więc przedstawię się w skrócie. Jestem synem Marca i nazywam się Sebastian. Pokochałem Jen, jak tylko ją poznałem, bo, powiedzmy to sobie szczerze, nie można poznać Jen i jej nie pokochać. Ona i mój tata są jak dwie połówki pomarańczy stworzone dla siebie w niebie. Oczywiście, o ile wierzy się w takie rzeczy, bo ja akurat jestem ateistą – zaświergotał do mikrofonu drobniutki czarnowłosy chłopczyk, a zebrani ryknęli śmiechem.

Gdy kończył swoją przemowę, ciekły nam z Markiem łzy po twarzy i śmieliśmy się histerycznie.

– Zanim mój tata poznał Jen, był jak układanka, w której brakuje elementów. To Jen była tym brakującym kawałkiem. Cieszę się, że będę miał taką fajną macochę i takich fajnych dziadków – zakończył.

– Jest niesamowity – powiedziałam do Marca.

– Jest niepoważny – rzucił Marco i porwał Seba w ramiona. – To było ekstra, chłopie.

Tuż przed obiadem wokalista zespołu postukał w mikrofon i powiedział:

– Chciałbym zaprosić do wzniesienia toastu tatę panny młodej.

Nogi się pode mną ugięły. Tata od kilku miesięcy uczył się hiszpańskiego i ćwiczył swoją przemowę po hiszpańsku, najpierw zamierzał bowiem zwrócić się do rodziców Marca w ich ojczystym języku, a dopiero potem do nas po angielsku. Modliłam się w myślach, żeby mu się udało. Gdy wziął mikrofon, wstrzymałam oddech.

– Zanim wzniosę toast, chciałbym powiedzieć kilka słów rodzinie Marca, która przyjechała do nas aż z Argentyny i Danii. – A potem przeszedł na hiszpański i perorował w nim tak płynnie, że aż otworzyłam usta ze zdumienia.

– Kurczę, twój tata mówi po hiszpańsku lepiej ode mnie! – powiedział Ian, głupkowaty portorykański drużba Marca.

Tata przez dziesięć minut przemawiał po hiszpańsku, po czym do pozostałych gości zwrócił się po angielsku:

– Mówiłem przed chwilą o zaletach charakteru Marca i o tym, jak szczęśliwa jest nasza rodzina, że dołączy do niej razem ze swoim synem Sebastianem. Pamiętam, że gdy pierwszy raz spotkałem mojego zięcia, nie byłem tego taki pewien...

Towarzystwo wybuchło gromkim śmiechem, a ja zakryłam dłonią usta.

– Rany, tato...

– Ale gdy go poznałem bliżej, okazało się, że to jeden z najbardziej wielkodusznych, pracowitych i godnych podziwu mężczyzn, jakich mógłbym wytypować do tej roli. Moja córka miała wielu adoratorów przed Markiem i przez chwilę martwiłem się, że nigdy się nie ustatkuje...

– Boże, tato... – Jęknęłam i schowałam twarz w ramię Marca. – Chodziłam tylko z czterema chłopakami – poinformowałam wszystkich przy stoliku.

– Był to prawdziwy zaszczyt móc poznawać Marca i Seba przez ostatnie kilka lat i niezmiernie się cieszę, że mogę teraz przyjąć Marca do naszej rodziny jako zięcia.

Mój ojciec zakończył toast, a do akcji wkroczył tata Marca, wchodząc na podium i dziękując mojemu tacie za przemowę.

– Brawo! – ryknął Ian; wszyscy wstali i zaczęli klaskać.

Już mieliśmy usiąść, gdy z głośników rozległo się:

– *Marco, Marco, vien aquí.*

Oscar miał teraz w ręku mikrofon i gestem zapraszał Marca do siebie na scenę.

– No, no, zapowiada się ciekawie – powiedział Marco i wstał.

– Czy twój tata przygotował przemowę? – spytałam.

– Nie – odparł Marco. – Ale nie przejmuj się, to mu w niczym nie przeszkadza.

– Widowiskowo! Czuję się jak w kinie – stwierdził Ian, gdy patrzyliśmy, jak Marco, cały zdenerwowany, zajmuje miejsce na podium tuż obok swojego taty.

Oscar przemawiał przez całe pięć minut po hiszpańsku, żywo przy tym gestykulując. Potem podał mikrofon synowi i skinął głową.

– Mój tata powiedział... hm... że to był cudowny dzień i byłoby wspaniale, gdybyście zechcieli odwiedzić Argentynę. Drzwi domu moich rodziców są dla was zawsze otwarte.

– Twój tata to szalony poeta! – wrzasnął Ian, przekrzykując śmiech i oklaski. – Mój kot by lepiej przetłumaczył Szekspira.

Pod koniec wieczoru Marco, Seb i ja wzięliśmy się za ręce i zatańczyliśmy do *Happy Pharrella*. Zamknęłam oczy i przechyliłam głowę do tyłu, żeby nasiąknąć tą chwilą. Przypomniałam sobie początek tego dnia: przed oczami stanął mi Marco wypowiadający kilka godzin wcześniej, lekko drżącym głosem słowa przysięgi, które układał całymi tygodniami.

Moja piękna, dziś biorę sobie ciebie za żonę. Obiecuję, że będę ci towarzyszył tam, gdzie życie nas poprowadzi, że będę cię kochał bezwarunkowo, że będę cię szanował i chronił przed wszelkim złem.

Powtórzyłam słowa jego przysięgi w duchu, a gdy otworzyłam oczy, zobaczyłam rozmazane postacie Seba i Marca.

– Myślisz, że powinnaś zrobić sobie przerwę? – spytał Marco, obrzucając wzrokiem mój brzuch.

– Nie! – wrzasnęłam poprzez muzykę, z zawrotami głowy, szczęśliwa. – Chcę tańczyć i tańczyć.

POTEM

Jedziemy teraz do domu moich rodziców. W hotelu Louisa obudziła się, gdy szykowaliśmy się do wyjścia. Marco wyjął ją z wózka i położył między nami na łóżku. Gruchaliśmy do niej przez godzinę. Po raz pierwszy się roześmiała, patrząc, jak Marco robi głupie miny. „Boże, proszę – modlę się w myślach – proszę, niech Marco wyzdrowieje”. Zerkając we wsteczne lustro, w którym widać jasnobrązową kępkę włosów wystającą z nad fotelika, głowę wypełnia mi jedna myśl: niech Marco nas znowu pokocha.

Wjeżdżamy na oblodzony podjazd przed białym nieforemnym domem rodziców. W oknach migoczą świece, a na gałęziach drzew wokół domu siedzą czapy śniegu.

– Będzie trochę niezręcznie. Twoi rodzice pewnie mnie teraz nienawidzą – zwraca się do mnie Marco, wyjmując Louise z fotelika.

– To nie tak – mówię, a słowa wychodzą jakoś piskliwie. – Naprawdę martwię się o twoje zdrowie.

– Ja też się o nie martwię – rzuca, idąc zgięty alejką prowadzącą do drzwi wejściowych.

Mama wita nas ciepło i bierze Marca w ramiona. Uśmiecham się do niej. Dziękuję jej wzrokiem. W kominku huczy ogień, pomarańczowe płomienie liżą trzaskające drewno. Siedzimy z Markiem na kanapie, jedno obok drugiego. Louisa śpi w foteliku samochodowym po drugiej stronie pokoju. Mama proponuje nam kawę.

– Nie, dziękuję – odpowiada Marco monotonnym głosem, prawie niezmiennym od dwudziestego stycznia. – Kawa tylko nasila migrenę.

– Cierpisz na migreny? – pyta mama z niepokojem, siadając na białym fotelu stojącym naprzeciw nas. – Też je kiedyś miewałam. Tylko akupunktura okazała się skuteczna.

– Może i ty byś spróbował? – pytam z entuzjazmem.

– Może – rzuca Marco.

– No więc chcecie to jakoś ratować? – Mama bacznie przygląda się swojemu zięciowi.

– Chcemy ratować co? – Marco odpowiada martwym głosem pytaniem na pytanie.

– Małżeństwo – dodaje mama.

– A tak. Oczywiście – zapewnia beznamiętnie Marco.

Ściska mnie za rękę i pociera moją dłoń palcami. Jego dotyk wydaje się tak obcy, że się wzdrygam.

– Oczywiście – mamrocę pod nosem i okraszam te słowa promiennym uśmiechem.

Kilka dni później pokonuję pierwszy odcinek drogi powrotnej do Nowego Jorku. Zmieniamy się na postoju w Connecticut i Marco prowadzi już do końca, twierdząc, że czuje się dobrze i że łupanie w głowie, które czuł w Maine, jakby złągodniało.

– Szkoda, że w ogóle musimy wracać do Nowego Jorku – mówi, splatając palce z moimi.

– Niedobrze mi się robi na samą myśl o pracy, naszym mieszkaniu, o tym całym mieście...

Odniosłam wrażenie, że przez te trzy dni w Maine samopoczucie Marca uległo poprawie. Co rano odbierałam go z hotelu i spacerowaliśmy po Old Port, pchając wózek Louisy po brukowanych alejkach i rozmawiając. Omawialiśmy minione kilka miesięcy, i oboje przyznaliśmy, że nasza komunikacja szwankowała. Marco powiedział mi, że praca w mieście wysysa z niego soki życiowe i że trzymał to wszystko w sobie, bo nie chciał przysparzać mi w ciąży zmartwień. Co wieczór prosił mnie, bym poszła z nim do hotelu i została na noc.

– Nie jestem gotowa – odpowiadałam za każdy razem. – I gdzie byśmy położyli Louise?

Ostatniego wieczoru moi rodzice zostali z małą, a ja i Marco poszliśmy na kolację do pięknej restauracji w Portland. Gdy zjedliśmy, Marco ujął moją dłoń.

– Skarbie, przeprowadźmy się do Maine. To wszystko by się nie zdarzyło, gdybyśmy przenieśli się tutaj rok temu.

Cofnęłam się myślami do ostatniego lata, gdy Marco nalegał na przeprowadzkę do Maine.

– Mam dosyć Nowego Jorku. Kupmy mały dom w Portland i zacznijmy wszystko od nowa – zaproponował.

– A co z restauracją? Wiem, że chcemy się z tego wymiksować, ale nie sądzisz, że najpierw powinniśmy odzyskać to, co zainwestowaliśmy? A moja kariera? Muszę być w Nowym Jorku. Zostańmy jeszcze kilka lat. Chcę się przeprowadzić, gdy będziemy czuć się silni, a nie w chwili kryzysu.

– Chyba masz rację. Chciałbym otworzyć coś własnego w Nowym Jorku. Żadnych spółek. Tylko my dwoje – powiedział w zamyśleniu. – No dobra. Jeszcze parę lat. Spiszemy się na medal. – Ucałował moją dłoń. – Jesteś taka mądra.

Okazało się jednak, że wcale nie byłam taka mądra. Rok później, siedząc naprzeciw niego w blado oświetlonej restauracji, ścisnęłam jego dłoń.

– Tak, tak. Przeprowadźmy się – powiedziałam. – Ja też już nie mogę znieść Nowego Jorku.

– Naprawdę? Mówisz poważnie? – spytał.

Potwierdziłam skinieniem głowy.

– Dobra, to przepracuję jeszcze te dwa tygodnie w restauracji, a potem wynajmiemy nasze mieszkanie. – Upił łyk wody, a gdy odstawił szklankę, w oczach miał łzy. – Nie mogę uwierzyć, że dopuściłem, by sprawy zaszły tak daleko. Tyle w sobie dusiłem, że o mały włos nie zniszczyłem naszej rodziny. – Gdy to mówił, łza spływała mu po policzku.

Tamtej nocy przed zaśnięciem wysłałam mu esemesa. „Dobranoc – odpisał natychmiast. – Kocham Was obie. Może to tandetne, ale tak właśnie czuję”. Przyszedł też link, który zaraz otworzyłam. Rozległ się głos Aarona Neville’a, gdy koncertowe wykonanie *Don’t Know Much* popłynęło z mojego iPhone’a. Uśmiechnęłam się i wstukałam na klawiaturze: „Ja też cię kocham. Ale czas, by za słowami poszły czyny”.

Teraz, siedząc w samochodzie na miejscu pasażera, będę palcami o jego rękę i patrzę przez okno.

– Nie chcę, żebyś przez te dwa ostatnie tygodnie pracy utrzymywał z tą dziewczyną jakikolwiek kontakt, Marco – mówię poważnym tonem.

Na horyzoncie majaczy panorama Nowego Jorku.

– Przecież z nią pracuję, więc chcąc nie chcąc, będę ją widywał, ale obiecuję ci, że jak tylko stamtąd odejdę, to nigdy się z nią nie spotkam ani nie będę z nią utrzymywał kontaktu.

– Wzdycha. – Mówiłem ci już z tysiąc razy, że nigdy mi się nie podobała. Nosi tak grubą warstwę makijażu, że wygląda jak klaun. A wiesz, że boję się klaunów.

To nie powinno mnie ucieszyć. Nigdy nie byłam uszczypliwa. Ale pozwalałam sobie na ironiczne prychnięcie.

Już pierwszego wieczoru w Nowym Jorku pojawiają się problemy. Jeszcze w Maine Marco umieścił na Instagramie zdjęcie moich okularów przeciwsłonecznych i mnie na nim oznaczył. W normalnych okolicznościach nie zwróciłabym na to uwagi albo zażartowała, że oznacza mnie na wszystkich swoich zdjęciach, ale gdy kilka dni temu dostałam powiadomienie na telefonie, byłam przeszczęśliwa. Od dwudziestego stycznia Marco nie publikował żadnych zdjęć ze mną i z Louisą, więc to było coś. Gdy jednak potem zauważyłam, że usunął znacznik, nagle wszystko we mnie zamarło.

„Dlaczego usunąłeś znacznik?” – piszę do niego natychmiast.

Po dziesięciu minutach przychodzi odpowiedź: „O czym ty mówisz?”.

„O zdjęciu okularów. Co jest grane, Marco?” Wiem, że to małosłowne, głupie i płytkie, ale jestem wkurzona.

Przesyła następną wiadomość: „Serio? Nie usuwałem żadnego znacznika. Zachowujesz się jak wariatka”.

Zaczynam mu odpisywać kolejnymi przekleństwami, ale powstrzymuję się przed wysłaniem. Może rzeczywiście zachowuję się jak wariatka. Może jego telefon jakimś cudem sam to odznaczył. Może w ogóle nigdy mnie na nim nie oznakował. Próbuję sobie przypomnieć, kiedy otrzymałam powiadomienie. Nie mogę się skupić. Mam mętlik w głowie. Postanawiam dać sobie z tym spokój.

Następne noce są jeszcze gorsze. Codziennie spędzamy razem parę miłych godzin, zanim Marco wyjdzie do pracy. Co wieczór, tuż po zachodzie słońca, ogarnia mnie zdenerwowanie, jestem roztrzęsiona, czuję się jak hiena okrążająca swoją ofiarę.

„Na pewno jej tam dzisiaj nie ma?” – piszę wiadomość, nie mogąc się powstrzymać.

„Skarbie, przestań” – przychodzi odpowiedź.

„Muszę wytrzymać jeszcze tylko dziesięć dni” – pocieszam się w duchu. Wynajęłam miejsce w magazynie na składowanie naszych rzeczy. Pod koniec miesiąca przenosimy się do Maine. Moi rodzice znów wprowadzili się do wynajętego mieszkania. Ostatniego dnia lutego wyruszą z powrotem do Maine, a my pojedziemy za nimi naszym subaru. Postanowiliśmy, że spędzimy kilka miesięcy na Peaks Island w domku letniskowym moich rodziców. Tylko nasza trójka. Będziemy razem gotować, tulić Louisę, pić kawę przy kominku.

Jeszcze tylko dziesięć dni.

Ale nie potrafię tyle czekać. W moim ciele zagnieździła się jakaś choroba. Jestem zainfekowana, cała zbolała. Chcę mieć pewność. Wiem, co muszę zrobić. Całą noc chodzę w tę i w tę po mieszkaniu i około drugiej nad ranem zaczynam się szycować. Delikatnie wyjmuję Louisę z bujaka i zapinam ją w foteliku samochodowym. Przez chwilę się wierci, ale potem zapada w głęboki sen – rozchyła usta, powieki lekko jej drgają.

– Przepraszam, kochanie – szepczę. – Już niedługo to się skończy.

Wkładam płaszcz i zasznurowuję buty. Czuję, jak po plecach spływa mi strużka zimnego potu. Znoszę Louisę po schodach, wychodzę z klatki i maszeruję w stronę samochodu. W brzuchu mam twardą kulę, a w żołądku wszystko mi się wywraca. Montuję fotelik na tylnym siedzeniu, przekręcam kluczyk i z szarpnięciem wjeżdżam na podjazd. Czekam, aż samochód się nagrzej, a potem wpuszczam gorący podmuch w lodowate znieruchomiałe powietrze.

– Proszę, nie budź się – szepczę do wstecznego lusterka.

Tłumne przed kilkoma godzinami ulice, teraz są puste. Na opustoszałym chodniku rozlewają się łaty bladeżółtego światła. Zatrzymuję się na czerwonym świetle i patrzę przed siebie.

– Daj mi znak, a zawrócę – mówię szeptem.

Kula w brzuchu rośnie, w miarę jak zbliżam się do celu.

Krażę, szukając miejsca do zaparkowania. Przygaszam światła i czekam. W aucie robi się chłodno. Skupiam się na krwi szumiącej mi w żyłach i huczącej w uszach. Pocieram dłonie i zerkam na małą. Oddycha spokojnie pod ciepłym miękkim kocem. Gdy odwracam od niej wzrok, dostrzegam dwoje ludzi wychodzących z restauracji. Rozpoznaję ciemnogramatowy garnitur i jej roztrzepane długie blond włosy. Serce zaczyna mi walić. On zamyka drzwi na klucz, a potem stoją jeszcze przez chwilę i rozmawiają. Otacza ją ramieniem, a potem szybko je zabiera. Ona zaplata ręce na piersi. Zaczynają iść ulicą. Czekam, aż znikną za rogiem, i zapalam silnik. Noga drży mi tak bardzo, że za mocno naciskam gaz i samochodem szarpie do przodu. Toczę się po brukowanej ulicy, nachylona nad kierownicą, kurczowo ją ściskając. Na końcu ulicy patrzę

w prawo. Wyteżam wzrok i w odległości dwóch przecznic dostrzegam dwie znajome sylwetki. Włączam kierunkowskaz, choć droga jest pusta. Już mam skręcić, gdy zauważam zakaz skrętu w lewo. Cholera! Zgubię ich! Przełączam kierunkowskaz i dociskam gaz.

Skręcam w lewo i jadę najszybciej jak się da po wąskiej i krętej uliczce, aż pojawia się odbicie w prawo. Skręcam, potem znowu w prawo i kilka przecznic prosto. Modlę się, żebym znajdowała się równolegle do Marca i Chorwatki. Znowu skręcam w prawo i dojeżdżam do ulicy jednokierunkowej. Rozglądam się na boki, rozpaczliwie ich wypatrując. Ulica jest pusta. Żywego ducha. Szlag!

Wyjmuję telefon i pośpiesznie włączam aplikację „Find My iPhone”. Znamy z Markiem nasze hasła, więc loguję się na jego konto. Dawaj! Dawaj! No, ładuj się! Na ekranie ukazuje się mapa i kropka lokalizująca telefon Marca. Powiększam obraz. Patrzę na jego położenie, a potem na nazwy otaczających mnie ulic. Marco jest tutaj. Gdzieś tu obok. Kręcę głową w prawo i w lewo jak opętana, wyteżam wzrok. Nikogo. Oddech mam płytki i urywany. Mrużę oczy, wypatrując baru, rozświetlonego okna, czegokolwiek. Nic. Budynek zatopiony są w ciemności. Nie rozumiem. Biorę głęboki oddech i wyteżam umysł. Coś tu nie gra... Naciskam guzik na telefonie i przykładam aparat do ucha.

– Słucham? – odzywa się Marco.

W tle słychać głośnie muzykę i rozmowy.

– Wiem, gdzie teraz jesteś – mówię drżącym głosem.

– Rany boskie, skarbie. Musisz przestać, mówię poważnie. – Jego głos jest jakiś odległy.

– Widziałam cię – cedzę, próbując zapanować nad głosem.

– Co takiego? O czym ty mówisz?

Oczami wyobraźni widzę, jak przyciska telefon do ucha, starając się cokolwiek usłyszeć poprzez huk muzyki.

– Widziałam, jak ją obejmujesz. Jestem tutaj.

– Co to znaczy, że jesteś tutaj? – pyta ze spokojem.

– Czekałam pod restauracją. A teraz jestem na skrzyżowaniu West Broadway z Chambers Street. Twój telefon pokazuje, że właśnie tutaj jesteś, ale cię nie widzę.

– Nie ruszaj się stamtąd – rzuca. – Jestem w barze w głębi ulicy. Wstąpiłem tu, żeby zostawić klucze barmanowi, który jutro ma pierwszą zmianę. Już wychodzę. Czekaj na mnie.

Jestem dziwnie spokojna. To jest to. Za chwilę w końcu dowiem się prawdy.

Marco gramoli się do samochodu, siada na miejscu pasażera i natychmiast odwraca się w stronę Louisy.

– Śpi – mówię. Moje słowa brzmią zupełnie naturalnie, jakbyśmy byli rodziną, która wybrała się na piknik do parku. – Już znam prawdę – dodaję równie gładko. – Widziałam, jak ją obejmujesz. – Zapalam silnik i wyjeżdżam na ulicę. Po moim ciele rozlewa się głęboki spokój. – W końcu wiem – mówię pogodnie.

– Skarbie. A może też widziałas, że natychmiast zabrałem rękę i że potem w ogóle się nie dotykaliśmy? Słonko, była zziębnięta i cała drżała, więc odruchowo otoczyłem ją ramieniem, a potem równie szybko je zabrałem. Tak samo zachowałbym się przy twojej mamie... albo przy Nat. Zrobiłem to automatycznie. – Głos ma niewzruszony. – Nie mam romansu. Wolisz myśleć, że mam, ale tak nie jest.

No nie. Nie. Żołądek mi się skręca i cały spokój ze mnie wyparowuje. Na kołnierzu płaszczka skapują łzy. Proszę. Po prostu mi powiedz. Proszę.

– Nie dam rady – mówię. – Nie dam rady.

– Zatrzymaj się, skarbie. Zamieńmy się miejscami. Cała drżysz.

Przesiadamy się; Marco kieruje się w stronę mostu łączącego Manhattan z Queens.

Chowam głowę w dłoniach.

– Nie dam rady – powtarzam.

– Wiem. To, że mnie szpiegujesz, że w środku nocy wyniosłaś z domu Louise... – mówi cicho, ze zboląłą miną. Odciąga jedną moją rękę od twarzy i ściska ją mocno. – Nie tknąłem jej, Jen. Nigdy.

Patrzę na wprost przez przednią szybę. Światła po obu stronach mostu zlewają się ze sobą i wszystko rozmywa się w rozmigotaną magmę. Powoli tracę rozum.

PRZEDTEM

– Proszę, powiedz, że jesteś niedaleko. – Wstrzymałam oddech i przymknęłam oczy, a przez moją miednicę przetoczyła się fala bólu miazdzącego kości. – To chyba już.

– Skarbie, już wychodzę z pracy.

W szpitalu wypełniliśmy papiery; ja przebrałam się w cienką niebieską tunikę.

– Odeślą was do domu. – Usłyszałam, jak recepcjonistka mówi do Marca, gdy zanosił jej dokumenty. – Widzę to po niej. Jeszcze nie czas. Niech pan mi wierzy. Gdy dzieciak pcha się na świat, kobieta ma to wypisane na twarzy.

Lekarka powiedziała to samo, wkładając rękawiczki.

– Zmierzę rozwarcie szyjki i pobiorę wymaz, ale zdaje się, że wrócą państwo na noc do domu. Proszę wziąć kąpiel, odprężyć się i poczekać do jutra. Czasem skurcze Braxtona Hicksa, tak zwane skurcze przepowiadające, przypominają te porodowe, ale potem nagle mijają.

– A ja myślałam, że to już... – Zaśmiałam się lekko. – Może to przez pełnię księżyca.

– Sama pani widzi – skwitowała ciepło lekarka. – Gdyby naprawdę pani rodziła, nie dałaby pani rady się śmiać. Proszę mi wierzyć.

Wyszła, a ja spróbowałam się odprężyć. Tymczasem przez moje ciało przetoczyła się fala ostrego bólu.

Ginekolog wrócił po kilku minutach, towarzyszył jej młody lekarz rezydent.

– No więc... Oooo... tę minę rozpoznaję.

– Po waszym wyjściu dostała naprawdę silnych skurczy – powiedział Marco.

– Chciałam powiedzieć, że badanie wykazało obecność wód płodowych. Pęcherz płodowy nie pękł całkowicie, ale przecieka, więc i tak musimy panią przyjąć. Mieli państwo rację. Dziecko niedługo przyjdzie na świat.

W ciągu godziny skurcze tak bardzo przybrały na sile, że zadzwoniłam po pielęgniarkę.

– Potrzebuję znieczulenie – jęknęłam przez zaciśnięte zęby.

– Kochanieńka, lekarz wolałby, żebyś zaczekała, aż rozwarcie osiągnie przynajmniej sześć centymetrów. Minęła dopiero godzina, więc jeszcze trochę możesz wytrzymać – odparła spokojnie z melodyjnym jamajskim akcentem. – Ale jeszcze cię zbadam, dobrze? – dodała, gdy wydałam z siebie przeciągły gardłowy charkot. – Och – powiedziała powoli, pochylając się między moimi nogami. – A jednak jesteś gotowa. Mamy prawie siedem centymetrów! – Zaśmiała się głośno.

– Dzięki Bogu – jęknęłam, gdy skurcz owinał się wokół moich wnętrzności jak łańcuch rowerowy i mocno się zacisnął.

Znieczulenie zadziało natychmiast.

– Kochanie, to jest niesamowite. Czuję, jakbym unosiła się w powietrzu. – Uśmiechnęłam się do Marca.

– Cudownie. Idę się przewietrzyć, skarbie, i może wrzucę coś na ząb. Potrzeba ci czegoś?

– Nie, dzięki – odparłam, zamykając oczy. – Nic mi nie trzeba.

Gdy się obudziłam, na sali była lekarka.

– Dzień dobry! No więc... znieczulenie spowolniło trochę sprawy, ale teraz powinna się pani szykować. Zbadam panią.

– Marco? – Półprzutomna, rozglądałam się za moim mężem. – Czy są tu moi rodzice?

– Są, skarbie. W poczekalni. – Ujął mnie za rękę. – Jak się czujesz?

– Dobrze. To znieczulenie działa cuda.

– Już to mówiłaś, skarbie. – Marco się zaśmiał.

– Dobra – powiedziała lekarka, gestem dając znak rezydentowi, który stał obok niej. – Do dzieła.

– Gotowy? – spytałam i ścisnęłam Marca za rękę.

– Nie. A ty?

– Tak. Chyba tak. – Ścisnęłam rękę mocniej.

– No dobra, mamusiu.

Lekarka usiadła na taborecie w nogach łóżka.

– Gdy poczuje pani, że nadchodzi skurcz, proszę mu się poddać i przeć w jego rytmie, dobrze? Będzie pani czuć jakby ruchy perystaltyczne. Wtedy proszę zacząć przeć. A tatę proszę, żeby trzymał w tym miejscu nogę mamy, i gdy powiem: „Teraz”, z całej siły przyciskaj nogę do jej klatki piersiowej. Jasne? – Zerknęła na monitor. – Gotowi? Widzę, nadchodzi skurcz.

– Zaraz, zaraz! – zawołałam w czasie pierwszego parcia. – Muszę skorzystać z toalety.

– Nie, to dziecko, kochanie. Świetnie sobie radzisz. Przyj dalej!

– Marco, czy właśnie się sfajdałam? – spytałam.

– Nie wydaje mi się, skarbie. Świetnie ci idzie – pocieszył mnie.

– Dziecko pcha się na świat. Chcę, żebyś teraz bardzo silnie parła, dobrze?

– Czekajcie, nie dam rady – powiedziałam, szukając wzroku Marca. – Nie dam rady – powtórzyłam i poczułam, jak gigantyczny taran rozrywa mi miednicę.

Na monitorze obok pojawił się sygnał, po chwili usłyszałam buczenie.

– Dziecko musi wyjść przy następnym skurczu – zwróciła się lekarka do rezydenta.

– Nie mogę oddychać. Nie mogę oddychać.

Przyssałam się do maski tlenowej, którą założono mi na twarz. Marco odchylił ją lekko i popatrzył mi w oczy.

– Spójrz na mnie. Jeszcze jeden raz. Dasz radę. Dasz radę, kochanie. Jesteś dzielna. Jeszcze jeden raz i mała będzie z nami.

Kwadrans po tym, jak zaczęłam przeć, położono mi na piersi długiego chudziutkiego i pomarszczonego bobasa.

– Ma moje brwi, skarbie.

– Ma twoje wszystko, kochanie. – Marco roześmiał się i odgarnął mi włosy z czoła.

– Chwała Bogu.

POTEM

Nazajutrz rano, gdy Marco jeszcze śpi, wkładam Louisie wełniane butki i sadzam ją sobie na biodrze. W oślepiającym zimowym słońcu pokonujemy trzy przecznice dzielące nas od mieszkania moich rodziców. Wchodząc po schodach, nie wiem jeszcze, czy powiem im o ostatniej nocy.

– Tata miał dobry pomysł – rzuca mama z niepokojem, gdy przekraczam próg. – Uważa, że powinnaś zadzwonić do hotelu w Portland i sprawdzić, czy Marco wykonywał jakieś połączenia z hotelowego telefonu.

Od kiedy odkryłam te wszystkie rozmowy, nie było nawet jednego połączenia z Chorwatką, nie przesłano żadnej wiadomości. Cieszę się, że ta ich platoniczna relacja się zakończyła. Jednak gdzieś w zakamarkach umysłu zastanawiam się, jak się teraz kontaktują, to znaczy że wciąż domagam się prawdy. Gdybym tylko miała pewność, wiedziałabym, jak postąpić.

– Okej – odpowiadam.

Jakoś przechodzi mi ochota na jajka sadzone skwierczące na patelni. Jak lunatyczka kieruję się do drugiej sypialni i zamykam za sobą drzwi.

– Dzień dobry. Kilka dni temu zatrzymaliśmy się z mężem w państwa hotelu. Zapomnieliśmy zabrać rachunek, a potrzebujemy go do rozliczeń podatkowych – mówię żywo do recepcjonistki. – Z listą wszystkich wydatków.

Podaję dane męża i swój adres mejlowy. Kobieta odpowiada, że nie ma problemu i że John z księgowości za chwilę prześle mi wszystko, o co proszę. Drżącymi dłońmi co chwila odświeżam stronę poczty. Gdy wyświetla się mejl, ręce dygoczą mi tak bardzo, że z trudem udaje mi się utrzymać telefon. Łapczywie otwieram załącznik. Obraz rozmywa mi się przed oczami, w żyłach huczy adrenalina. Jedno połączenie. Piętnastominutowe. Pierwszej nocy. Patrzę na cyfry, które znam na pamięć, a one wlepiają się we mnie.

– I jak? – pyta tata, gdy wracam do salonu.

Rodzice spoglądają na mnie wyczekująco.

– Mają mi przesłać wykaz połączeń – odpowiadam.

Nie mam odwagi powiedzieć im wszystkiego. Nie jestem na to gotowa. Byłoby to równoznaczne z przyznaniem, że oto moje małżeństwo oficjalnie się skończyło.

– Chciałabym spakować małą torbę, póki Marco śpi – mówię zamiast tego. – Chyba zostanę dzisiaj u was na noc.

Wiem, że moi rodzice nie będą mieli nic przeciwko temu.

– Świetny pomysł – mówi tata, a mama potwierdza skinieniem głowy.

Pośpiesznie zasznurowuję buty. Zbiegam na dół, przeskakując po trzy stopnie naraz, potem skręcam w lewo, w kierunku mojego domu. Pokonuję odległość trzech przecznic najszybciej, jak potrafię, po lodzie i śniegu. Żołądek mam zawiązany na supeł. W środku czuję narastającą falę gniewu i jeszcze drugą – smutku. Zderzają się ze sobą i załamują, biała piana zlewa się w jedną bulgoczącą masę. Gdy docieram do naszej kamienicy, zwalniam. Powoli wspinam się po schodach. To ostatnie chwile mojego małżeństwa, potem już oficjalnie zostanę samotną matką z maleńkim dzieckiem. I żadne słowa Marca tego nie usprawiedliwią. Żadne tłumaczenia. Nagle mnie oświeca. To bez znaczenia, czy doszło do fizycznej zdrady, czy nie. Moje małżeństwo skończyło się dwudziestego stycznia, gdy Marco zaśmiał się do słuchawki swoim słodkim niepewnym śmiechem.

Powoli obracam klucz w zamku i pchnięciem otwieram drzwi. Salon jest zawałony

ubrankami dziecięcymi i kocykami. Biorę głęboki oddech i maszeruję korytarzem do sypialni. Przez kilka sekund przyglądam się śpiącemu Marcowi. Nawet we śnie wydaje się inny. Obcy człowiek. Gęste, ciemne, niesforne włosy, w które tak często zagłębiałam palce, by podrapać mojego męża po głowie, teraz są gładko zaczesane do tyłu. Wyglądają na ciemniejsze. A może umysł płata mi figle?

– Marco – mówię. Oczy drgają mi pod powiekami. – Marco, obudź się – powtarzam głośniej.

Wydaje z siebie jęk i odwraca się na drugi bok.

– Co? – mamrocze do ściany.

– Dzwoniłeś do niej z hotelu. Dzwoniłeś do niej z Maine.

Mój głos jest wyprany z emocji, stanowczy i silny.

– Co? – znowu jęczy. – Jen...

– Tak, Marco? – pytam ponownie, oczekując wyjaśnień.

Odwraca się w moją stronę. Oczy ma otwarte. Siada na łóżku i przeciera powieki.

– Dzwoniłeś do niej z Maine.

– Tylko pierwszej nocy – mówi. – Tłumaczyłem ci. Przywykłem do tych naszych rozmów. – Głos ma zmęczony. Nawet nie próbuje się klócić.

– Dzwoniłeś do niej z Maine – powtarzam i osuwam się na podłogę.

Przyciągam do siebie kolana i mówię, że chcę rozwodu. Powoli podnoszę się i zaczynam pakować torbę. Gdy jak automat wrzucam do niej bieliznę i swetry, Marco odzywa się, nie wstając nawet z łóżka:

– Chcę, żebyś wiedziała jedną rzecz... tak dla własnego spokoju... Nigdy, przenigdy jej nie tknąłem. Wiem, że mi nie wierzysz. Chcę, żebyś o tym wiedziała, choć zdaję sobie sprawę, że z naszym małżeństwem koniec. Nie tknąłem jej. Za bardzo cię szanuję, Jen.

Z oczu płyną mi łzy. Nie wiem, czy płaczę dlatego, że mu wierzę, czy wręcz przeciwnie.

– Zanim odejdę, muszę jeszcze coś zrobić – mówię.

Podchodzę do niego, do obcego człowieka leżącego na naszym łóżku, i ostatni raz przyciskam nos do jego nosa. Tym razem nie mówi: „Twój nos jest doskonały”. W ogóle nic nie mówi.

Wycofuję się na korytarz, schodzę po schodach i wychodzę z klatki na ulicę.

Wieczorem siadam z mamą na kanapie w salonie rodziców i, karmiąc Louise, opowiadam o telefonie z Maine. Mówię, że to koniec mojego małżeństwa. Mama kręci głową z niedowierzaniem i odwraca się do okna. Przez chwilę wydaje mi się, że wścieknie się na Marca i wygłosi przeciw niemu tyradę, ale gdy znowu na mnie spogląda, widzę jej opuchniętą twarz, a w oczach łzy.

– To nie trzyma się kupy – mówi między jednym szlochem a drugim.

Ogarnia mnie niewyobrażalny gniew – jedna dziesiąta tego, co przez ostatnie tygodnie czuł mój tata, gdy wypływało ze mnie więcej łez, niż zdoła pomieścić ludzkie ciało. Dlaczego milczy i tylko zgrzyta zębami?

Kładę się z Louisą do łóżka. Córeczka zasypia na mojej piersi, a ja pozwalam jej tam zostać przez całą noc, nie przenoszę do bujaka. Budzę się, gdy zaczyna się wiercić, i sięgam po telefon. Jest piąta rano. Mam dziesiątki wiadomości od Marca. Układam małą wygodnie na piersi i zaczynam je przeglądać. Ostatnia wiadomość przyszła kilka minut temu: „Czy to naprawdę koniec? Zawsze miałem tylko dobre intencje. Nie ma sensu dalej żyć. Wszystkim by ulżyło, gdybym odszedł”. Odpisuję: „Marco? Nie śpisz jeszcze? Gdzie jesteś?”. Serce wali mi jak szalone, wszystko wyparowuje mi z głowy. Proszę, bądź cały i zdrow. W końcu przychodzi odpowiedź: „Jeszcze w pracy. Nie chcę wracać do domu”. „Wróć do domu i się prześpij” – piszę,

nie mogąc się powstrzymać przed udzielaniem mu tych żoninych rad. Czekam na odpowiedź. Mijają dwie minuty. Pięć minut. W końcu widzę migające kropki i już wiem, że nie jest sam... Czeka na właściwy moment, by do mnie napisać. Gdy ona nie będzie patrzeć. Cały mój strach i troska zamieniają się w gniew. Louisa zasnęła podczas karmienia, więc delikatnie przekładam ją do bujaka. Dzwonię do restauracji. Jeden dzwonek, dwa, trzy dzwonki, w końcu w słuchawce słyszę bełkoczący głos Marca.

– Czy ona jest z tobą?

Nie pozwolę się więcej robić w bambuko.

– Nie, Chryste Panie.

– Powiedz to. Powiedz, że jej tam nie ma.

Długo milczy, w końcu odzywa się przytłumionym niewyraźnym głosem:

– Nie ma jej tutaj.

– Kocham cię, Marco.

Niech cię diabli, Marco.

– Mhm – duka.

– Kocham cię – powtarzam nieco ostrzejszym tonem.

Wcześniej nie zdarzało nam się zakończyć rozmowy bez wypowiedzenia tych dwóch słów. Dość tego. Zmuszę go do pokazania kart. Kolejna długa przerwa i w końcu pada:

– Ja też cię kocham.

Rozłączam się. Kipię ze złości. Przez głowę przebiegają mi mordercze myśli. Wchodzę na Facebook i Instagram Chorwatki i sprawdzam, czy w gronie jej znajomych jest jeszcze Marco. Robię zdjęcia ostatnich dwunastu wiadomości, które dostałam od Marca, i przesyłam jej. Kieruje mną teraz tylko i wyłącznie wściekłość. Chcę odebrać mu wszystko. Wyłączam telefon i kładę głowę na poduszce. Gdy budzą mnie popiskiwanie Louisy i słońce wlewające się przez zasłony, wydaje mi się, jakbym spała tylko pięć minut.

Przez następne kilka godzin mam straszliwe mdłości. A co, jeśli się mylę? Może jej tam nie było. Może są tylko bliskimi przyjaciółmi. Jest południe, bawię się z Louisą na łóżku. Moi rodzice wyszli po kawę do modnej kawiarni za rogiem. Słyszę sygnał i zerkam na telefon leżący na skraju łóżka. Na górze wiadomości widzę imię „Viktorija”, serce zaczyna mi walić. Biorę telefon, przeciągam palcem po ekranie i czytam: „Ale z niego dupek lol. Skończyłam z nim”. Serce mi przyśpiesza. Czytam następną wiadomość: „Mam swoje granice, a wczoraj wieczorem on je przekroczył. To żałosna karykatura mężczyzny. Chciał zlizać samą piankę, ale zadał się nie z tymi blondynkami, co trzeba lol”. „Mogłabyś mi napisać, czy łączyło was coś fizycznego?” – piszę. „Wiesz już wszystko. Cieszę się, że niedługo nie będę musiała tego gnoja więcej oglądać. Wygląda na to, że historia lubi się powtarzać”.

Historia lubi się powtarzać? Wpatruję się w to ostatnie zdanie i dopiero po dłuższej chwili w pełni pojmuję jego sens. Tania. Fragment historii o naszych początkach z Markiem, o którym nikomu nie opowiadam. Nawet sobie. O tej nocy, gdy stanął w moich drzwiach z torbą sportową i podkrążonymi oczami.

„Tania przeczytała nasze esemesy i wpadła w furję. Uderzyła mnie i wyrzuciła mój telefon. Mogłbym się u ciebie przekłamać przez kilka dni, aż znajdę sobie coś własnego?”

Wyjaśnił, że mimo rozstania nadal razem mieszkali. Zrywał z nią kilkanaście razy, ale Tania po prostu nie chciała go puścić. Odganiem to wspomnienie i patrzę na ekran telefonu, gdzie wyświetlają się dwie nowe wiadomości: „Nat była mądrzejsza. Zostawiła go”.

Skąd ona o tym wie? I wtedy sobie uświadamiam. Wciskał jej te same historyjki co mnie pięć lat wcześniej.

Piszemy do siebie jeszcze przez kilka minut. Mówię jej, że trudno mi uwierzyć, że ich

związek był platoniczny. „Powinnaś zapytać o to swojego męża, nie mnie. Ale odpowiem ci: nie łączył nas seks. Idę teraz coś zjeść ze znajomymi. Powodzenia”. Wpatruję się w tę enigmatyczną wiadomość. Ty cholerna gówniario! Mam ochotę krzyknąć. To nie jest zabawa!

Zamiast tego wyłączam telefon, biorę Louisę na ręce i do powrotu rodziców noszę ją po mieszkaniu, kreśląc na dywanie okręgi.

– Powinnyśmy wyjechać – odparowuję, gdy stają w drzwiach.

Opowiadam im o wiadomościach od Chorwatki.

– Kłamie – kwituje tata. – To paskudna osoba. Wyzbyta moralności. – Mówi coraz głośniejsze. – Wiedziała, że ma żonę i maleńkie dziecko. Oboje są paskudnymi ludźmi i oboje cię okłamują, Jen.

– Nie wiem... – Skubię rękaw koszuli. – Po prostu chcę wyjechać.

Tata dzwoni do firmy przeprowadzkowej i rezerwuje na następny dzień bagażówkę. Czekamy, aż Marco wyjdzie do pracy, i we czworo idziemy do mojego mieszkania. Tata odłącza się i jedzie do Home Depot kupić kilka pudeł. Oddaję Louisę mamie i skręcam do apteki po mleko w proszku – zaczęłam mieć wątpliwości, czy w ogóle mam jeszcze jakiś pokarm. Stojąc w kolejce do kasy, słyszę w uszach brzęczenie. Nagle nogi robią mi się jak z ołowiu. Czuję, jakby moje ciało otulała gęsta mgła. Robi mi się przyjemnie. „Obudź się” – przywołuję sama siebie do porządku. Wbijam sobie paznokcie w ramię. Ledwo co czuję. Jestem pewna. Jestem absolutnie pewna, że to tylko sen! Nagle ogarnia mnie rozkoszne wrażenie, że lada chwila się obudzę. „Proszę, proszę, obudź się, kobieto” – krzyczę do siebie w myślach. Podchodzę do kasy.

– Dziesięć dolarów pięćdziesiąt sześć centów – rzuca młoda tleniona blondynka, wbijając we mnie wzrok.

Mam banknot pięciodolarowy i plik jedynek. Wpatruję się w jednodolarówki. Nigdy, przenigdy nie doliczę do sześciu. Nie wiem, co zrobić, więc z uśmiechem daję jej wszystkie pieniądze. Spogląda na mnie z zaciekawieniem i zaczyna metodycznie liczyć. Po chwili oddaje mi dwie jedyne i garść drobnych.

– Ups. – Śmieję się, jakbyśmy obie brały udział w jakimś żarcie, ale śmiech brzmi nienaturalnie.

Kobieta spogląda na mnie, a potem rzuca:

– Następny, proszę.

Mam wrażenie, że moje ciało jest z cementu. Idę ulicą bardzo powoli, ostrożnie stawiając stopę za stopą i ze zdziwieniem wpatrując się w sznurówki moich butów. „Nic z tego nie jest rzeczywiste” – mówię w duchu i wydaję z siebie ten sam nienaturalny zduszony śmiech.

Zaczynamy z mamą pakować moje rzeczy. Po jakimś czasie, sama nie wiem jak długim, mama kładzie mi dłoń na ramieniu. Gapię się na część szafy, która należy do Marca, i naprawdę nie wiem, ile czasu tak przesiedziałam.

– Jenny – mówi cicho mama. – Weź swój paszport i akt urodzenia Louisy. I wszystkie ważne dokumenty, dobrze? Skup się tylko na tym. My z tatą zajmiemy się resztą.

– Dobrze – odpowiadam.

Patrzę na rodziców załzawionymi oczami. Dlaczego poruszają się w zwolnionym tempie? Rozglądam się po mieszkaniu. Mieszkaniu, w którym przeżyłam z Markiem trzy lata. Słyszę, jak tata pyta mamę:

– A te? – Wskazuje na cztery świąteczne figurki stojące na stoliku w przedpokoju. Jedna dla mnie, jedna dla Marca, jedna dla Seba i jedna dla Louisy.

Och, to ozdoby świąteczne z naszych pierwszych świąt. Prezent od mamy Marca. „Powiesimy je na choince za rok”. Mam na końcu języka, ale się powstrzymuję.

– Zostaw je. – Słyszę szept mamy. – Nie potrzebuje ich. W domu mamy mnóstwo ozdób.

Powoli drepczę z przedpokoju do salonu.

– Bardzo was przepraszam – mówię nieprzytomnym głosem. – Muszę iść.

Idę, żeby wyjąć Louise z kołyski. Mama zastępuje mi drogę i odzywa się łagodnie:

– My przywieziemy Louise. Mamy mleko w proszku. – Kładzie mi ręce na ramionach.

– Dasz radę wrócić sama do naszego mieszkania?

– Tak, oczywiście – mówię i otwieram drzwi.

– Jen... nie powinnaś włożyć płaszcza i butów? – pyta mama jakby nigdy nic.

– A tak, oczywiście – powtarzam mechanicznie.

Buczy mi w uszach, gdy zasnuwuję buty i zapinam puchowy płaszcz. W drodze do mieszkania rodziców wciąż bawię się suwakiem. Nigdy wcześniej mu się nie przyglądałam tak uważnie, a jest naprawdę fascynujący. Tak łatwo ślizga się z góry na dół i z dołu na górę. Ząbki idealnie na siebie zachodzą. Nagle spostrzegam, że stoję przed wejściem do kamienicy rodziców.

Przekopuję kieszenie w poszukiwaniu klucza. Wpatruję się to w breloczek z kluczami, to w zamek. Rany, mogłabym przysiąc, że otwierałam te drzwi tysiące razy, ale patrząc teraz na klucze i na zamek, dochodzę do wniosku, że to nie może się udać. Żaden z moich kluczy nie pasuje do tego zamka. Nagle nie potrafię odróżnić od siebie tych czterech wiszących na breloczku kluczy. Są metalowe, mają ząbki i... wyglądają identycznie. Postanawiam wypróbować każdy z nich. Już mam się poddać, gdy nagle drzwi ustępują.

– Taaaak – mówię głośno, a to przeciągnięte „aaaa” wydaje mi się miłym dla ucha dźwiękiem. – Aaaaaaaaa – powtarzam.

Jestem taka zmęczona... Byłoby cudownie móc zasnąć. Uśmiecham się sama do siebie i podchodzę do łóżka. Padam głową na poduszkę. I już śpię.

Nazajutrz rano moi rodzice budzą się z poczuciem misji. Są ubrani; wychodzą z mieszkania, by załadować bagażówkę, a ja tymczasem gapię się w biały sufit. Słyszę, jak mama woła:

– Wyślę ci esemesa, gdy wszystko zapakujemy!

Mam zabrać Louise, żeby pożegnać się z Markiem. Tata pojedzie bagażówką, a mama i ja z Louise pojedziemy za nim subaru.

Patrzę na sufit jeszcze przez kilka minut, potem rozprostowuję ręce i nogi i składam ciało w pozycję siedzącą.

– Hej, Lulu. – Córeczka patrzy na mnie ze swojego bujaka. – Dzisiaj zaczniemy nowe życie – mówię do niej z radosnym uśmiechem, ale zaraz odwracam twarz i wybucham płaczem.

Szybko obmywam twarz i ubieram się, przewijam Louise i wkładam jej nowe śpiochy.

Przychodzi wiadomość od mamy: „Gotowe”. Znoszę małą w foteliku, wpinam w czekający na dole stelaż wózka i ruszamy w stronę wyjścia. Szklane drzwi oprawione w metal są ciężkie, otwieram je nieporadnie i z trudem przepycham wózek, zahaczając jednak o wystającą framugę. Jakaś kobieta, która właśnie przechodzi ulicą, podbiega i otwiera drzwi na oścież.

– Bardzo pani dziękuję – mówię i przejeżdżam przez krawężnik.

– Och, Boże, jaka piękna dziewczynka. Jakie polisie! Jakie oczęta! – zachwyca się. – Ma pani szczęście! – woła za mną.

Gdy zbliżam się do mojego domu, rodzice akurat pakują do bagażówki fotel.

– To chyba wszystko – zwraca się tata do mamy.

– Marco wam nie pomógł? – pytam, podchodząc.

– Nie. Śpi – rzuca tata szorstko. – Pójdę po niego, jeśli naprawdę chcesz się z nim pożegnać.

– Tak, tato. Muszę.

Ojciec wraca biegiem do budynku, a ja pcham wózek kilka metrów dalej. Chcę to zrobić

na osobności. Po kilku minutach w drzwiach pojawia się Marco. Ma na sobie biały podkoszulek i szare spodnie dresowe. Spogląda w naszą stronę i nagle znika w środku.

– Poszedł sobie. Ten kretyn tak po prostu sobie poszedł. – Słyszę, jak tata zwraca się do mamy.

Gdy Marco pojawia się znowu, ma na sobie sweter. Schodzi po stopniach i idzie w naszą stronę z rękami w kieszeniach. Stoję nieruchomo. Podchodzi ze wzrokiem wbitym w ziemię. W końcu zagląda do wózka. Poklepuje Louisę po głowie. Mnie nie zaszczyca nawet spojrzeniem. Odwraca się, chce odejść...

– Marco? – wołam.

Nienawidzę go. Nienawidzę i czuję, że zaraz pęknie mi serce. Sięgam do kieszeni płaszcza i wyjmuję z niej pierścionek zaręczynowy i obrączkę.

– Nie chcę ich – mówię.

– Ja też nie – odpowiada.

– Weź je sobie! Weź! – wrzeszczę, chwytam go za rękę i wciskam mu w dłoń pierścionki.

Marco otwiera dłoń, oba spadają z brzękiem na chodnik. I leżą tam tak, na tym brudnym chodniku. Każda komórka mojego ciała buntuje się przeciwko okazaniu tej słabości, schyleniu się, ale już jestem na kolanach, na chodniku, dyszę ciężko i zbieram z ziemi pierścionki.

Pcham wózek z Louisą z powrotem przed dom, gdzie czeka mama. A Marco tylko patrzy z podestu schodów.

– Chodźmy – rzucam w kierunku mamy.

– Jenny, wszystko w porządku? – Patrzy na mnie z przestraszeniem w oczach.

– Mamo, rzucił na ziemię obrączkę – szepczę, kompletnie sparaliżowana. – Proszę, jedźmy już.

Ale mama już biegnie na podest.

– Co z tobą, człowieku!? – krzyczy do Marca.

Wbiega po schodach i staje z nim twarzą w twarz. Nigdy nie słyszałam u niej takiego głosu – to głos dzikiego zwierzęcia.

Marco nawet nie drgnie.

– Nie potrzebuję obrączki – stwierdza obojętnym tonem.

– Co się z tobą stało?

– Nie wiem, Maggie. Nie wiem.

Zaplata dłonie na piersi jakby nigdy nic.

– Sukinsyn – syczy moja matka.

– Mamo, chodźmy. Nie jest tego wart. – Mój głos przypomina rżenie zarzylanego konia.

– Nienawidzę cię! – krzyczę do Marca.

Mama wraca do mnie szybkim krokiem i otacza mnie ramieniem. Opieram się trochę o nią, a trochę o wózek, by jakoś dojść do samochodu. Przypinamy Louisę na tylnym siedzeniu; wtedy tata podjeżdża do nas ciężarówką.

– Gotowe? – pyta, wystawiwszy głowę przez okno.

– Tak – odpowiadam drżącym głosem.

Wsiadam, a mama zapala silnik. Rozlega się sygnał przychodzącej wiadomości, gdy biorę do ręki telefon, widzę, że mama i tata też sięgają po swoje komórki.

„Wiecie, jak to jest żegnać się z żoną i córką i nic nie czuć? – czytamy. – Takie życie jest bez sensu. Kończę tę farsę. Proszę, powiedzcie Louisie, że jej tata był bardzo chory. W mieszkaniu zostawiłem dwa listy. Jeden dla Seba, drugi dla Louisy. Proszę, dopilnujcie, żeby je dostali. Chcę, żebyś wiedziała, Jen, że bardzo cię kocham i żałuję, że nie jestem silniejszy. Żegnaj”.

Wyskakuję z samochodu, ale jakimś cudem mama jest ode mnie szybsza i zastępuje mi drogę. Łapie mnie w ramiona i przytrzymuje.

– Nie, Jenny. Nie pozwolę ci tam wrócić.

– Muszę go powstrzymać. Pomóc mu.

– To zadzwoń pod telefon alarmowy. Nie możesz tam teraz wrócić. Marco nie jest teraz sobą. Jest niestabilny emocjonalnie – mama mówi spokojnie i stanowczo. – Louisa cię potrzebuje.

Mała płacze w wózku.

– Tak. Masz rację – mówię, wybierając 911.

Informuję operatorkę, że mój mąż grozi samobójstwem. Podaję adres. Kobieta odpowiada znużonym głosem, że karetka już wyjeżdża. „Proszę, proszę, niech dojedzie na czas” – modłę się w myślach. Potem wybieram numer Marca. Odliczam sygnały. Wyobrażam sobie, że jest w mieszkaniu. W ręku trzyma nóż i podcina sobie żyły na nadgarstkach. Krew tryska do zlewu. Marco mnie potrzebuje, a mnie przy nim nie ma. Zaciskam powieki, cała sparaliżowana. Zawiodłam go, zawiodłam Louise, nie będąc w stanie uratować jej ojca. Odczekuję pięć minut i znowu wybieram numer. Tym razem odzywa się nieznany głęboki głos:

– Halo? – mówię zbita z tropu.

– Halo? Tu ratownik medyczny. Kto mówi?

– Boże, Boże... czy z nim wszystko w porządku? – Tylko tyle potrafię z siebie wydusić.

Dopiero po chwili dodaję: – To ja dzwoniłam po pogotowie. Jestem jego żoną.

– No cóż... – odpowiada pielęgniarz surowym tonem. – Pani mąż próbował popełnić samobójstwo. Znaleźliśmy go z głową w piekarniku.

Boże... Boże...

– Ale nic mu nie jest, prawda? Prawda?

Głos mam tak piskliwy, że mężczyzna z trudem rozszyfrowuje, o co mi chodzi.

– Nic mu nie jest. Zabieramy go na oddział psychiatryczny Elmhurst Hospital. Proszę do nich zadzwonić za kilka godzin, żeby się dowiedzieć, czy został przyjęty, czy nie.

– Nic mu się nie stało! – wołam do mamy, choć jest tuż obok mnie. – Dziękuję panu – mówię do ratownika. – Bardzo dziękuję.

Rozłączam się.

– Jenny! Jenny! Oddychaj, Jenny! Musisz oddychać! – krzyczy moja mama. Sięga do schowka, wyjmuje torebkę i podaje mi ją. – Oddychaj – powtarza.

Gdy wyjeżdża na ulicę, jedną ręką głaszcząc mnie po plecach, a drugą trzymając na kierownicy, nachylam się i chowam głowę między kolanami, zasysając powietrze z torebki.

Nic mu się nie stało. Jest cały i zdrow.

– Ogrzewanie działa tam dużo lepiej. Zawsze tak było – mówi mama po kilku godzinach podróży.

– Ogrzewanie? – pytam.

– Tak, w pokoju Stelli. Tam będziecie spały z Louisą.

– Okej.

Wpatruję się przed siebie w niekończącą się autostradę. Oczy zachodzą mi łzami, a usta wyginają w podkówkę, ale w głowie przerabiam najtrudniejsze równanie. Jeśli uda mi się wszystko zsumować, dopasować wszystkie elementy układanki, począwszy od dwudziestego stycznia aż do dzisiejszego ranka, to wszystko nabierze sensu.

„Skup się. Pomyśl. Musisz o tym myśleć bardzo rozsądnie, Jenny, jeśli chcesz coś z tego zrozumieć”.

– Jen?

Przerywa mi jakiś głos. Nie. Nie. Nie. Byłam tak bliska rozwikłania tego wszystkiego. Skup się, nie rozpraszaaj się.

– Jenny?

Znowu ten głos. Szlag. Tak blisko. O krok. Dwudziesty stycznia. Chorwatka. Odział psychiatryczny. Prawie to pojęłam.

– Jen! – wrzeszczy moja mama; zawile równanie rozpada się w mojej głowie na tysiąc kawałków.

– Mhm?

– Pytałam, czy chcesz się zatrzymać na postój. Musisz być ze mną w kontakcie, dobrze?

Mama nakrywa moją rękę dłonią.

– Aha – mamrocze w odpowiedzi.

Problem w tym, że mój mąż włożył głowę do piekarnika. W tym cały szkopał. A rozwiązaniem jest... o nie...

– Prawie to zrozumiałam – mówię cicho.

– Co zrozumiałaś? – pyta mama.

– Wszystko.

Wszystko, wszystko, wszystko.

PRZEDTEM

– Straciła pani więcej krwi, niż przewidywaliśmy, więc trzeba będzie monitorować ciśnienie. – Lekarka zdjęła z dłoni gumowe rękawiczki. – Nic poważnego, ale nieco wykracza poza normalne wartości. Dałam pani zastrzyk na krzepliwość.

– W pośladek? – spytałam, siląc się na uśmiech.

Zwróciłam głowę w stronę Louisy. Pielęgniarka mierzyła ją na stole na drugim końcu sali.

– A jakże! – Lekarka się uśmiechnęła.

– Ledwo go poczułam – odparłam.

Chciałam o coś jeszcze zapytać, ale czułam się zbyt słaba, zamknęłam więc oczy. Podeszła pielęgniarka.

– Nacisnę na pani brzuch, dobrze? – powiedziała. – Chcemy, by wydostały się skrzepy i cała krew.

Przytaknęłam; kobieta położyła mi na podbrzuszu dwie duże dłonie, a potem mocno nacisnęła.

– Aaaaa – jęknęłam i poczułam, jak wypływa ze mnie strumień krwi.

– Świetnie, aniołku. Dużo poszło. Zmierzę pani ciśnienie, dobrze?

Znowu przytaknęłam.

– Marco – wyszeptałam i wyciągnęłam przed siebie rękę.

Marco schował telefon do kieszeni i ujął moją dłoń.

– Nic ci nie jest, skarbie. Wszystko dobrze.

– Hmm – mruknęła pielęgniarka, poluzniając opaskę na moim ramieniu. – Trochę niskie, ale nie jest źle. Za godzinę znowu sprawdzę. Myślę, że można już panią przenieść na salę poporodową. – Ej, panie tatuś... – Pielęgniarka spojrzała na Marca. – Macie zarezerwowaną prywatną salę poporodową?

Marco znowu odłożył telefon i pustym wzrokiem spojrzał na pielęgniarkę.

– Jesteśmy na liście oczekujących – odpowiedziałam z fotela. – Gdy nas przyjmowano, pani w rejestracji powiedziała, że wszystkie prywatne sale są zajęte, i żeby dowiadywać się przed wieczorem.

– Pójdę zapytać – rzucił Marco pośpiesznie i wyszedł.

– A co, jeśli nic się nie zwolniło? – spytałam pielęgniarkę.

– Wtedy będziesz musiała leżeć w pokoju z koleżanką, a mężuś wróci do domu – powiedziała ze śmiechem.

Czułam, jak z twarzy odpływa mi reszta krwi. Gdy Marco wrócił, spojrzałyśmy na niego wyczekująco.

– W rejestracji powiedziano, że wciąż nie ma prywatnej sali, ale jutro wieczorem może się zwolni. – Podniósł wzrok znad telefonu. – I tak mam sajgon w pracy, więc gdy zainstalujesz się razem z małą, pójdę prosto do roboty.

Próbowałam spojrzeć Marcowi w oczy, by pokazać mu, że go potrzebuję.

– Nie chcę zostawać dzisiaj sama – wyszeptałam.

– Wiem, skarbie. – Ujął mnie za rękę. – To tylko jedna noc, a jutro będę już z wami.

Pielęgniarka podstawiła fotel na kółkach, razem z Markiem pomogli mi na nim usiąść. Inna podała mi w ramiona śpiącą Louise, opatuloną w kocyk, przypominała małe burrito. Marco wyprowadził mnie na korytarz.

– Kochanie, mógłbyś zawołać moich rodziców z poczekalni? – zapytałam.

Czekając na Marca i rodziców, wpatrywałam się w miniaturową czerwoną twarzyczkę.
– Cześć – powiedziałam niepewnie.
– Są tutaj! Tutaj! – Usłyszałam podekscytowany głos mamy na korytarzu.
Uśmiechnęłam się, gdy rodzice podeszli, i poczułam, jak po policzkach spływają mi łzy.
– Poznajcie Louise Evelyn Medinę – powiedziałam z dumą.
– Louisa – powtórzyła moja mama i spojrzała na maleństwo śpiące w moich ramionach.
– Tak, to zdecydowanie Louisa – stwierdziła, wyjmując z kieszeni dwie chusteczki.
– Jak się czujesz, Jenny? – spytał tata. – Jesteś bardzo blada.
– Nic mi nie jest. – Uśmiechnęłam się z trudem. – Jestem tylko trochę osłabiona.
– Spojrzałam na korytarz. – A gdzie Marco?
– Wezwali go do pracy – odparła mama.
– Mówił, że to jakaś pilna sprawa. Wyglądał na zdenerwowanego – dodał tata.
W tej właśnie chwili zza rogu wyłoniła się pielęgniarka, która naciskała mi na podbrzusze.
– O! Tutaj pani jest! – zawołała. – Proszę ze mną – powiedziała z jamajskim zaśpiewem.
– Właśnie zwolniła się prywatna sala, więc was do niej przeniesiemy – oznajmiła z radością.
Uśmiechnęłam się promiennie.
– Naprawdę? A można tak?
– Teraz już tak – rzuciła, energicznie pchając wózek w kierunku skrzydła poporodowego.
Po drodze minęliśmy Marca.
– Znalazła się prywatna sala! – zawołałam do niego. – Właśnie tam idziemy!
Marco przytrzymał telefon ramieniem i pokazał nam kciuki uniesione do góry.
Kilka godzin później rozmawiałam z konsultantką laktacyjną, krzywiąc się z bólu, gdy Louisa tarmosiła mój sutek.
– Oj nie, nie, nie. – Siwa kobieta zagadkała spokojnie. – Nie tak. – Oderwała Louise od mojej piersi, podając jej w zamian palec. – Spróbujmy jeszcze raz. Ma bardzo silny odruch ssania. Trzeba, żeby szeroko uchwyciła pierś, bo inaczej będzie pani wyła z bólu.
Było około dziewiątej wieczorem i przez ostatnią godzinę starałam się nakarmić moją córkę. Rodzice poszli już do domu, a Marco znowu rozmawiał na korytarzu przez telefon. Wsunął głowę do pokoju.
– Hej, skarbie, muszę skoczyć do restauracji. Dwie osoby wzięły dzisiaj chorobowe. Uwinę się raz-dwa. Muszę tylko sprawdzić, co się tam dzieje. Zajmie mi to góra godzinę.
– Uśmiechnął się do siwej położnej, a ta odwzajemniła jego uśmiech.
– Jasne. – Próbowałam opanować drżenie w głosie. – Proszę, wróć szybko.
Louisa zaczęła płakać, jak tylko konsultantka laktacyjna zamknęła za sobą drzwi. Najpierw cicho, potem coraz głośniej. Jej cieniutkie zawodzenie wypełniło pokój i zdawało się narastać z każdym spazmem. Podniosłam się z łóżka. „Dasz radę – mówiłam sobie. – Jesteś jej matką. Jakoś to opanujesz”. Chodziłam z jednego końca pokoju na drugi, kołysząc ją w ramionach.
– Ci, cii, ciii – mówiłam raz po raz.
Łaziłam tak, aż zakręciło mi się w głowie i musiałam usiąść na łóżku. Tuliłam córkę w ramionach. Spojrzałam na zegarek. Jedenasta. Marca nie było od dwóch godzin. Przystawiłam jej pomarszczoną twarzyczkę do piersi, licząc, że się przyssie. Wyjęłam ją z becika i zawięłam z powrotem. Nic nie pomagało. Czułam, jak powoli panika zaczyna tętnić mi w żyłach. Po plecach spływały strugi potu. Louisa nie miała zamiaru przestać płakać. Znowu wstałam i zaczęłam chodzić w kółko po pokoju, a z każdym jej spazmem moje przerażenie się potęgowało. Zerknęłam na zegarek. Północ. Sięgnęłam po telefon leżący na nocnym stoliku.

„Niech cię szlag” – napisałam do Marca. Nigdy przedtem nie zwróciłam się tak do mojego męża i natychmiast pożałowałam. „Przecież nic złego nie zrobiłem” – odpisał od razu. „Gdzie jesteś? Nie radzę sobie” – odpowiedziałam i wybuchnęłam szlochem. „Jeszcze w pracy. Niedługo przyjadę”. W końcu nacisnęłam dzwonek. Pielęgniarka zjawiała się kilka minut później.

– Co się dzieje? – spytała z uśmiechem, omiótłszy nas pełnym współczucia spojrzeniem.

– Cały czas płacze. Już kilka godzin. Próbowałam wszystkiego.

– A pani partner? Mógłby pomóc dzisiaj w nocy? – Pielęgniarka rozejrzała się po pokoju.

– Mąż powinien niedługo wrócić. Musiał pojechać do pracy. – Głos mi się załamał, a po twarzy popłynęły łzy. – Nie umiem jej uspokoić. Nie wiem, co robić.

Pielęgniarka podeszła i owinęła Louise tak ściśle w becik, że aż spytałam, czy mała na pewno będzie mogła oddychać. Ale poskutkowało. Louisa jeszcze raz zapiszczała, a potem zasnęła, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Wyczerpana i wdzięczna ja również wyciągnęłam się na leżance i zamknęłam oczy. Godzinę później usłyszałam, jak otwierają się drzwi; na podłodze zaszurały czyjeś kroki. Liczyłam, że Marco do mnie podejdzie, ale on ostrożnie przeszedł do rozkładanej kanapy, zdjął buty i położył się spać.

POTEM

Marco wychodzi dziś ze szpitala. Siedzę na kanapie z kolanami podciągniętymi pod brodę i kołyszę się w przód i w tył. Nat powiedziała mi wczoraj, że gdy przyniosła mu piżamę, dyskretnie zerknęła na kartę odwiedzin... Chorwatka przychodziła do niego każdego dnia, po kilka razy dziennie.

– Jenny? – pyta mama. – Co się dzieje? O czym teraz myślisz?

– Marco dzisiaj wychodzi – odpowiadam nerwowym szeptem. – Wiem, po prostu wiem, że pójdą dzisiaj w nocy do łóżka. W końcu to zrobią – mówię, patrząc tępo przed siebie. Obgryzam paznokieć i wracam do bujania.

– Och, Jenny – szepcze cicho mama, podchodzi do mnie i siada obok. Zakłada mi pasmo włosów za ucho. – Kochanie, oni już to robili.

Podnoszę głowę. Widzę w jej oczach litość i uświadamiam sobie, że jestem ostatnią osobą, która ma jeszcze złudzenia.

– Ale... przecież potwierdziła, że nie łączy ich nic fizycznego, że to tylko platoniczny związek... Napisała: „Wiesz już wszystko”, no i że nie poszli do łóżka.

Mama spogląda na mnie ze smutkiem w oczach.

– Kochanie, mężczyźni nie zostawiają pięknej żony i nowo narodzonego dziecka dla rozmów. A takie dziewczyny nie wdają się w platoniczne związki. – Mama buja Louise na kolanach. – Tak mi przykro. Wiem, jak ci ciężko słuchać takich rzeczy.

– Ale skąd masz pewność?

Mama waha się przez chwilę, a potem po prostu rzuca:

– Łóżko.

– Łóżko? Co masz na... – Urywam, bo nagle wszystkie elementy wskakują na właściwe miejsce. – Łóżko... – powtarzam i nie jest to już pytanie. Chyba nie jestem jeszcze w stanie zdobyć się na rozmowę o tym konkretnym fragmencie układanki. – Pewnie masz rację... – mówię i wstaję. – Muszę na chwilę pójść na górę.

Pośpiesznie wychodzę z pokoju, choć mama coś do mnie woła. Pokonuję po dwa stopnie naraz. Wspinam się na łóżko i opuszczają mnie wszystkie siły. Słyszę skowyt torturowanego zwierzęcia i dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, że wydobywa się on z mojego gardła. Tata siada na łóżku tuż obok mnie, nawet nie zauważyłam, że wszedł do pokoju. Mój tata, który na rodzinnych spotkaniach mocno ściska ręce swojemu rodzeństwu, żeby uniknąć bardziej osobistego kontaktu; mój tata, który nie widział mnie we łzach, odkąd skończyłam dziewięć lat i zdarłam sobie skórę na kolanie... Bierze mnie teraz mocno w ramiona, a ja opadam na jego pierś. Trzyma mnie, a ja szlocham i wyję. W końcu, gdy spazmy przechodzą w ciche urywane westchnienia, mówi nad moją głową:

– Będziesz musiała podjąć decyzję. Nie w tej chwili, ale któregoś dnia będziesz musiała podjąć decyzję, by przestało ci na nim zależeć. Dopóki ci na nim zależy, będziesz podatna na zranienia.

– Ale tato... – zaczynam.

– Wiem, wiem – mówi, uprzedzając moje protesty. – To będzie trudne. Bardzo trudne. Zajmie dużo czasu. Może kilka miesięcy, może kilka lat. Pewnie coś pośrodku. Byliście małżeństwem. Macie dziecko. Ale w pewnym momencie będziesz musiała zdecydować.

Staram się słuchać jego słów. Wziąć sobie jego radę do serca. Tata zawsze daje dobre i praktyczne rady. Wiem nawet teraz, oparta o jego pierś, że pewnego dnia będę musiała pójść za tą radą. Ale na razie umiem powiedzieć tylko:

- Nie wiem. Po prostu nie wiem.
- Kocham cię – mówi tata i całuje mnie w głowę.
- Ja ciebie też. Za chwilę zejść na dół.

Tata poluznia uścisk ramion. Łóżko skrzypi. Tata zamyka za sobą drzwi sypialni. Czuję się wykończona. Już mam zamknąć oczy, gdy rozjaśnia się ekran mojego telefonu leżącego na nocnym stoliku. Kątem oka dostrzegam imię „Marco” i chwytam aparat. Serce mam w gardle, wyobrażając sobie, jakie będą jego pierwsze słowa po próbie samobójczej. Może, tylko może, mając w szpitalu pięć dni na samotne rozmyślenia...

Otwieram wiadomość.

„Przepraszam, że cię niepokoję, ale jak podzielimy w tym miesiącu rachunki?”

Sto razy na dzień słyszę w głowie głos, który krzyczy: „Pomóż mi!”. Należy do maleńkiej kobiety mieszkającej w mojej piersi, zamkniętej w dźwiękoszczelnej szklanej bombce, walącej pięściami w wewnętrzne ścianki i błagającej, by ktoś ją zauważył. Gdy spoglądam na zdjęcie z naszego ślubu, które nadal mam w telefonie, ta maleńka istota dostaje szału, raz po raz wali pięściami o szybę. Ale nie wypuszczam jej z zamknięcia; jedynym znakiem jej obecności jest kula, która rośnie w gardle, gdy spoglądam na nasze promieniejące szczęściem twarze. To ona jest powodem, dla którego nie mogę wyjść z domu na dłużej niż dwie godziny. To ona sprawia, że moja twarz nagle sztywnieje.

- Jenny? – pyta mama.
- Nie czuję się dobrze.

Wystarczy, że to powiem, i gdziekolwiek byśmy byli, cokolwiek byśmy robili, w milczeniu pakujemy się, wychodzimy i już.

- Jak się masz? – pytają mnie w drodze do domu, zerkając we wsteczne lusterko.
- Nic mi nie jest. Po prostu nie czuję się dobrze – odpowiadam i opieram głowę o drzwi samochodu.

Nie mam siły tłumaczyć, że w mojej głowie toczy się bitwa. Mechanicznie zajmuję się Louisą, ale tak naprawdę jej nie dostrzegam. Karmię ją, przewijam, tulę. Ale nie widzę jej wyraźnie. Jej obraz jest zamazany jak myśli w mojej głowie. Gdziekolwiek pójdę, podąża za mną gęsta mgła. Chcę się przedrzeć na jej drugą stronę, ale czasami do niej przywieram, składam głowę w jej otulinie, na jej ciepłym ciałku, i pozwalam jej się ukołysać do snu. Nie wiem, jak udaje mi się przetrwać kolejne dni. Chwile nanizują się na nic, tworząc godzinę, i nagle okazuje się, że jest szósta po południu i karmię Louisę przed położeniem jej spać.

Codziennie budzi mnie jej płacz. Podciągam się do góry i siadam. W głowie mi łupie. Siedzę przez chwilę i zastanawiam się, gdzie jestem i co się stało. „Jestem w Maine z moją trzymiesięczną córką, w domu moich rodziców. Mój mąż jest w naszym mieszkaniu w Nowym Jorku i ma dwudziestodwuletnią dziewczynę z Chorwacji”. Powtarzam te słowa, aż je sobie uprzytomnię albo zagłuszy je płacz Louisy. Zwieszam jedną nogę z łóżka, potem drugą. Nie wiem, jakim cudem się poruszają. Biorę małą w ramiona. Wydaje ciche słodkie dźwięki. Kładę ją w swoim łóżku i karmię. Próbuję poczuć miłość i ciepło, ale nie czuję nic. Piszę do mamy esemesa: „Niedługo już pokarmię”. Gapię się w ścianę przed sobą i myślę, że ja tutaj karmię nasze dziecko, a mój mąż jest ze swoją dwudziestodwuletnią Chorwatką. Głaszczę Louisę po główce i myślę: „Marco, Marco, Marco”.

Słyszę kroki na schodach, po chwili mama zagląda do pokoju. Uśmiecha się do mnie, kąciki moich ust unoszą się do góry.

- Dziękuję – mówię, gdy bierze ode mnie Louisę.
- Spróbuj się przespać – odpowiada mama i wychodzi.

Słyszę, jak w drodze na dół śpiewa kołysankę. Kładę głowę na poduszce. Zamykam oczy,

ale nie zasypiam. Jak to możliwe, że Marco zrobił coś takiego? Czy podświadomie cały czas o tym wiedziałam? Czy to dlatego co jakiś czas śniło mi się, że tracę mojego męża? Gdzie się podział mój słodki mężuś, który dreptał po salonie we flanelowej piżamie z włosami sterczącymi na wszystkie strony, który siadał obok mnie na kanapie, przytulał twarz do mojego policzka, a ja krzyczałam: „Ałć, drapie mnie twój zarost!”

Otwieram oczy i spuszczałam nogi na podłogę. Idę do łazienki. Myję zęby. Schodzę po schodach, mijam kąt, w którym oświadczył mi się Marco, i wchodzi do salonu. Uśmiecham się na widok mojej mamy z Louisą. Karmię małą. Mama siada naprzeciw mnie na kanapie i pyta, jak się czuję i czy dobrze spałam.

– Tak, dziękuję – odpowiadam.

Oddaję Louisę mamie i wracam na górę. Idę pod prysznic. Siadam na podłodze i obejmuję kolana. Razem z wodą spływają moje łzy i gile. Jak? Myślę od nowa i od nowa. Jak tego dokonałeś? Gdy zakręcam kurek, mam już spuchniętą i czerwoną twarz. Wycieram się, a potem starannie robię makijaż.

Zerkam na telefon, by sprawdzić, czy przyszła wiadomość od Marca. Schodzę na dół, siadam na kanapie i patrzę na rodziców i na małą. Myślę: „Dzięki Bogu, dzięki Bogu, że mam takich rodziców”.

Mama pyta, czy chcę pójść na spacer. I już po chwili chodzimy po ulicy w kształcie pętli, mama pcha przed sobą jaskrawoczerwony wózek.

– Przez pięć lat naprawdę się starał, Jenny – mówi. – Bardzo się starał być kimś innym, niż jest, aż w końcu dłużej nie mógł. Musisz zacząć o nim myśleć jak o głęboko zaburzonej osobie, która robiła, co mogła, i poniosła porażkę.

Godziny zlewają się ze sobą. Z tyłu głowy ciągle pulsuje jedna myśl: „Jak? Jak to zrobiłeś, Marco? Potrzebowałam cię. Potrzebowałam cię”.

O szóstej po południu zaczynam szykować Louisie kąpiel w wanience, nabieram w dłonie wody i polewam jej główkę.

– Grzeczna dziewczynka – mówię, gdy po raz pierwszy chlapie wodą i gaworzy.

Tępy ból, który nigdy nie ustępuje, przechodzi w ukłucia tysięcy ostrzy wbijających mi się w trzewia. „Dużo tracisz, Marco” – mówię w duchu. Owijam Louisę w ręcznik i zanoszę na górę. Wkładam jej jedną rączkę w śpioszki, potem drugą. Zapinam zatraski, a mała się wije. Karmię ją, aż zaczyna przymykać powieki. Dopiero wtedy pozwalam, by z oczu popłynęły mi słone łzy. Chusteczką wycieram jej włosy i wkładam ją do bujaka.

Przyjechała Holly i przyjdzie do nas dzisiaj wieczorem. Gdy mówią mi o tym, zastanawiam się, po co przyjechała. Ale to odległa, mglista myśl i szybko się rozplywa w niebycie.

– Jen – mówi, wchodząc do pokoju. – Wiem, że obie mamy problemy z przestrzenią osobistą, ale i tak cię przytulę.

– Zezwalam – odpowiadam i uśmiecham się.

Nie wiem, jak opowiadać o bajzlu, który mam w głowie, więc pytam ją o Nowy Jork, o przesłuchania, o Mike’a. Minęło zaledwie kilka minut, ale i tak to najdłuższa rozmowa na zwyczajne tematy, jaką odbyłam, odkąd znów znalazłam się w rodzinnym domu, i szybko zdaję sobie sprawę, że jest ponad moje siły. W piersi czuję wzbierającą falę, która zaraz się rozbija. W uszach zaczyna mi huczeć, a oczy zachodzą mgłą. Staram się skupić na kolorowym czasopiśmie leżącym na stoliku, ale nie potrafię już sformułować słów.

– Nie dam rady – dukam. – Przepraszam. Nie dam rady być normalna.

Holly podchodzi do mnie, otacza mnie ramionami, a ja osuwam się na nią. Ona też płacze.

- Nie płacz – mówię.
- Nie zasługujesz na to.

I choć w głowie mam wątpliwość, to z pełną klarownością stwierdzam, że to naiwność tak myśleć.

Dziewczyny, która wierzyła, że dobre i złe rzeczy spotykają nas dlatego, że na nie zasługujemy, już dawno nie ma.

Wczoraj rodzice Marca przylecieli z Danii do Nowego Jorku. Od czasu wyjazdu z Nowego Jorku jestem w stałym kontakcie z Sofią.

– Tata siedzi i gapi się w ścianę, a mama wciąż płacze – powiedziała mi szeptem podczas jednej z naszych nocnych rozmów telefonicznych. – Polecą do Nowego Jorku najszybciej jak się da. Chcą być przy swoim synu.

W głębi ducha mam nadzieję, że przeszkodzą Marcowi w igraszkach z Chorwatką. Dni mijają mi na mechanicznym zajmowaniu się Louisą i obsesyjnym sprawdzaniu Instagrama Chorwatki. Dzień po wyjściu Marca ze szpitala zamieściła zdjęcie z modnego zakładu fryzjerskiego położonego ulicę dalej od naszego mieszkania. „Pierwsza wizyta u fryzjera!” – obwieszczał podpis. W ostatnich miesiącach ciąży Marco coraz częściej chodził do tego fryzjera. Dopiero teraz dostrzegam związek między jego narastającą obsesją na punkcie swoich włosów i początkiem ich romansu. Całował mnie przed drzwiami, a ja szłam dalej do warzywniaka albo załatwiać sprawy. „Mój piękniś” – droczyłam się z nim, machając mu na pożegnanie.

– Sofia, mam nadzieję, że twoi rodzice rozumieją, co ich czeka – wyszeptalam, a potem powiedziałam o zdjęciu tej dziewczyny.

– Nie martw się, *mi amor*, mój ojciec przemówi Marcowi do rozsądku. Wprawdzie mój brat jest dorosły, ale rodzice nie poprą tego związku.

Zaczęłam też coraz więcej rozmawiać z mamą Seba. Nat zna Marca dłużej niż ja, mam nadzieję, że pewnego dnia pomoże mi zrozumieć, co się właściwie stało.

Liczę, że powie: „Aha, zapomniałam wspomnieć o tym istotnym szczególe, który pozwoli zrozumieć, jak Marco z zakochanego we mnie po uszy stał się adoratorem dwudziestodwulatki, i to tuż po tym, jak urodziłam mu dziecko”. Na razie jednak się na to nie zanoszę. Jej najlepsza i jedyna teoria to guz mózgu. Część mnie, duuużo część, chce, żeby to była prawda.

„Zawsze wiedziałam, że jest trochę głupkowaty, niedojrzały, ale wydawało mi się, że jest dobrym człowiekiem – pisze. – Nie sądziłam, że to kłamliwy, zdradliwy dupek bzykający Croellę”.

Nat i jej chłopak zaczęli nazywać Chorwatkę Croellą na cześć Cruelli de Mon, którą przypominała swoimi uczernionymi brwiami i zamilowaniem do futer. I to przezwisko do niej przywarło. Wchodzę na jej Instagram po kilkanaście razy dziennie, dostaję mdłości ze strachu przed tym, co tym razem mi zaserwuje. Zamieszcza kilka selfie dziennie, a wszystkie jej zdjęcia wydają się mało subtelnymi sugestiami, że ona i Marco są ze sobą, jak choćby to od fryzjera.

„Czy naprawdę musi puszczać się z twoim mężem, gdy masz jeszcze szwy w waginie, a potem jeszcze kopać cię, gdy leżysz? Nie ma za grosz wstydu?” – pisze Nat, gdy wyświetla się zdjęcie.

Spaceruję z mamą i Louisą, omawiamy wszystko, co się wydarzyło od dwudziestego stycznia, i próbujemy wyłowić z tego jakikolwiek sens. Gdy czuję znajomy skurcz w klatce piersiowej, wracam do domu, a mama robi jeszcze kilka rundek z Louisą.

Czasami Lulu płacze i płacze, nie chce zasnąć, wtedy na zmianę z rodzicami noszę ją na rękach, ślizgając się w skarpetach po drewnianej podłodze w kuchni, licząc na to, że ukołyszę ją do snu. Gdy niepokój narasta i mam wrażenie, że zaraz pęknie mi serce, rodzice mnie wyręczają.

Niepokój ogarnia mnie falami. Bywa, że czuję się dobrze. Ale potem paraliżują mnie lęk,

rozpacz i złość. Nie mogę wtedy myśleć. Tracę czucie. Słyszę tylko buczenie w głowie, które zagłusza wszystko inne. Moje członki wydają się tak ciężkie, że zdaje mi się, iż nie udźwignę nawet mojej córki. Ale i tak ją noszę. Mam jakiś wybór? Biorę kilka głębokich wdechów. Muszę przecież oddychać. Jeśli skupię się na oddechu, rozluźnię supeł, który ściska mi żołądek. W głębi duszy zastanawiam się jednak, czy kiedykolwiek wrócę do formy. Czy zaliczę ten sprawdzian? A co, jeśli się okaże, że nie jestem na tyle silna? Że tak naprawdę jestem przestraszoną drżącą małą dziewczynką?

Moja córka zaczyna łkać, chce dotknąć zabawki, która jest poza zasięgiem jej rączki, a ja natychmiast przytomnieję. Podrywam się na równe nogi, idę do niej. Gdy nachyłam się nad nią i układam usta w uśmiech, pokój z powrotem nabiera konturów.

Udaje mi się przetrwać kolejny atak paniki.

PRZEDTEM

– Skarbie, nie płacz. To tylko parę dni. No proszę, nie płacz już – powiedział Marco, strasznie zaspany, gdy pocałowałam go na pożegnanie. – Będę za wami ogromnie tęsknił.

– Wiem, wiem... Przepraszam... To hormony – odparłam między jednym szlochem a drugim. – To tylko dziesięć dni – dodałam i pocałowałam go raz jeszcze.

Jechałyśmy z Louisą do Maine razem z moimi rodzicami. Szef Marca poszedł na dwutygodniowy urlop, więc mój mąż pracował teraz na dwie zmiany. Martwił się, że nie będzie mógł pomagać mi przy małej. Gdy rodzice powiedzieli, że chcą pojechać na trochę do domu do Maine i że wrócą na urodziny mojej siostry, Marco nalegał, żebym wzięła Louisę i pojechała razem z nimi.

– Kocham cię. – Zamknął oczy.

– Kocham cię, jak nie wiem co – odpowiedziałam jak zawsze.

Pierwsze dni w Maine z Louisą były ciężkie. Płakała dzień i noc, a gdy nie płakała, w nerwach chodziłam na palcach, bojąc się, że lada chwila obudzi się z rykiem. Trzeciego dnia przyjechała Stella i przywiozła bujaka. Przytęszczyła go do domu rodziców i tryumfalnie postawiła na środku salonu.

– Z Henrym działało za każdym razem. Gdy bardzo marudził i nic nie pomagało, w tym zawsze zasypiał.

Włączyła przycisk na panelu z boku i ustawiła na piątkę. Numerów było osiem.

– Poniżej czwórki nie ma nawet co próbować – powiedziała, zabierając zawodzącą Louisę z moich ramion.

Przez chwilę pokołysała ją na swoim ciężowym brzuchu, a potem delikatnie ułożyła w bujaku. Czekaliśmy, a urządzenie przyśpieszało.

– Jesteś pewna, że to nie za szybko? – spytałam, nie spuszczać z Lulu wzroku.

– Jest w porządku – odrzekła Stella. – Nie bez powodu jest aż osiem programów.

Obie czekałyśmy. Nagle płacz Louisy przycichł, powieki jej opadły.

– O mój Boże... – wyszeptałam. – To cud.

– Widzisz? – odparła Stella, patrząc na Lulu. – Bo to cudowne urządzenie. Na Henry'ego...

Nie zdążyła dokończyć, bo Louisa zapłakała i otworzyła oczy. Skrzywiła się, i już po chwili powietrze wypełniły przesywające wrzaski.

– Och nie... – wyszeptałam, załamana, a po mojej twarzy popłynęły łzy. – Nie działa.

– Cholera żesz jasna – wysyczała Stella i zaplotła ręce na piersiach.

– Ale dzięki za dobre chęci – powiedziałam, wyjmując małą z bujaka. – Nie wiem już, co robić... Nie pamiętam, kiedy ostatnio się wyspałam. Budzi się co godzina albo dwie, a czasem płacze przez pół nocy. Boże, szkoda, że nie ma tu Marca...

– Potrzebujesz więcej niż godzinę nieprzerwanego snu – przerwała mi Stella. – Mamo, tato! – zawołała w kierunku salonu. – Powiem im, żeby dzisiaj do północy zajmowali się na zmianę Lulu, a ty połóż się o szóstej, dobrze?

– Nie, Stella! Nie mogę ich o to prosić. I tak już tyle dla mnie zrobili...

– Nie ma o czym dyskutować! – Znowu nie pozwoliła mi dokończyć. – Mamo! Tato!

Tamtej nocy udało mi się przespać całe pięć godzin. Około północy obudził mnie płacz i kroki na schodach. Ciche puk, puk do drzwi.

– Jenny? – Mama otworzyła drzwi i przyniosła mi małą. – Przepraszam. Próbowałam ją uśpić, ale jest dzisiaj bardzo niespokojna.

Przetarłam oczy i wygramoliłam się z łóżka, byłam oszołomiona, ale wrzaski Louisy natychmiast wywołały we mnie falę adrenaliny.

– Nie szkodzi – powiedziałam. – Dziękuję ci bardzo.

– Powodzenia, kochanie. – Mama obrzuciła mnie zatroskanym spojrzeniem i zamknęła drzwi sypialni.

Reszta tygodnia ciągnęła się jak wieczność.

– Muszę wrócić do domu – powiedziałam Marcowi przez telefon pod koniec tygodnia.

– Może uda mi się wyjechać jeszcze dzisiaj. Nie daję sobie bez ciebie rady.

– Kotku, uspokój się. Na pewno sobie poradzisz – odparł Marco ochrypłym od snu głosem. – Jesteś najsilniejszą osobą, jaką znam. Jeszcze tylko jedna noc. Wytrzymasz.

– No nie wiem... – Zamknęłam oczy i wzięłam głęboki oddech. – Sama rozmowa z tobą mi pomaga. Co słyhać w Nowym Jorku? Jak praca?

– Szczerze? Paskudnie. Nawet gdybyś przyjechała dzisiaj, to pewnie wróciłbym do domu dopiero koło czwartej nad ranem. Szef jest wciąż na urlopie, więc spędzam w restauracji szesnaście godzin na dobę. To jakiś obłąd.

– Wygląda na to, że oboje cierpimy na deficyt snu. – Śmieję się nieco szyderczo.

– Przypomnij mi, dlaczego ludzie decydują się na dziecko?

– Spuścizna, geny, zachowanie rodu, lęk przed samotną śmiercią i takie tam – odparł Marco. – Cholera, skarbie, już południe. Muszę się szykować do roboty. Zobaczymy się jutro, dobrze? Już nie mogę się doczekać. Okropnie za tobą tęsknię.

– Ja też.

– Skarbie, zaczekaj... Wyślesz mi jutro esemesa, gdy ruszycie? Żebym zdążył wrócić pierwszy.

– Oczywiście.

– Kotku... i jeszcze jedno!

– Tak? – Śmieję się do słuchawki.

– Przypomnij mi, żebyś powiedział ci coś o łóżku. To nic ważnego. Nie martw się.

– Okej, szajbusie. – Głębokie ziewnięcie. – Coś jeszcze?

– Kocham cię.

– Kocham cię, jak nie wiem co.

POTEM

Dzisiaj po przebudzeniu, zamiast sprawdzić profil Marca na Facebooku i profil Chorwatki na Instagramie, wpisuję do wyszukiwarki: „Zdradzający mąż, kłamstwa i zmiana charakteru”. Wchodzę na pierwszą spośród stron, które się wyświetlają. Poświęcona jest różnym rodzajom kłamstw. Czytam o kłamaniu kompulsywnym (bezmyślnym i automatycznym), o kłamaniu patologicznym (celowo wprowadzającym w błąd, taka sztuka dla sztuki), o białych kłamstwach (których wszyscy się czasem dopuszczamy) i o tych toksycznych (mających na celu zranienie lub oszukanie drugiego człowieka). Nie ulega wątpliwości, że Marco jest patologicznym kłamcą. Czuję ulgę, mogąc nazwać jego przypadłość; jakby w moje ciało wlewała się strużka siły. Potem wyszukuję hasło: „Patologiczni kłamcy”, następnie: „Mój mąż jest patologicznym kłamcą” i czytam wszystko o tym typie. Wiele artykułów zaleca w takich przypadkach intensywną terapię, ale wszystkie zaznaczają, że jej efekt to loteria. Często kłamcom nie można pomóc – okłamują nawet terapeutę. Czytam kolejny tekst, w którym autor twierdzi, że jeśli partner okłamał cię w kwestii tak istotnej jak zdrada, finanse czy uzależnienie, można mu dać godzinę, dwie, maksymalnie dwadzieścia cztery godziny, by się przyznał, a jeśli tego nie zrobi, oznacza to, że na własne życzenie zakończył wasz związek. Czytam to zdanie kilka razy. „Na własne życzenie zakończył wasz związek, bo udowodnił, że nie zależy mu na szacunku, otwartości i bliskości”.

„Ha! – parskam w duchu. – Dwadzieścia cztery godziny?” Ja, pogubiona w tym wszystkim i targana burzą hormonów, dałam Marcowi cały miesiąc. Uwierzyłam, że cierpi z powodu przemęczenia i wypalenia; całymi godzinami czytałam o symptomach takiego stanu i możliwych terapiach, choć w głębi duszy czułam, że coś się nie zgadza. Jednak za bardzo się bałam zawieść męża, który jest w potrzebie.

– Zakłamany gnojek – rzucam pod nosem i czytam dalej.

Następny artykuł to odpowiedź psychologa na list kobiety, która przez dwanaście lat była żoną patologicznego kłamcy. Rozpaczliwie chce, by jej mąż przestał kłamać, ale nie ma pojęcia, co zrobić. Psycholog zaleca rozmowę ze specjalistą i ostrzega, że najlepszym rozwiązaniem może być po prostu odejście i ograniczenie kontaktów z mężem. W ostatnim akapicie stwierdza: „Istnieje taki typ patologicznego kłamcy, z którym w każdych okolicznościach odradzałbym kontynuowanie związku, a mianowicie socjopata. Socjopata nigdy się nie zmieni, bo nie ma sumienia. Jedynym ratunkiem – jeśli dojdzie pani do wniosku, że mąż cierpi na tego rodzaju zaburzenie osobowości – jest oddalenie się od niego i natychmiastowe ograniczenie kontaktów, najlepiej do zera”. Czuję, jak krew mi lodowacieje. Socjopata. Słyszałam już to słowo wcześniej, gdy w wiadomościach mówiono o mordercach i gwałcicielach, ale zawsze sądziłam, że socjopatów spotyka się raczej w powieściach, a nie w prawdziwym życiu. Jak Świętego Mikołaja.

Wpisuję w Google: „Kim jest socjopata?” i otwieram pierwszy link. Tętno mi przyspiesza. Okazuje się, że socjopatami są nie tylko mordercy. Mogą nimi być wasi sąsiedzi, koledzy z pracy, członkowie rodziny, a nawet wasza bratnia dusza. Co więcej, wielu ludzi, którzy nigdy nie stosowali tego określenia, albo mieli wątpliwości, czy tego rodzaju relacje w ogóle istnieją, właśnie tak opisuje swoich życiowych partnerów z zaburzeniami. Przypominam sobie te wszystkie sytuacje, gdy z entuzjazmem oświadczałam znajomym: „Jeszcze nigdy tak się nie czułam. Nie wierzę w teorię połówek pomarańczy, ale naprawdę myślę, że Marco jest moją brakującą połówką!”. Czytam dalej, a żołądek mi się zaciska i podchodzi do gardła. Zdefiniowanie socjopaty jest bardziej złożone, niż może się wydawać; nie ma jakiejś jednej cechy rozpoznawczej, na podstawie której można by postawić diagnozę; jest to raczej zaburzenie

osobowości z zestawem powiązanych symptomów. Aby zaliczyć kogoś do grona socjopatów, musi on wykazywać większość objawów z szerokiego spektrum tego zaburzenia. Szybko przebiegam tekst, by wyłowić oznaki pozwalające rozpoznać w kimś socjopatę. Z każdą opisywaną cechą serce bije mi coraz szybciej, a włosy na głowie się jeżą. Czarujący. Odhaczone. Impulsywny. Odhaczone. Wyzbyty poczucia winy, wstydu i wyrzutów sumienia. Odhaczone. Kłamie. Potrafi mówić poetycko. Nie umie przeprosić. Odhaczone, odhaczone, odhaczone. Przerzywa mi płacz Louisy dobiegający zza ściany.

Przynoszę ją i karmię, a w głowie mam gonitwę myśli. To niemożliwe, żeby Marco był socjopatą. Przeżyliśmy razem pięć lat, nigdy dotąd nie zauważyłam żadnych symptomów. Czy cały ten czas nosił maskę? Nie, wykluczone. Po prostu miał załamanie psychiczne i romans. Jego umysł zaczął płatać figle, bo był zmęczony, przepracowany i przygnieciony ciężarem utrzymywania rodziny. Ale jakiś zrzędlawy głos z tyłu głowy podpowiada mi, że „normalny” facet przyznałby się i przeprosił. Od chwili gdy przeczytałam ten nieszczęsny mejl, minęły dwa miesiące, a Marco cały czas zgrywa ofiarę i – jakby tego było mało – to mnie chce ukarać, nie przysyłając mi esemesów w rodzaju: „Kocham cię ponad wszystko na świecie”. Wiem, że to nie jest „normalne”, ale nie potrafię sprecyzować dlaczego. Nagle zdaję sobie sprawę, że Marco nadal próbuje działać na dwa fronty. Zamiast pozwolić mi odejść i przeżyć żałobę albo uznać, że popełnił wielki błąd, i zrobić wszystko, by odzyskać rodzinę, na przemian przyciąga mnie do siebie i odtrąca od siebie. Myślę o tym przez resztę dnia. Wieczorem piszę do Nat, próbując przekuć to dokuczliwe uczucie na słowa. Odpisuje mi: „Zgadza się. Nie traktuje cię jak niezależnego CZŁOWIEKA, który myśli, ma uczucia i potrzeby. Nawet jego cieplejsze esemesy nie są tak naprawdę o TOBIE ani o tym, że bardzo cię zranił. Są tylko o NIM i o tym, jak SOBIE zniszczył życie. Nie mówi: «Boże, nie mogę uwierzyć, że zgotowałem ci takie piekło». Píše tylko: «Chcę odzyskać moją żonę. Moje życie». JEGO żonę. JEGO życie. Każde słowo dotyczy tylko jego własnej osoby”.

Nat ma rację. Jest tak, jakbym była dla niego atrapą żony wyciętą z tektury, a nie człowiekiem z krwi i kości. Nat w końcu oddała w słowach to, czego sama nie potrafiłam wyrazić. Marco nie widzi już we mnie odrębnej istoty ludzkiej.

Znowu sięgam po telefon. Zapalam lampkę nocną. Przez kolejną godzinę czytam o zaburzeniach osobowości. Powieki zaczynają mi ciążyć, a oczy zachodzą mgłą. Wiem, że lada moment Louisa obudzi się z głodu, ale nie mogę oderwać się od lektury. Całkiem mnie pochłonęła. Nareszcie, po raz pierwszy od tych kilku miesięcy, zaczynam odzyskiwać kontrolę nad sobą. Wszystko, co czytam na temat socjopatów, pasuje do tego, jak Marco zachowywał się w ostatnim czasie. Jeden artykuł podkreśla, że socjopaci bardzo źle znoszą samotność. Myślę o tym, jak szybko Marco przeskoczył z Tani na mnie, a potem na Chorwatkę. Przypominam sobie jego słowa: „Nie mogę być sam. Wiesz, jak nie znoszę samotności”, jakby to było jakiegokolwiek usprawiedliwienie dla jego romansu. W zakończeniu artykułu czytam, że socjopata będzie powtarzał ten sam cykl raz po raz: spienić, splukać, powtórzyć. Wstukuję w Google: „Cykliczny przebieg relacji z socjopatą”. Wchodzę na stronę, na której wyświetla się ciemna sylwetka w masce, a obok niej widnieją słowa: „Idealizuje, dewaluuje, porzuca”. Nie zdążyłam nawet przyswoić sobie znaczenia tych słów, a już przebiegają po mnie dreszcze. Idealizować, dewaluować, porzucać. Instynktownie wiem, że właśnie to mnie spotkało ze strony mojego męża, więc łapczywie pochłaniam artykuł, a potem czytam go jeszcze trzy razy.

Na początku wszystkich relacji socjopata czy psychopata (okazuje się, że terminy te można niekiedy stosować zamiennie) gloryfikuje swoją ofiarę czy też cel, idealizuje go i stawia na piedestale. Nie bez powodu właśnie tę osobę obrał sobie za obiekt zainteresowania i ścigał z wielką determinacją, która najbardziej ze wszystkich uczuć, do jakich jest zdolny, przypomina

miłość. Nie jest jednak miłością, o nie... Jest obsesją, zauroczeniem, żądzą posiadania, a potem zniszczenia. Gdy socjopata bierze na muszkę kobietę i uznaje, że ma ona coś, czego on pragnie, będzie ją „bombardował miłością”, zalewał niekończącym się strumieniem pochlebstw i czułości, które mogą przybrać rozmaite formy. W ten sposób psychopaci uwodzą swoje ofiary. Palce mi drżą, gdy przewijam akapit do góry, by przeczytać go raz jeszcze. Przypominam sobie początek naszego związku z Markiem. Nieustanna wymiana esemesów, fala komplementów, ciągła adoracja, moje podekscytowanie. Pamiętam, że przypisywałam to jego „latynoskiemu temperamentowi”, myśląc, że jestem najszcześniejszą dziewczyną na świecie.

Kolejną taktyką stosowaną przez socjopatę jest „imitowanie”. Socjopata analizuje wygląd i osobowość swojej ofiary, potem gra na tym, co ta najbardziej w sobie podziwia i czego bezwiednie pożąda u partnera. Socjopata kopiuje zachowania swej ofiary tak perfekcyjnie, że ta jest przekonana, iż znalazła swoją drugą połówkę, bratnią duszę. Socjopata zaczyna lubić i cenić to, co lubi i ceni jego ofiara, przejmuje jej gusta muzyczne, styl ubierania się, a nawet grono przyjaciół. Przejmuje cele życiowe swej ofiary, a ta, podekscytowana planuje z nim przyszłość.

Przypominam sobie słowa Nat, że gdy Marco się ze mną związał, zrobił się miły i łagodny, stał się lepszym ojcem dla Seba i w ogóle lepszym człowiekiem. Naprawdę sądziła, że jesteśmy jedną z tych par ludzi, którzy wzajemnie się wzbogacają i doskonalą. Zaczął sprawiać wrażenie, że dojrzał, że uporządkował swoje życiowe priorytety. Twierdził, że rozjechały mu się z powodu nieudanego związku z Tanią i że dopiero teraz jest w stanie w pełni realizować swój potencjał. Wierzyłam, że wzajemnie się popychamy ku dobremu i wydobywamy z drugiego to, co w nim najlepsze. Odnalazłam swoją drugą połówkę w osobie wytatuowanego samotnego ojca z Argentyny, od dwunastu lat żyjącego w Nowym Jorku „na nielegalu”. Choć trudno w to uwierzyć, właśnie w nim dostrzegłam swojego księcia, z którym będę żyła długo i szczęśliwie. Czy to możliwe, że Marco tylko odzwierciedlał moją osobowość? Pokazywał mi to, czego bezwiednie poszukiwałam u mężczyzny? „Nie – odpowiadam sobie w myślach – to niemożliwe”. Według artykułu faza idealizacji trwa tylko kilka miesięcy, a po niej zaczyna się dewaluacja. Marco przez pięć lat niemal całował ziemię, po której stąpały moje stopy. Obgryzając paznokcie, wpisuję do wyszukiwarki: „Socjopata i wydłużona faza idealizacji”. Nie znajduję wiele. To niemożliwe, by Marco był prawdziwym socjopatą. Choć chcę znaleźć wytłumaczenie dla wszystkiego, co zdarzyło się od dwudziestego stycznia, choć chcę zrozumieć mojego męża, mojego najlepszego przyjaciela, mojego rycerza, który odwrócił się ode mnie po tym, jak urodziłam mu córkę, myślę, że musi być jakieś prostsze, bardziej oczywiste wyjaśnienie. Może po prostu się odkochał i wdał się w romans. Może zwyczajnie jest oszustem i tchórzem. Wiem jednak, że to nie takie proste. Większość mężczyzn, którzy wdają się w romans, nie wypiera się go z uporem maniaka, i to do tego stopnia, że woli wylądować w szpitalu psychiatrycznym niż wyznać prawdę. Większość zdradzających mężczyzn nie przypisuje sobie urojonych chorób, by za wszelką cenę uniknąć odpowiedzialności za swoje czyny. Nie wspomnę o tym, że większość z nich nie ma tak fatalnego wyczucia czasu jak Marco. Moment narodzin naszego dziecka...

W końcu natrafiam na artykuł o socjopatach, którzy zawierają ze swoimi ofiarami związki małżeńskie. Zwykle robią tak, by zachować pozory przyzwoitości – miła sceneria, w której mogą doznawać swoich najmroczniejszych pragnień. Autor artykułu nie ma wątpliwości, że socjopata, który poślubia swoją ofiarę, nie pozostanie jej długo wierny, kilka miesięcy to szczyt jego możliwości, tyle, by zabezpieczyć swoje małżeństwo. Staram się analizować nasz związek najobiektywniej, jak potrafię. Wyobrażam sobie, że Marco zdradzał mnie już wtedy, kiedy poszliśmy do Bloomingdalesa na mrożony jogurt. Przypominam sobie nasz ślub i dołeczki na jego twarzy, gdy z uśmiechem powiedział: „Tak”. Przypominam sobie otwarcie Thirsty Owl i nerwowe noce, podczas których dreptaliśmy w tę i w tę po salonie („Jeśli przetrwamy to,

przetrywamy wszystko” – powiedział wtedy). Nie, nie, nie. Jeśli Marco jest socjopatą, to jest jedynym, któremu udało się wytrwać w wierności pięć lat, zanim przestał nad sobą panować.

W zakończeniu artykułu autor pisze, że niektóre ofiary dostarczają takiej pożywki dla ego socjopaty, że faza idealizacji może trwać kilka lat zależnie od tego, czego socjopata potrzebuje od związku. Autor określa to jako „narcystyczne zaspokojenie” i stwierdza, że wszyscy socjopaci są narcyzami. Czytam dalej: „Jeśli ofiara zapewnia ciągle zaspokojenie potrzeb narcystycznych, może być idealizowana latami. Jednak gdy w końcu jej potencjał się wypali, należy się spodziewać rychłej dewaluacji i porzucenia. Mój Boże! Zielona karta. Restauracja. Ślub. Podróże. Szacunek otoczenia. Maine. Pieniądze. Rodzina. Byłam dla Marca nieprzebranym źródłem narcystycznych satysfakcji, aż nagle mój potencjał się wyczerpał. Zajmując się niemowlęciem, nie mogłam już karmić ego mojego męża...

Kolejne akapity opisują fazę dewaluacji, kiedy to otwiera się czarna otchłań w duszy socjopaty, a on sam zaczyna metodycznie dewaluować te same cechy swojej ofiary, które kiedyś tak cenił. Czy Marco przestał mnie cenić? Odtwarzam w myślach przebieg naszego związku. Czuję się tak, jakby postawiono mnie na piedestale, a potem z niego strącono, wyrzucono jak worek ze śmieciami. Czy to możliwe, by tak nagle zacząć gardzić tym, co jeszcze do niedawna się ceniło?

Mój wzrok przykuwa długi wątek zatytułowany „Fetysze psychopaty”. Zaczynam czytać z zaciekawieniem.

– Mój Boże! – wydaję po chwili głośny jęk.

Główny fetysz, który powtarza się raz po raz, to stopy, ulubiona przez Marca część kobiecego ciała. Wiedziałam, że mój mąż ma szczególną słabość do moich stóp, ale dopiero niedawno Nat uświadomiła mi, jak głęboka jest to fiksacja.

– Zaraz, zaraz, czegoś tu nie rozumiem. Jesteście małżeństwem, ale nigdy ci nie powiedział, że stopy to jego absolutny fetysz? – spytała z niedowierzaniem kilka tygodni temu.

– No wiem, że lubi stopy – odparłam. – Ale chyba nigdy nie pokazał mi, że aż tak.

– No cóż... powiedziałałabym, że uwielbienie dla stóp to jego znak szczególny. Jak o nim myślę, to zawsze w tyle głowy mam to skojarzenie.

Ta informacja mnie zaszokowała. Mój mąż jest fetyszystą stóp i nigdy mi o tym nie powiedział? W pierwszym roku naszej znajomości wspominał kilka razy, że uwielbia, jak chodzę na obcasach, ale o ile pamiętam, nie błagał, bym pozwoliła mu ssać palce mych stóp dzień i noc. Coś takiego na pewno wryłoby mi się w pamięć.

– Nie szokuje mnie to, że ma słabość do stóp. Dziwi mnie raczej, że nigdy się przede mną z tym nie zdradził – mówię Nat.

– To chyba ważne, by wyznać swoje najgłębsze pragnienia i fantazje osobie, z którą postanawia się spędzić resztę życia.

W jednym z komentarzy w wątku pod tekstem czytam, że wiele fetyszów i fantazji socjopatów ma charakter ekstremalny. Jednym z przykładów jest zamiłowanie do wyjątkowo perwersyjnej pornografii. Ponieważ socjopaci nie potrafią kontrolować swoich impulsów i potrzebują nieustającej stymulacji, wielu z nich, o ile nie wszyscy, to uzależnione od seksu z boki. Brak im tożsamości; z ich wnętrza zawsze zionie czarna otchłań. Są istotami pustymi w środku, i żeby cokolwiek poczuć, oddają się coraz bardziej rozwiązłym i ekstremalnym praktykom.

Czytam dalej, i gdy po raz trzeci natrafiam na słowo „worarefilia”, w końcu sprawdzam jego znaczenie w Wikipedii. Już po chwili zbiera mi się na mdłości. Wielu psychopatów to worarefile, pragnący być pożarci cali, żywcem, na przykład przez jakąś wielką istotę, choćby ogromnych rozmiarów węża. Z oczywistych powodów trudno tę fantazję zrealizować

w prawdziwym życiu, mimo to żywi ją wielu psychopatów.

Mam gonitwę myśli, ale powieki zaczynają mi ciążyć i się kleić. Zapadam w sen. We śnie idę obok mojego męża mostem wysoko nad malowniczymi górami. U stóp mamy chmury, a w dole zielono-brunatną ziemię. Sukienka opina mi się na wielkim ciężowym brzuchu. Śmiejemy się i trzymamy za dłonie. Nagle Marco puszcza moją rękę i zwraca do mnie twarz. Jego błyszczące oczy robią się czarne i martwe. „Co się stało?” – pytam. Wyciąga ku mnie ręce i popycha, a ja spadam, spadam w bezdenną przepaść i nicość. „Marco!” – krzyczę. Płaczę. Ale nie dlatego, że boję się upadku, po prostu nie rozumiem, co takiego zrobiłam, że Marco mnie zepchnął. „Marco!” – raz jeszcze próbuję krzyknąć, lecz powietrze zatyka mi płuca i kolejne słowa – „Potrzebowałam cię” – więzną mi w gardle.

Nazajutrz rano wchodzę do kuchni z Lulu na rękach i nalewam sobie kawy. Siadam obok mamy na kanapie.

– Przeglądałaś artykuł, który wysłałam ci wczoraj w nocy?

Opowiadam jej o tym, co przeczytałam i czego się dowiedziałam. Wspominam o kolejnym tekście poświęconym kobiecie, która była w fazie idealizacji przez trzy lata, a potem poroniła i została zdewaluowana i porzucona, jeszcze zanim zdążyła opuścić szpital.

– Wygląda na to, że zdejmują maskę wówczas, gdy w związku przychodzi moment na to, by coś z siebie dali, zaczęli się o drugą osobę troszczyć. Wiesz, nigdy o tym nie mówiłam, ale chyba podskórnie liczyłam, że w końcu zamienimy się rolami i teraz to Marco się mną zaopiekuje. Tymczasem on wdał się w romans.

Rozmawiamy o tym przez chwilę, wyliczając wszystkie drobne oznaki tego, że Marco przestał mnie cenić; oznaki, które wcześniej jakoś uszły naszej uwadze. Jestem przekonana, że jeśli uda mi się zrozumieć, co się stało i dlaczego, będę mogła iść do przodu. W przeciwnym razie utknę w tej patowej sytuacji.

– Pamiętasz, jaki był niechętny do pomocy, gdy szykowaliśmy pokój dla Louisy? – pyta mama. – A gdy zrobiliśmy wam niespodziankę na Święto Dziękczynienia i kupiliśmy meble z Ikei? Z trudem ukrywał irytację. Przymknęliśmy na to oko, sądząc, że się biedak zaharowuje.

Wracam myślami do listopada, miesiąc przed przyjściem na świat Louisy, kiedy to prawdopodobnie zaczął się jego romans. Przez większość czasu Marco sprawiał wrażenie wyczerpanego i apatycznego, ale to dlatego, że pracował non stop, w dodatku o absurdalnych porach. Moi rodzice zrobili nam prezent w postaci sofy z Ikei i bardzo dobrze pamiętam, jak Marco wtedy zareagował.

– Ciekawe, że twoim rodzicom się wydaje, że mogą ot tak po prostu przemeblowywać całe nasze mieszkanie.

Skwitowałam ten komentarz śmiechem.

– Wiesz, że lubią się angażować. Może czasem za bardzo, ale nie sądzę, by to był powód do narzekania. Zobacz, przeprowadzają się tutaj na trzy miesiące, żeby pomóc nam przy dziecku.

– Niby tak – rzucił i włączył telewizor.

Teraz ja spoglądam na moją mamę.

– Rany, masz rację. To była bardzo subtelna wskazówka, ale mam wrażenie, że przestał doceniać całą naszą rodzinę. Na początku adorował mnie, tatę darzył uwielbieniem, a na koniec irytował się, gdy próbowaliście nam pomóc... Boże... To naprawdę smutne, ale wtedy pomyślałam, że w końcu, po czterech latach, wyszliśmy z fazy miesiąca miodowego. Naprawdę sądziłam, że to lepiej i zdrowiej, iż Marco nie jest już we mnie tak szaleńczo zakochany, że zamiast nieustannie wodzić za mną maślanymi oczami, czasem się zwyczajnie wkurzy.

Nagle całkiem wyraźnie staje mi przed oczami pewna scena, która rozegrała się w naszym nowojorskim mieszkaniu jakiś czas po powrocie z Maine, a przed wyjazdem do

domku letniskowego na Peaks Island. Przed południem mieliśmy zjeść na mieście późne śniadanie.

– Gotowy do wyjścia? – spytałam, kołysząc Louise na rękach.

Marco spojrział na mnie badawczo, a potem wyciągnął ręce.

– Daj. Potrzymam ją, a ty idź zrobić sobie makijaż.

– Aha – odparłam i przez ułamek sekundy poczułam się dotknięta, ale zaraz potem dodałam: – Super, dzięki.

„Jezu” – wzdycham teraz w duchu, zatopiona w tym wspomnieniu.

– Prawda wygląda tak, że znalazłaś tamten mejl na tyle wcześnie, że Marco nie był jeszcze gotów cię porzucić. – Głos mamy wrywa mnie z zamyślenia. – Po prostu przyśpieszyłaś cały ten proces, a potem domagałaś się prawdy. Kto wie, jak długo by tobą pogardzał, gdybyś nie zobaczyła tej wiadomości.

Rozważam przez chwilę jej słowa. A więc nie było tak, że w jakiś magiczny sposób ominęła mnie faza dewaluacji. Po prostu zmusiłam Marca, by mnie porzucił, zanim sam stał się na to gotów.

– Mamo – mówię – jest coś, co przez długi czas wypierałam i co dopiero dziś rano do mnie dotarło. Coś, czego dowiedziałam się na samym początku, kilka dni po przeczytaniu mejla. Pamiętasz, jak sprawdzałam historię na naszym komputerze? I znalazłam kursy Ubera do jej mieszkania?

– Tak... – odpowiada mama nerwowo.

– Było tam coś jeszcze. Hasło, które wielokrotnie wpisywał w wyszukiwarce. Spytałam go o to, a potem chyba na dobre wyparłam ze świadomości, bo prawdziwy jego sens nie mieścił mi się w głowie. – Biorę głęboki oddech. – Szukał skutecznych metod na powiększenie penisa. Gdy go o to spytałam, odparł, że martwił się tym, że... po porodzie „się porozciągałam”... – Spoglądam na mamę, uśmiecham się z zażenowaniem i wzruszam ramionami. – Ale oczywiście teraz wiem, że interesował się tym z powodu Croelli.

Mama wbija we mnie wzrok.

– A więc gdy stawaliśmy na rzęsach, żeby mu pomóc i dowiedzieć się, co mu dolega, gdy ty z nerwów traciłaś pokarm, on szukał metod na powiększenie fujary, żeby dogodzić swojej dwudziestodwuletniej panience?

– Na to wygląda – odpowiadam.

Przez chwilę patrzymy sobie w oczy, a potem obie parskamy śmiechem.

– Nie sądziłam, że może mnie jeszcze czymś zadziwić – mówi mama, śmiejąc się histerycznie.

Gdy po kilku minutach w końcu się opanowujemy, puentuję:

– Całe szczęście, że potrafimy się z tego śmiać.

– Chwała Bogu.

Mam dzisiaj spotkanie z psychoterapeutką. Gabinet mieści się na czwartym piętrze dużego ceglanego budynku w Old Port. To moje pierwsze spotkanie, „wizyta zapoznawcza” u poleconej przez sąsiadkę specjalistki. Pierwszy raz w życiu idę na terapię. Tak naprawdę nie wiem, co to znaczy „chodzić na terapię”. Wiem tylko, że muszę porozmawiać z kimś, kto albo potwierdzi, albo obali moją amatorską diagnozę opartą na informacjach z internetu.

Naciskam w windzie czwórkę i powoli sunę w górę, miętosząc w palcach mankiet zielonego kardiganu. Drzwi windy się otwierają, idę długim korytarzem, potem drugim. Po obu jego stronach mijam drzwi.

– Witam. Jen, prawda?

Akurat gdy mam usiąść na krześle dla oczekujących, bardzo ładna brunetka wychyla

głowę przez drzwi po prawej.

– Dzień dobry. Tak, to ja.

Jest zbyt ładna i zbyt młoda. Od razu to stwierdzam. A ze sposobu, w jaki wypowiedziała te trzy krótkie słowa, przebija inteligencja i opanowanie. „Kiedyś też taka byłam” – wzdygam w duchu, znowu tarmosząc rękaw. Idę za nią do gabinetu. Prosi, bym usiadła, i uśmiecha się do mnie ze swojego miękkiego fotela stojącego na drugim końcu małego gabinetu.

– To twój pierwszy raz? – pyta.

Uśmiecham się.

– Tak. Przepraszam, ale chyba jeszcze nie wiem, jak to się wszystko odbywa.

– Na pierwszej sesji możesz po prostu naświetlić mi swoją sytuację, zgoda? – odpowiada ciepło.

„Tak, chyba mogę to zrobić” – stwierdzam w duchu i zaczynam mówić, pośpiesznie, żeby jak najszybciej przekazać najistotniejsze fakty. Lisa, bo tak ma na imię terapeutka, słucha, kiwając głową. Z każdym moim zdaniem coraz szerzej otwiera oczy, w końcu nachyla się do przodu.

– Od samego słuchania dostaję gęziej skórki – mówi ze stłumionym śmiechem.

– To dopiero początek – odpowiadam i znów błyskawicznie raportuję jej wydarzenia ostatnich miesięcy, chcąc zmieścić się w pięćdziesięciu minutach, żeby Lisa mogła jeszcze skorygować moje wnioski. A przynajmniej żeby mi powiedziała, jak mam sobie pomóc.

Nie wypowiadam słowa „socjopata”. Nie chcę, żeby w jakikolwiek sposób się zasugerowała. Gdy kończę, biorę głęboki oddech i podnoszę wzrok.

– I co o tym myślisz? – pytam.

Lisa podciąga pod siebie jedną nogę.

– Niektóre z jego zachowań podpadają pod socjopatię – zaczyna ostrożnie. – Będę z tobą szczerą... W mojej dziesięcioletniej praktyce to jeden z najskrajniejszych przypadków patologii, z jakim się zetknęłam.

– Patologii?

Wiedziałam! Marco jest socjopatą. Teraz tylko ta mądra kobieta musi mi powiedzieć, jakie konkretnie mam podjąć kroki.

– Patologia, najogólniej mówiąc, oznacza niekontrolowane i destrukcyjne skłonności. Te jego kłamstwa to jakiś obłęd... – Lisa się śmieje. – Albo... używając terminologii specjalistycznej... to zachowanie patologiczne. Najwyraźniej twój mąż ma też patologiczne pragnienie, by wieść podwójne życie. – Lisa upija łyk herbaty z kubka stojącego na stoliku obok. – Ta próba samobójcza to ciekawa sprawa, bo sugeruje, że jest całkiem nieświadomy tego, co robi. Tak bardzo nie chce przyznać się do swoich kłamstw i patologicznych zachowań, że woli wykreować szopkę pod tytułem „Straciłem rozum”. Zdolny jest nawet do odebrania sobie życia, żeby tylko potwierdzić swoją wersję rzeczywistości.

– Chwileczkę... a więc jest socjopatą, który nie wie, że jest socjopatą? Czy socjopaci w ogóle bywają samoświadomi? – pytam ze zdumieniem.

– Ooo tak – stwierdza Lisa dobitnie. – Niektórzy doskonale zdają sobie sprawę, że cierpią na zaburzenia osobowości, i wykorzystują to dla swoich korzyści. Wydaje się, że Marco jest pozbawiony empatii i wewnętrznego moralnego kompasu, ma jednak szczerą potrzebę usprawiedliwiania przed sobą własnych czynów. Wygląda na to, że wierzy w swoje kłamstwa.

Przetrawiam jej słowa w myślach. Robi mi się lżej, gdy słyszę, że Marco nie ma świadomości, kim jest. Że nie jest nikczemnym manipulatorem, który patrzył na mnie przez pięć lat i planował, jak by tu mnie zniszczyć.

– A więc działa czysto instynktownie? – pytam, kończąc myśl pulsującą mi w głowie.

– Na to wygląda. Muszę też cię ostrzec, że mogą wyjść na jaw inne dowody na niewierność z jego strony. To w zasadzie niemożliwe, by ktoś z tego rodzaju patologicznymi skłonnościami pozostawał wierny jednemu partnerowi.

Ściska mnie w żołądku.

– Nie, nie. Wiem, dlaczego tak myślisz, ale naprawdę nie wydaje mi się, by mnie wcześniej zdradzał... – zaczynam, po chwili jednak urywam. Nawet w moich uszach brzmi to żałośnie rozpaczliwie. Nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego niby miałby mnie nie zdradzać przed listopadem, ale po prostu to wiem. Tymczasem ustępuję: – Choć trudno cokolwiek wykluczyć...

Wychodząc z gabinetu Lisy, czuję się bardziej stabilna emocjonalnie niż przez ostatnie kilka miesięcy. Nadal jestem pogubiona w gęstwinie domysłów i spekulacji, ale zyskałam coś, czego mogę się przytrzymać, półkę skalną, której mogę się uchwycić koniuszkami palców. Wsiadam do samochodu, a mama podaje mi głodną Louisę.

– Jak mała? – pytam, odgarniając włoski Louisy i rozpinając sobie stanik.

– Grzecznitka – odpowiada mama. – Jak aniołek. A jak twoja sesja? Spodobała ci się Lisa?

– Bardzo.

Relacjonuję mamie przebieg spotkania i wstępne uwagi Lisy.

– Wygląda na to, że kobieta zna się na rzeczy – stwierdza, popijając latte na wynos kupione w kawiarni obok.

– Jutro jestem umówiona z jeszcze jedną psycholog, więc zobaczymy. Ale przy Lisie czuję dobre wibracje.

Nazajutrz przemiała pani terapeutka, wysłuchawszy opowieści o Marcu, rozważa moją sytuację i mówi:

– Jeśli naprawdę chce pani uratować swoje małżeństwo, to przede wszystkim na następną sesję powinna pani przyjść z mężem.

Wsiadam do auta i od razu oznajmiam:

– Chyba wolę się spotykać z Lisą.

Gdy budzę się dzisiaj, słońce rozlewa się po drewnianej podłodze sypialni. Uświadamiam sobie, że jest połowa kwietnia. Jestem w domu rodziców już od miesiąca. Oni od dwóch tygodni są w Paryżu, tymczasem na Haven Road przyjechali Stella, Tim i Henry i mają zostać do ich powrotu.

– Będzie ekstra – mówi Tim tydzień wcześniej. – Jak jedna wielka niekończąca się bibka.

Nikt nie powie przecież prawdy, że przyjechali się mną zaopiekować. Spędzam już kilka godzin poza domem, ale nie funkcjonuję jeszcze normalnie.

Stella zadzwoniła do mnie w zeszłym tygodniu.

– Pomyśleliśmy z Timem, że każde z nas mogłoby zaplanować trzy czy cztery posiłki – powiedziała. – Jak w komunie! Pomyśl, co byś chciała ugotować, i daj mi znać, to zrobię zakupy.

Gdy się rozłączyliśmy, spojrzałam na mamę wielkimi oczami.

– Stella chce, żebym gotowała, gdy was nie będzie – powtórzyłam jej z niepokojem.

Mama popatrzyła na mnie z mieszaniną przerażenia i niedowierzania w oczach.

– Nie rozumie sytuacji – stwierdziła. – Porozmawiam z nią.

Rodzice wyjechali trzy dni temu i choć nic jeszcze nie ugotowałam, to czuję się dobrze, dużo lepiej, niż myślałam. Dzisiaj idziemy ze Stellą do znajomych na *baby shower*. To moje pierwsze wyjście do ludzi od dwudziestego stycznia. Myjąc zęby i gruchając jednocześnie do Louisy, która uśmiecha się do mnie z ręcznika rozłożonego na podłodze łazienki, czuję, że podołam.

Na imprezie przegryzam ciepłe croissantsy i popijam kawę. Louisa śmieje się i popiskuje, próbując chwycić inne dziecko, i wszyscy wzdychają z zachwytem: „Ależ niesamowita”. Kraśniej z dumy.

Gdy przysiada się do mnie Kim, przyjaciółka mojej siostry, i pyta, co u mnie słyhać, przypominam sobie, jak trzy lata temu – jej syn miał wtedy dwa lata – dowiedziała się, że jej mąż ją zdradza i zażywa narkotyki. Nie znam szczegółów, ale wiem, że teraz sama wychowuje syna. Ostatni raz widziałam ją w czerwcu na moim ślubie.

– Wiesz, dziś po raz pierwszy obudziłam się i pomyślałam o czymś innym niż o całym tym koszmarze. Naprawdę zaczynam czuć, że jakoś to przetrwam – mówię. – Nie da się ukryć, że było mi bardzo ciężko, ale chyba przeskoczyłam jakąś poprzeczkę, bo teraz czuję się naprawdę w porządku.

Kim słucha z zainteresowaniem, ale sprawia wrażenie, jakby nie wiedziała, o czym mówię.

– Moja siostra ci nie mówiła?

– Nie – odpowiada Kim ze śmiechem. – Przepraszam, ale nie mam pojęcia, co się wydarzało.

– O Boże – mówię. – Myślałam, że to dlatego do mnie podeszłaś! Miesiąc po narodzinach naszej córki dowiedziałam się, że Marco ma romans. Tak więc teraz mieszkam z moimi rodzicami i próbuję jakoś stanąć na nogi.

Teraz już wszyscy patrzą na mnie. Ale czuję się dobrze, mówiąc to, co mówię, jestem nawet z siebie dumna, z tego, że potrafię opowiadać o romansie męża, jakbym cytowała przepis z książki kucharskiej.

– Dzisiaj chyba rozpoczęłam nowy etap. Może przeżyłam już fazę rozpacz? Na szczęście następna jest złość – rzucam ze śmiechem i rozglądam się po zebranych przy stole.

Zauważam, jak po twarzy pewnej kobiety, która przyszła z dzieckiem, spływa łza. Spoglądam na Kim – wygląda na poruszoną. Uśmiecha się, ale jej twarz wykrzywia ból.

– Poważnie, wszystko jest okej – mówię i w tamtej chwili naprawdę tak czuję. – Spotkamy się kiedyś? Chciałabym z tobą jeszcze porozmawiać.

Kim daje mi swój numer i niezobowiązująco umawiamy się na kawę. W drodze powrotnej do domu włączam radio i nucę pod nosem. Pierwszy raz od dwudziestego stycznia.

– Lulu, mama znowu śpiewa! Mama wraca do zdrowia! – wykrzykuję.

Jestem podekscytowana, ogarnia mnie euforia, bez lęku rozmyślam o przyszłości. Wreszcie mogę odkryć swoje przeznaczenie i prawdziwe ja. Czuję to.

Po powrocie do domu karmię Louise i układam ją w bujaku. Siadam na kanapie i nagle, zupełnie nagle, coś we mnie pęka. Zalewa mnie fala smutku, ogarnia panika. Cztery lata temu siedziałam z Markiem w przytulnym kąciku u Doyle’a; głaskał mnie po ramieniu i szeptał do ucha:

– Wiedziałaś, że po raz pierwszy wyznałem ci miłość, gdy spałaś?

Spojrzałam mu w oczy.

– Ja też cię kocham – odparłam.

Teraz gwałtownie wstaję z kanapy i zaczynam chodzić w tę i we w tę po pokoju. Tim pracuje, a Stella załatwia jakieś sprawy z Henrym. Chwytam telefon i piszę do mojej siostry: „Mam atak paniki. Nie rozumiem. Rano tak świetnie się czułam”.

Odpowiada natychmiast: „Och nie, chciałam o tym z tobą pogadać, zanim wyszłaś z imprezy. Po twoim wyjściu rozmawiałam z Kim, ona powiedziała, że oczywiście wierzy ci, że czujesz się dobrze, ale mimo wszystko przed tobą jeszcze długa droga. Będą chwile, gdy będziesz się czuła w porządku, ale po nich przyjdą dołki. Powinnaś uciąć sobie z nią pogawędkę.

Bardzo się przejęła tą waszą zdawkową rozmową”.

Biorę kilka głębokich oddechów. Czytanie wiadomości od Stelli nie poluznia supła, jaki czuję w piersi, ale daje mi jakiś punkt oparcia. Będzie dobrze. Będzie dobrze. Powtarzam to sobie w duchu, drepcząc w kółko po salonie i głęboko oddychając. Z tyłu czaszki dudni mi głos: „Myślałaś, że nic ci nie jest? Ha!” Robię jeszcze kilka kółek. Dzwoni mi w głowie. Z góry dobiega płacz. Jak automat wchodzę po schodach i biorę kwilącą Louise na ręce. Mówię jej, że wszystko będzie dobrze, i raz za razem całuję w główkę.

Nie dam rady. Nie przejdę przez to. Mam szczękościsk, oczy mnie pieką. Rozlega się sygnał przychodzącej wiadomości. To Stella. „Niedługo będę z powrotem. Masz ochotę przejść się na spacer?”. „Tak” – odpisuję. Biorę głęboki oddech, rytmicznie otwieram i zamykam usta, by rozluźnić szczękę.

Spacerujemy ze Stellą po plaży, rozciągającej się kwadrans drogi od domu.

– Rano czułam się zupełnie dobrze. Myślałam, że zrozumiałam pewne sprawy. Że pojęłam, co się wydarzyło. No cóż, tak to już jest. Mężczyźni zdradzają. A Marco wybrał najgorszy moment z możliwych. Ale gdy się tak głębiej zastanowić nad nim i nad tym, jak między nami było, nad wszystkimi naszymi wspomnieniami...

– Wiem – łagodnie wtrąca Stella. – Jenny, nie mamy do czynienia z typowym żonkosiem, co to zrobił skok w bok. Nie patrz tak na to. Wszyscy go uwielbialiśmy, a on okazał się zupełnie innym człowiekiem. Jednak najbardziej niepojęte jest dla mnie to, że tak uporczywie kłamie i działa na dwa fronty. Nie wiem, co on sobie wyobrażał. Myślał, że mu się to upiecze?

To proste pytanie mną wstrząsa. Na język ciśnie mi się „tak”, ale coś mi tu nie gra. „Naprawdę sądził, że nie poniesie żadnych konsekwencji?” – zapytuje się w duchu.

– Sądzę... – zaczynam, układając myśli w słowa – sądzą, że chciał, by go przyłapano. Nie wydaje mi się, że chciał cokolwiek ratować. Myślę, że chciał zostać zmuszony do odejścia.

Moja siostra wzdycha.

– Tchórz.

Skrećamy w Willow Street prowadzącą na długą piaszczystą plażę z widokiem na bezkres oceanu. Henry wyskakuje z wózka i biegnie na swych miniaturowych nóżkach na plac zabaw na skraju plaży. Odpinam Louise i biorę ją na kolana, sadowiąc się na małym drewnianym pomoście obok. Patrzę na roześmianą i rozbawioną dzieciarnię. Dorośli wrzeszczą i na siłę smarują swoje pociechy kremem z filtrem.

O nie, tylko nie to! Czuję nadchodzący atak paniki. Z dziury w moim brzuchu zaczyna wypływać czarna maź i za chwilę zaleje całe moje wnętrze. Mrużę oczy i próbuję się skupić na miękkich włosach Louisy i na piasku łaskoczącym moje stopy. Dźwięki wokół mnie robią się coraz głośniejsze, aż w końcu przechodzą w nieznośny jazgot. „Zamknąć się!” – mam ochotę krzyknąć do matki wydzierającej się na swojego trzyletniego syna i do dwóch pań rozmawiających po mojej prawej stronie. „Jak możecie być takie normalne? Rozmawiać o zakupach w spożywcza, gdy mnie zawałił się cały świat?”

– Muszę już iść! – wołam do Stelli. – Źle się czuję.

Macham do niej i szybko się odwracam. Nie może zostawić Henry’ego i nie może go wziąć na ręce, bo jest w dziewiątym miesiącu ciąży. W zasadzie mi to pasuje – gdyby za mną poszła, kompletnie bym się rozkleiła. Wkładam Lulu do spacerówki i ją zapinam. Schodzę z deptaka i opuszczam plażę. Dopiero na ulicy twarz mi się wykrzywia, wybucham długo dławionym płaczem.

Nie rozumiem, jak to się stało. Jak to się stało, że Marco ma dziewczynę, a ja jestem sama w Maine z trzymiesięcznym dzieckiem? Jak to możliwe, że zaledwie w jedną noc przeistoczył się w kogoś innego? Dlaczego wciąż w tym tkwi? Dlaczego nie przeprosi? Nagle uświadamiam

sobie, że ciągle oczekuję szczerych, płynących z głębi serca przeprosin. „Przepraszam, że zacząłem sypiać z inną kobietą, gdy rodziłaś nasze dziecko, że cię zdradziłem i okłamywałem, traktowałem jak wroga i zniszczyłem cię tak doszczętnie, że nic z ciebie nie ocalało”. Czy tego właśnie oczekuję?

Marco nigdy nie poczuje wyrzutów sumienia, nie okaże skruchy. Nadal uważa, że to on jest ofiarą.

Przypominam sobie wszystko, co przeczytałam o psychopatii. O tym, że osobowość psychopaty nigdy nie jest prawdziwa; że psychopata nie czuje miłości ani prawdziwej bliskości; że w swoich bliskich widzi tylko przedmioty, a nie istoty ludzkie. Przedmioty, które tracą swoją wartość z chwilą, gdy przestają być pożywką dla jego ego. Byłam takim... powiedzmy tosterem... który przestał działać i mieć dla Marca jakiegokolwiek znaczenie. Czy zepsutemu urządzeniu, które ląduje w śmieciach, należą się przeprosiny na kolanach? „Użyłeś mnie, a potem wyrzuciłeś jak śmieć. Jak mogłeś tak od razu mnie zastąpić nowym egzemplarzem? Jak mogłeś?”. Wyobrażam sobie jego metaliczne szlochy.

Gdy pokonuję podjazd, pchając wózek pod górę, oddycham już normalnie. Bawię się z Lulu i ją karmię, mówię jej, że niedługo mi się poprawi. Zerkam na zegar. Jakimś cudem zrobiła się piąta po południu. Wzdycham z ulgą i zaczynam przygotowywać kąpiel dla Lulu. Karmiąc moją córeczkę, zamykam oczy i myślę: „Kolejny dzień. Udało mi się. Dam radę”.

PRZEDTEM

Louisa miała niecałe dwa tygodnie, z czego drugi tydzień spędziła w Maine ze mną i z moimi rodzicami. Na te dziesięć dni przypadło apogeum niemowlęcych kolek: mała przez cały czas albo cicho kwiliła, albo darła się na całe gardło. Na zmianę z rodzicami nosiliśmy ją po kuchni, kołysaliśmy i lulaliśmy, przystając przy lodówce w nadziei, że monotonny szum agregatu w końcu ją uspi. Resztę czasu spędzałam, wisząc na telefonie, szukając w internecie metod na usypianie noworodka albo pisząc do Marca esemesy o treści: „Chyba popełniliśmy wielki błąd” czy „Nie dam rady”. Żaliłam się rodzicom, że nie powinnam była przyjeżdżać do Maine.

– Muszę być blisko mojego męża – powiedziałam przez łyż trzeciego dnia pobytu.

– Jen, wiem, że jest ci bardzo ciężko, ale Marco nie mógłby ci teraz pomóc. Mówił przecież, że podczas urlopu szefa w zasadzie nie będzie go w domu.

Wiedziałam, że gdybym była w Nowym Jorku, przez większość czasu siedziałabym w domu sama, a płacz Louisy nie ustałby jak za dotknięciem magicznej różdżki, mimo to każdą komórką ciała czułam, że obok Marca byłabym spokojniejsza. Tamte dziesięć dni wydawały mi się wiecznością. Gdy w końcu wróciłam do Nowego Jorku po sześciogodzinnej jeździe samochodem, którą, dzięki Bogu, Louisa prawie w całości przespała, padłam Marcowi w ramiona i westchnęłam z ulgą, wypuszczając z płuc powietrze wstrzymywane od dziesięciu dni.

– Moje kochane – powiedział, wdychając woń moich włosów, całując mnie w czoło i usta, a potem przykląkł przy foteliku samochodowym i ucałował Louisę śpiącą jak aniołek.

„No jasne – pomyślałam – akurat dzisiaj postanowiła przespać sześć godzin ciągiem”. Marco był spóźniony do pracy i śpieszył się do wyjścia, ale dzięki tym kilku chwilom obok niego nabrałam otuchy i z mniejszym przerażeniem myślałam o minionych kilku tygodniach. Patrzyłam, jak się krząta, jak zapina koszulę i pasek. „Wszystko będzie dobrze – pomyślałam. – Damy sobie radę. Razem”. Zanim wyszedł, przystanął w drzwiach i rzucił:

– Cholera. Kilka dni temu chyba połamałem łóżko.

– Jak to? – spytałam zirytowana. – To na czym będę dzisiaj spać?

– Jakiś czas jeszcze wytrzyma, ale jedna z nóg się wyłamała, więc jest trochę przekrzywione. Usiadłem na nim z impetem – odpowiedział z zakłopotaniem.

– Grubasie ty!

– Ej! Mam tylko krągły tyłeczek – zażartował, zawiązując krawat i chwytając marynarkę.

– A, i zaniósłem pościel do pralni. Chciałem, żeby na twój przyjazd wszystko było świeże i pachnące, ale byłem tak zabiegany, że nie zdążyłem... a teraz muszę lecieć...

– Marco... chyba żartujesz... Po sześciu godzinach za kierownicą mam ścielić łóżko? Zapomniałeś, że niedawno urodziłam dziecko?

– Kotku, wybacz, ale naprawdę nie miałem czasu. Wiesz, że kocham cię do szaleństwa, prawda? I że jesteś najwspanialszą żonką na świecie?

– Masz szczęście, że tak strasznie się za tobą stęskniłam – powiedziałam, a Marco nachylił się przez próg, by dać mi jeszcze jednego buziaka.

– Ja za tobą też. Za wami obiema. Nie masz pojęcia jak bardzo.

Gdy wyszedł, wdrapałam się na kuchenne krzesło, żeby z góry szafy wyjąć świeżą pościel. Cały czas byłam jeszcze obolała i spuchnięta między nogami, a po sześciogodzinnej jeździe kręciło mi się w głowie.

Ścielenie zajęło mi czterdzieści minut. Westchnęłam z jękiem, gdy w końcu się z tym uporałam, i rzuciłam się na materac. Zapadł się z jednej strony tak bardzo, że o mały włos nie

stoczyłam się na ziemię. Skończyło się na tym, że wieczorem trzeba było wsunąć pod stelaż łóżka walizkę, żeby chwilowo dało się z niego korzystać. Poruszałam się na palcach po sypialni i bezgłośnie wślizgnęłam się pod kołdrę, słuchając cichych pochrapywań Louisy śpiącej w swojej kołysce. Wiedziałam, że za kilka godzin obudzi się na karmienie, więc zacisnęłam powieki, by zmusić się do zaśnięcia. Po chwili jednak przyszła wiadomość od Marca: „Tak się cieszę, że jesteście w domu”. Zamknęłam oczy i poczułam, jak ciało mi się rozluźnia. Pochrapywania Louisy ukołysały mnie do snu.

POTEM

Wczoraj moi rodzice wrócili z Paryża. Dzisiaj mama wpadła na pomysł, żeby sprawdzić, czy Marco wchodził na Seamless, Grubhub czy iTunes w niedzielę, gdy miał wolne, a ja byłam z Louisą w Maine.

– Dam sobie rękę uciąć, że zamówił furę żarcia i filmów i siedział z nią w waszym mieszkaniu przez cały dzień – mówi mama. – I że to wtedy popsuli łóżko.

Staramy się odtworzyć bieg wydarzeń z grudnia i ze stycznia. Tak długo nie miałam o niczym pojęcia i słyszałam już tyle kłamstw, że łaknę choć skrawka prawdy, i jestem w stanie uaktywnić wszystkie moje zdolności amatorskiego detektywa, żeby tylko go zdobyć. Marco nadal uparcie przysyła mi esemes za esemesem: „Nigdy nie miałem z tą kobietą żadnych kontaktów cielesnych”. Jeśli Marco nie zamierza się przyznać, to chcę mieć namacalny dowód, który rozwieje wszelkie wątpliwości.

– Widzę całą masę zamówień na Seamless i Grubhub, ale nie tylko z tego jednego dnia. Zobacz, wyjechaliśmy do Maine pierwszego stycznia, tak? To był czwartek. Marco pracował non stop, przez cały czas. Ale zobacz na piątkowe i sobotnie wieczory. I w następnym tygodniu znowu. Zamawiał jedzenie do naszego mieszkania przez kilka wieczorów, za każdym razem około ósmej. To nie ma sensu. W te dni powinien być w pracy. Podobno pracował cały czas, jak byliśmy w Maine. – Nie potrafię przestać mówić, choć nic z tego nie pojmuję. Nie rozumiem, po co zamawiał jedzenie. – Może jego zmiana zaczęła się aż tak późno?

Nawet w moich uszach brzmi to mało przekonująco. Mama zakłada okulary do czytania i zerka na mój telefon.

– Jen – mówi rzeczowym tonem. – Marco nie pracował, gdy byliście u nas w Maine. Dlatego telefony zaczęły się dopiero jedenastego stycznia. Marco i Viktorija byli razem przez cały czas, gdy po narodzinach Louisy do nas przyjechałaś.

Próbuję sama sobie udowodnić, że to nie może być prawda, ale po raz kolejny mam wrażenie, że brnę przez muł. Myślę szybko. Przecież był wściekły, że nie dostał wolnego po narodzinach Louisy. Niemożliwe, że poszedł na urlop, gdy wyjechałam do Maine, ale argument rwie się, zanim go wypowiadam. A potem mama mówi to, co już poskładałam w całość gdzieś w głębi mojego zamglonego umysłu.

– Gdy byłaś z Lulu w Maine, wziął wolne. I spędził go z Croellą, którą sprowadził do waszego mieszkania.

Louisa śpi, więc jeszcze raz wchodzę na strony poświęcone socjopatii. Otwieram link zatytułowany „Socjopaci: casus braku sumienia”. Dowiaduję się, że takie typy nie mają choćby cienia sumienia. Ilekroć robią coś, co na pierwszy rzut oka jest w powszechnym rozumieniu „dobre” czy „etyczne”, to tylko dlatego, że przynosi im to korzyść. Są wystarczająco inteligentni, by zrozumieć, że społeczeństwo uważa pewne zachowania (zdradę, kłamstwo, morderstwo, gwałt) za „złe”, ale tak naprawdę brak im wewnętrznego poczucia, że jest w nich coś niewłaściwego. Większość socjopatów nie zabija i nie gwałci dlatego, że wie, iż spotkałyby ich za to poważne i nieprzyjemne konsekwencje, nie zaś dlatego, że czyny te są niezgodne z ich zmysłem moralnym, że powstrzymuje ich sumienie. Mają tylko jedną motywację: dążyć do tego, co karmi ich ego, sprawia przyjemność i przynosi korzyść. Pojęcia „dobra” i „zła” są im obce. Uważają się za lepszych od większości ludzi i sądzą, że pozostają ponad powszechnie obowiązującymi zasadami. Za każdym razem słyszę głos, który krzyczy mi w głowie: „Nigdy nie zrozumiesz! Nigdy tego nie zrozumiesz! Nawet nie próbuj! Musisz jakoś nadać sens temu, co ci się przydarzyło”.

Teraz już nie zdrada wypełnia wszystkie moje myśli, ale gwałtowna zmiana w osobowości mojego męża, który z pełnego uwielbienia małżonka stał się obcym człowiekiem – nieczułym i okrutnym. Zawsze jakoś rozumiałam, że niektóre związki się rozpadają, kończą niewiernością i zgorzknieniem. „Szczerze mówiąc, to dało się zauważyć pewne symptomy” – mówiłam znajomym, gdy dochodziły mnie wieści o kolejnym dramatycznym zerwaniu jakiejś długodystansowej pary. „Nie jestem specjalnie zaskoczona” – powiedziałam mamie o sąsiadach przechodzących właśnie bolesny rozwód, tych samych, którzy często dogadywali sobie publicznie i przerzucali się pasywno-agresywnymi docinkami podczas lokalnych imprez. Ale moje własne małżeństwo? Mój mąż? Mój Marco?

Wracam do linku: „Dysonans poznawczy: kiedy serce i umysł widzą inaczej”. Każdy, kto zwiąże się z psychopatą, doświadcza długotrwałego dysonansu poznawczego. Jest to etap, na którym próbuje się połączyć dwie rzeczywistości, pojąć, że człowiek, którego miało się za najlepszego przyjaciela i miłość swojego życia, jest tylko iluzoryczną konstrukcją, i że jedyne, do czego dążył, to najpierw tchnąć w ciebie życie, a potem zniszczyć w najboleśniejszy sposób. Nawet stosunkowo niegroźny socjopata jak Marco, który może być nieświadomy swoich zaburzeń, idzie przez życie z instynktowną potrzebą podboju i niszczenia. Wiele ofiar socjopatów miesiącami wypiera prawdę, uparcie nie chce przyznać, że osoba, w której byli szaleńczo zakochani i która ich adorowała niczym bóstwo, stała się zimna i obojętna. Choć dostrzegają coraz więcej kłamstw i dowodów zdrady, próbują jednak przywrócić i jeszcze raz przeżyć ten cudowny czas początkowego etapu ich związku. W obliczu dwóch sprzecznych rzeczywistości toczą wewnętrzną walkę między sercem a umysłem. Przez pięć lat byłam idealizowana. Przez pięć lat mój świat był niezachwiany, a potem z dnia na dzień roztrzaskał się na kawałki.

– Nic, kurwa, dziwnego – mamroczę pod nosem, czytając o tym, że dysonansowi poznawczemu często towarzyszą ataki paniki. – Z jednej strony mój umysł chce przetrwać nowe dane, z drugiej zaś wołałby je wyprzeć.

W wątku dotyczącym dysonansu poznawczego dostrzegam nagłówek „*Gaslighting* – jedno z niezawodnych narzędzi psychopaty”. Zapytuję się w duchu, co to, u licha jest ten *gaslighting*, i otwieram link. Okazuje się, że to psychologiczne narzędzie, którym posługują się psychopaci, by w fazie dewaluacji zmącić swoim ofiarom postrzeganie rzeczywistości. Jest formą psychicznej manipulacji, która sprawia, że ofiara zaczyna kwestionować swoją poczatalność i wątpić we własne osądy.

Najczęściej polega to na tym, że psychopata zaprzecza czemuś, co powiedział lub zrobił. Jest w tym tak wytrwały i niewzruszony, że jego ofiara zaczyna kwestionować własną pamięć i zdrowie psychiczne. Wracam myślami do dnia, w którym Marco najpierw oznaczył mnie w poście na Facebooku, a potem usunął znacznik. Jakże łatwo przymknęłam na to oko. Jak szybko dałam się przekonać, że pewnie coś mi się pomyliło – może Marco w ogóle mnie nie oznaczył, może z niewyspania poplątało mi się w głowie. A potem uparte wielomiesięczne wypieranie się najpierw istnienia jakiegokolwiek relacji, potem zaś jej fizycznego charakteru. Nawet teraz, bawiąc się w detektywa, wątpię, że kiedykolwiek uda mi się poznać prawdę.

– Chryste, czy Marco kupił sobie jakiś przewodnik socjopaty? – Wzdycham, patrząc na ekran komputera.

Bezwiednie wpisuję w wyszukiwarkę nazwisko agenta nieruchomości. Znajduję jego adres mejlowy. W napadzie furii piszę list i wysyłam. I tak pewnie nie odpowie.

Dwadzieścia minut później dzwoni telefon. Po numerze kierunkowym wnioskuję, że to on. A jednak. Niezdarnie naciskam „Odbierz”.

– Słucham? – mówię z urywanym oddechem.

– Pani Jen? – Głos jest odległy i stłumiony. – Dostałem pani list. Normalnie nie

wtrącałbym się w takie sprawy, ale uznałem, że muszę do pani zadzwonić.

Ledwo go słyszę. Zatykam drugie ucho palcem i zamykam oczy.

– Jakiś czas temu pokazywałem pani mężowi i jakiejś blondynce z Europy Wschodniej dwa mieszkania na Manhattanie. – Jego głos nagle staje się wyraźny i dźwięczny jak kryształ, dopiero po chwili dociera do mnie, że wyłączył głośnik. – To było na początku stycznia. Trzymali się za ręce i całowali. Był tam jeszcze jeden pracownik naszego biura, który może to potwierdzić. Bardzo mi... – Niezręcznie odchrząkuje. – Mówię o tym pani z wielką przykrością.

– Bardzo dziękuję – odpowiadam głosem pełnym wdzięczności. – Bardzo panu dziękuję.

Rozłączam się i biegnę na dół, by opowiedzieć wszystko mamie. Mocno mnie przytula. Płaczę i śmieję się jednocześnie – co za niedorzeczność!

– Nareszcie, Jenny. W końcu znamy prawdę.

– Musisz zachować właściwą perspektywę – mówi mama, gdy po raz trzynasty tego dnia wchodzę na instagramowy profil Croelli. – Pogubisz się w tych wszystkich szczegółach. Musisz mieć pełny ogląd sytuacji. Pomyśl o tym, co już zrobił. Oglądanie nowych zdjęć nie zmieni nic z tego koszmaru, który ci zgotował.

Wiem, że ma rację. Nic, czego się dowiem, nie pogorszy sprawy. A czy będzie miało jeszcze jakieś znaczenie? Staram się skorzystać z rady mamy i spoglądać na to wszystko z poziomu chmur, ale ze sto razy na dzień z hukiem rozbijam się o ziemię. Czy jest z nią teraz? Czy nazywa ją „kochaniem” i „skarbem”? Czy to on jej zrobił nowe zdjęcie profilowe w Central Parku? Wiem, że te rzeczy nie mają znaczenia. Nie zmieniają ciężaru tego, co już się wydarzyło. Zostałam samotną matką, mieszkam z rodzicami, a moje życie legło w gruzach. A mimo to cały czas myślę o Marcu. Obsesyjnie szukam kolejnych dowodów na to, że łączy go z Chorwatką jakaś chora relacja. Oczywiście, wiem, że „są razem” od dawna, ale Marco przysyła mi dziesiątki esemesów dziennie, w których uparcie zaprzecza, że ma jeszcze z tą kobietą cokolwiek wspólnego. Mówi, że pracuje nad „powrotem do zdrowia” i odnalezieniem „dawnego Marca”. Że poczynił postępy i zrozumiał, dlaczego zrobił to, co zrobił (ale... przecież ty nic nie zrobiłaś, Marco? Czy może jednak?). Że chce odzyskać swoją żonę, swoje życie, wszystko, co miał. Gdy proszę go, by usunął ją z grona znajomych na Facebooku i przestał ją obserwować na Instagramie, choćby przez szacunek dla mnie i Louisy, złości się i staje się agresywny albo milczy jak zaklęty. Wiem, że moje prośby są jałowe i dziecinne. Gdyby choć trochę mnie szanował, nie popsułby naszego małżeńskiego łóżka, dowodząc na nim z inną kobietą. Ale chcę go zmusić do odkrycia kart. Chcę, żeby wiedział, iż nie dam się dłużej wodzić za nos. To jakaś niepoważna gra w kontekście tego, co Marco zrobił. Wiem, że sam fakt, iż biorę w niej udział, już jest wygraną Marca. A jednak nie umiem pozwolić mu tak całkiem odejść. Ta popieprzona sytuacja jest lepsza niż nic. Wszystko, co mieliśmy, zostało doszczętnie zniszczone, i jedyne, czego mogę się teraz uczepić, to te esemesy, raz bezwzględne i okrutne, raz kliwne i sentymentalne. Czasem przychodzą jeden po drugim, każdy jakby z innego rejestru. Kochałam tego człowieka i ufałam mu, czułam się uwielbiana, bezpieczna, a teraz zlizuję gorzkie resztki, które rzuca mi na ziemię, ilekroć wyczuje, że pętla na mojej szyi się poluznia. Teraz rozumiem, dlaczego psychopatów nazywa się „heroiną w ludzkim ciele”. Przez pięć lat wpompowywałam sobie do krwiobiegu czystą, nieskażoną psychopatyczną miłość. Teraz mam symptomy odstawienne, choć nawet nie wiedziałam, że jestem uzależniona.

– Nie wiem, czy nie będziesz musiała donieść na mnie do władz, gdy to usłyszysz – zwracam się do Lisy z nerwowym uśmiechem na kolejnym spotkaniu – ale nadal znam hasła Marca do wszystkich profili społecznościowych. Pod tym względem nie jest zbyt rozbagnięty. Często wchodzę na jego profil. Wiem, że nie powinnam... – Wyrzucam z siebie słowa szybko jak serię z karabinu. – Może mam zaburzenia obsesyjno-kompulsyjne.

Lisa się śmieje.

– Ustalmy to od razu. Mam obowiązek poinformować władze w jednym przypadku: gdy będę miała podstawy przypuszczać, że na poważnie myślisz o wyrządzeniu sobie lub komuś innemu krzywdy. Nadal jesteście z Markiem małżeństwem, zgadza się?

Przytakuję.

– No to jestem pewna, że nie dopuszczasz się przestępstwa. Ale pozwól, że zapytam cię o jedną rzecz... Gdy się tam logujesz, to czy odczuwasz uderzenie adrenaliny, a potem zjazd?

– Tak – odpowiadam, energicznie kiwając głową. – Właśnie tak się czuję.

– Przypomina to zachowania obsesyjno-kompulsyjne, zdarza się często u osób, które niedawno doznały traumy. To jeden z mechanizmów, dzięki którym radzą sobie z nią. Powiedziałabym nawet, że to konieczna faza. W pewnym momencie będziesz musiała zastąpić tę reakcję czymś zdrowszym, by nie pozostać na etapie śledzenia każdego jego kroku. Na razie nie musimy się jednak o to martwić. Jesteś dopiero na początku drogi do wyzdrowienia.

– Okej, to dobra wiadomość.

Od razu czuję się lepiej.

– Pozwól jednak, że zapytam cię o coś jeszcze – podejmuje Lisa. – Czego tak naprawdę szukasz na jego profilu? Masz już tysiąc dowodów na jego romans.

– Dobrze pytanie. – Opieram się plecami o kanapę i przez chwilę zastanawiam się nad odpowiedzią. – Chyba nadal gdzieś w środku chcę obserwować interakcje między nimi, bo Marco wciąż zaprzecza, że coś ich łączy. Zachowuje się jak dziecko przyłapano z ręką w słoiku, które mówi: „Wcale nie wyjadam tej konfitury, przysięgam”. Choć rozmawiałam z agentem nieruchomości i nie mam wątpliwości, że Marco miał i ma romans, to jego maniackalne wypieranie się doprowadza mnie do obłędu. Co pewnie przysparza mu dodatkowej frajdy – odpowiadam.

– Nie, to nie ma sensu – mówi Lisa. – Większość mężczyzn, których przyłapano na romansie, albo go kończy, albo z czasem się do niego przyznaje. Marco najwyraźniej kontynuuje romans i mu zaprzecza. Uparcie kieruje twoją uwagę na swoje rzekome „załamanie psychiczne”. To jak próbować ukryć słonia w schowku na szczotki. Wiesz, że ma romans, ale on zachowuje się, tak jakbyś sobie to wszystko wymyśliła. I jakbyś nie miała prawa się na tej kwestii w ogóle skupiać, bo powinnaś się zająć jego problemami zdrowotnymi.

– Właśnie tak. Gdybym miała jakiś namacalny dowód, zdjęcie albo ich esemesy... – Głos mi więźnie w gardle. – Nie wiem... Nawet nie wiem, jak bym się wtedy poczuła.

– No właśnie, dlatego cię o to spytałam. Bo jestem szczerze przekonana, że powinnaś starać się zerwać z Markiem wszelki kontakt. Każda wasza interakcja ma na ciebie negatywny wpływ. Zaburza twoje postrzeganie rzeczywistości na tyle, że zaczynasz wątpić w oczywiste fakty. Żyje w matryksie, a ja nie chcę, żebyś dała mu się tam wciągnąć.

Wychodzę z gabinetu Lisy z postanowieniem, że raz na zawsze zerwę z Markiem kontakt. Przez dwa kolejne tygodnie staram się nie odpowiadać na jego wiadomości i... ponoszę totalną porażkę. Przychodzą codziennie, po kilkadziesiąt, w pełnym asortymencie – od raniących i okrutnych po sentymentalne i czułe. Jestem tym tak wykończona, że podejmuję nieodwołalną decyzję: przez tydzień zero kontaktów z Markiem. Jeśli uda mi się przetrwać ten tydzień, to potem będzie już z górki. To tylko tydzień, dam radę. Wysyłam mu jednozdaniową wiadomość: „Przez jakiś czas nie będę się z tobą kontaktować”. Odpowiada kilka minut później: „Wedle życzenia, Jen”.

Przez pierwsze dwadzieścia cztery godziny przeżywam katusze. Nie zdawałam sobie sprawy, że oscylowanie między pozytywnymi i negatywnymi kontaktami z Markiem dawało mi kopa na cały dzień, po prostu chodziłam jak na haju. Odzwyczajając się od niego powoli już od

kilku miesięcy, ale gwałtowne i absolutne zerwanie kontaktu jest jak odstawienie narkotyku. Czuję się chora, oblewają mnie zimne poty. Cała dygoczę. Kilka razy w ciągu dnia muszę schować się w sypialni, by sobie popłakać.

Kolejne dwadzieścia cztery godziny nie są wcale łatwiejsze. Wpatruję się w telefon. Oddycham głęboko. Karmiąc Louise, od nowa czytam wszystkie wiadomości od Marca. Oglądam zdjęcia z naszego ślubu, miesiąca miodowego, ciąży. Co chwila całuję Louise w główkę, ale jej obraz rozmazuje mi się przed oczami i nie widzę córeczki wyraźnie. Chcę ją zobaczyć, dostrzec, ale tak naprawdę widzę tymczasem tylko to wszystko, co utraciliśmy.

Chodzę z mamą na spacer. Nie wiem, jak jej wyznać, że przechodzę odwyk od bardzo silnego narkotyku, więc mówię w odrętwieniu:

– To naprawdę trudne.

Trzeciego dnia, w drodze na spotkanie z Lisą, dostaję wiadomość od Marca. Uderza mnie fala adrenaliny, skupiam wzrok. „Jennifer, proszę, przyślij mi zdjęcia Louisy. Nie chcę ciągać cię po sądach, ale zrobię to, jeśli będzie trzeba. Dziękuję”. Gryzę paznokcie. Robi mi się niedobrze. Mam wyrzuty sumienia.

Pytam Lisę, co robić.

– Nic mu nie jesteś winna – odpowiada z miejsca. – Jeśli koniecznie chcesz, prześlij kilka zdjęć jego rodzicom. Skoro Marco chce rozwodu, w porządku, niech o niego wystąpi. Niech złoży papiery do sądu.

Błyska oczami. Jest jeszcze bardziej rozszalona niż ja.

– Szkoda, że nie potrafię czuć wściekłości. Zamiast smutku, winy i bólu – mówię.

– Przyjdzie czas i na wściekłość – odpowiada Lisa. – Uwierz mi.

Wieczorem tego samego dnia dostaję kolejną wiadomość. Drżącą dłonią przesuwam po ekranie telefonu. Jestem jednocześnie wystraszona, zrozpaczona i nabuzowana jak kokainista formujący kreskę. Przygotowuję się na jakąś złośliwość albo, co gorsza, coś oschłego i obojętnego. Zamiast tego wyświetla się zdjęcie lewej dłoni Marca, na której połyskuje nasza ślubna obrączka, a pod nim tyrada: „Dużo ostatnio myślałem. Chcę, żebyś wiedziała, że powoli odnajduję mężczyznę, w którym dawno temu się zakochałaś. Chcę też, byś wiedziała, że nigdy, przenigdy nie zamierzam zdjąć tej obrączki z palca. Złamałem jedną z danych ci obietnic, ale tej nie złamię nigdy. Będę ją miał, dokądkolwiek pójdę. Mam nadzieję, że radzisz sobie lepiej niż ja. Nie odpisuj. Po prostu chciałem, żebyś wiedziała”. Czytam tę wiadomość pięć razy, po czym przesyłam ją Nat. „Zdaje się, że Croella go rzuciła, co?” – Nat odpowiada natychmiast.

Zastanawiam się nad jej wnioskiem. Wszystko, co dotąd czytałam o psychopatach, wskazuje, że wyznania miłosne Marca wcale nie oznaczają, że porzucił gonienie za swoimi innymi celami. Świerzbią mnie palce, by odpowiedzieć, by znowu nawiązać kontakt. Zamiast tego wyszukuję więcej informacji na temat psychopatii. Czytam o taktykach stosowanych przez psychopatów podczas fazy idealizacji i po porzuceniu swojej ofiary, gdy chcą na powrót wciągnąć ją w swoje macki. Natrafiam na artykuł, który obszernie omawia strategię zwaną „braniem na litość”. Ponieważ psychopaci obierają sobie za cel osoby szczególnie ufnie i empatyczne, najłatwiej zdobyć nad nimi władzę, odwołując się do ich poczucia przyzwoitości. Psychopata będzie wam wciskał cikliwą historyjkę i otwierał przed wami serce, aż nie dość że zaczniecie mu współczuć z powodu prześladowającego go pecha, to jeszcze będziecie się czuć wyróżnieni, że to właśnie was wybrał na powiernika swych najgłębszych sekretów. Myślę o tych wszystkich wieczorach spędzonych w mrocznych zatęchłych barach. Marco opuszcza wzrok i opowiada o swojej utraconej rodzinie i o życiu w cieniu przez całe lata jako nielegalny imigrant. A ja sięgam nad stolikiem i dotykam jego ramienia, poruszona tą jego wrażliwością, jego szczerymi emocjami.

Piszę do Nat o moim nowym odkryciu – o grze w litość.

Czy Marco to wzorcowy psychopata, czy może widzę to, co chcę widzieć. Może wybieram tylko te cechy, które pasują do schematu, a ignoruję te, które do niego nie przystają. Serce mi się ściska na wspomnienie naszego codziennego życia. Środek sierpnia, upał, Marco smaży w kuchni swoje słynne kotlety... Z rozmachem stawia talerze na stole, a ja mieszam sok żurawinowy z wodą gazowaną i nalewam do szklanek z lodem. Niedzielne poranki, gdy siorbiemy kawę z wielkich kubków. Bieg do Long Island City i uścisk spoconych ciał na mecie. Nie, Marco nie może być psychopata. To chory człowiek, który przeszedł załamanie nerwowe. Wszystko wiruje mi w głowie, gdy odpływając w sen, próbuję odpowiedzieć na dręczące mnie pytanie: skoro naprawdę był chory, to dlaczego nie jesteśmy teraz razem?

Przez następne kilka dni Marco coraz intensywniej zasypuje mnie wiadomościami ociekającymi miłością. Piszę do mnie, do moich rodziców, do Nat, że znalazł pracę w Maine i że szuka teraz mieszkania w Portland. Wpisuję w wyszukiwarkę: „Ignorowanie socjopaty”. Interesujące. Okazuje się, że należy patrzeć na socjopatę jak na trzylatka w ciele dorosłego mężczyzny, bo na takim właśnie poziomie rozwoju jest jego psychika (trzylatki nie wykształciły jeszcze mechanizmów samokontroli ani zdolności do empatii, więc pod względem fizjologii ich mózgi są podobne do mózgów psychopatycznych dorosłych). Co się zaś dzieje, gdy ignoruje się trzyletnie dziecko albo zabierze mu ulubioną zabawkę? Opierając się na obserwacjach mojego wyjątkowo grzecznego siostrzeńca, mogę powiedzieć, że po krótkotrwałych spazmach powinien nastąpić atak szału. To samo się tyczy dorosłego socjopaty.

Zaczynam sobie uświadamiać, że Marco wcale nie odzyskuje swoich prawdziwych uczuć, utraconej miłości do żony i dziecka, tylko przechodzi atak hysterii. Zamykam komputer i staram się nie zwracać uwagi na podszepty cieniutkiego głosiku w mojej głowie: „Ale może, tylko może, naprawdę zaczął zdawać sobie sprawę z tego, co stracił...”.

Mija tydzień, od kiedy ostatni raz napisałam do Marca. Udało się! Nadal jestem rozdygotana, ale poza tym czuję się dobrze. Marco bez przerwy zasypuje mnie miłosnymi wyznaniem, przeplatanymi groźbami sądowymi, a ja milczę jak grób. Postanawiam to uczcić. Proszę moją siostrę i Tima, żeby zajęli się małą, i idę na sesję z Lisą, a potem na pedikiur. Robiłam sobie pedikiur może ze cztery razy w życiu, ale teraz, gdy rozkoszuję się wibrującym skórzanym fotelem i moczę nogi w ciepłych mydlinach, wydaje mi się, że to najwspanialsza rzecz na świecie. Fotel masuje mi szyję, a ja myślę o tym, co powiedziała Lisa o najnowszych esemesach od Marca. Odczytałam jej jeden szczególnie imponujący, w którym udało mu się w jednym akapicie połączyć sentymentalne czułości, groźby sądowe i żądania natychmiastowej deklaracji, czy chce, żeby przeprowadził się do Maine, czy nie.

– Nieźle. Podręcznikowy socjopata.

– Co masz na myśli? – spytałam.

– To, że cały czas peroruje, jaki to wielki uczynił postępek w swoim „zdrowieniu”, jak to szuka pracy i mieszkania w Maine. Klasyka. To, że mówi o „zdrowieniu”, zanim jeszcze wykonał jakąkolwiek pracę. Powrót do normalności zajmie mu lata... mówię poważnie... długie lata ciężkiej pracy. Musiałby nauczyć się empatii i wykształcić w sobie sumienie. I nawet wtedy tak naprawdę wcale nie czułby empatii. Jeśli mam być szczerą, to psychopatia jest w zasadzie nieuleczalna. Nie ma na nią lekarstwa, a samą terapią nie zdziała się tu cudów. Chcę wierzyć, że po latach żmudnej pracy z samym sobą socjopatyczne skłonności mogą u takiego osobnika słabnąć albo przynajmniej może on je sobie uświadomić. Więc gdy Marco twierdzi, że w zasadzie już jest zdrowy, brzmi to jak ponury żart.

Reszta dnia przebiega spokojnie, ale gdy karmię Louisę przed snem, serce zaczyna mi walić i oblewają mnie zimne poty. „O nie – myślę – nie. Bądź silna”. Kładę Louisę do łóżeczka,

ignorując skurcz w klatce piersiowej. Chodzę po kuchni. Nalewam sobie kieliszek różowego wina. Czuję, że zaraz dostanę ataku paniki. Biegnę do sypialni, rzucam się na łóżko i staram się stłumić szloch poduszką. Nie mogę oddychać. Duszę się. „Zadzwoń do mnie, proszę. To pilna sprawa” – piszę do Marca. Pięć minut później dzwoni.

– Co się stało? – powietrze wypełnia jego głos.

To ciepły, zatroskany, słodki głos mojego dawnego męża.

Zły, zły pomysł.

– Po prostu kiepsko to znoszę – mówię. – Nie powinnam była cię prosić o telefon.

– Wszystko w porządku? – pyta, a ja nie potrafię wydusić z siebie ani słowa. – Jen? Obiecuję, że wszystko będzie dobrze. Nie wiem, dlaczego to się stało. Nie wiem, jak mogłem zranić osobę, którą kocham najbardziej na świecie. Ale obiecuję... – Z jego głosu przebija taka żarliwość. – Obiecuję, że wszystko naprawię.

Chciałabym zatopić się w jego ciepłym słodkim głosie.

– Muszę kończyć. Nie powinnam cię prosić o kontakt – powtarzam półprzymtomnie.

Rozłączam się i dzwonię do Nat. Opowiadam jej o ataku paniki.

– Piłaś dzisiaj dużo kawy? Albo jakiś alkohol? – pyta.

Liczę w myślach: dwie filiżanki kawy i kieliszek wina po wyjściu od kosmetyczki.

– Tak. Czy to wzmacnia poczucie niepokoju?

– Na pewno nie pomaga. Wypij szklanek wody. – Zanim się rozłączyłyśmy, dodała:

– Wygląda na to, że przynajmniej zaczął zdawać sobie sprawę, jakim jest durkiem i jak paskudnie się zachował.

Schodzę do kuchni i nalewam sobie szklanek wody. Skupiam się na chłodnym płynie spływającym mi po gardle. W żołądku czuję dokuczliwy skurcz. Sięgam po telefon i wchodzę na swoją pocztę. Drzącymi palcami wpisuję adres mejlowy Marca, a potem jego hasło. I tak się nie uda. Na pewno je zmienił.

– Litości... – szepczę, gdy na ekranie wyświetla się skrzynka.

Pierwsza wiadomość, na jakiej ląduje mój wzrok, to przypomnienie o rezerwacji z OpenTable. Na dzisiejszy wieczór. Otwieram ją. Mercer Kitchen. Rezerwacja jest na wpół do dziesiątej. Zerkam na zegarek. Wpół do dziesiątej. A więc zadzwonił do mnie w trakcie kolacji. Zanim mój umysł w pełni pojmie, co to znaczy, wchodzę na instagramowy profil Croelli. Ostatnie zamieszczone zdjęcie przedstawia wielki pęk białych kwiatów. „Urodzinowy bukiet” – głosi podpis okraszony emotikonką z małą zakrywającą twarz łapkami.

Wnętrznoci wywracają mi się na drugą stronę. Natychmiast przypominam sobie moje dwudzieste ósme urodziny trzy lata temu... „Witamy w Mercer Kitchen”.

– Co za pieprzony gnój! – mówię na głos.

Moja urodzinowa restauracja! Zabrał ją do naszej restauracji! Na jej dwudzieste trzecie urodziny! Z gardła wydobywa mi się jakiś zdławiony bulgot. Wchodzę na forum dla ludzi wychodzących ze związku z psychopatą i otwieram wątek, który kilka dni temu zwrócił moją uwagę: „Dlaczego psychopaci są pozbawieni wyobraźni?”. Czytam wpis po wpisie, a w każdym z nich ludzie opowiadają o podobnych sytuacjach. „Zabrał ją do tego samego miejsca, gdzie spędziliśmy miesiąc miodowy. Jak można być tak pozbawionym wyczucia?” – pisze jakaś kobieta. Przebiegam wzrokiem po wątku i pod sam koniec znajduję odpowiedź moderatora: „To nie tak, że psychopaci z premedytacją zachowują się w sposób okrutny (choć ich okrucieństwo jest im zupełnie obojętne, bo są pozbawieni sumienia). Ponieważ nie wykształcili ugruntowanego poczucia tożsamości, większość życia spędzają na zbieraniu danych i ich analizie. Gdy obserwują, że jakieś zachowanie okazuje się skuteczne, w przyszłości zastosują je wobec innej ofiary”.

Idę na palcach do łazienki na górze. Siadam na sedesie i piszę do Nat, że Marco jest teraz z Croellą w restauracji do której zaprosił mnie trzy lata temu w moje urodziny. „Chrzaniisz?” – przychodzi odpowiedź. „Nie wiem, czy śmiać się, czy płakać” – odpisuję. „Ja parsknęłam śmiechem, gdy przeczytałam twoją wiadomość, a teraz płaczę, bo... przecież... o co, do cholery, chodzi?”

Czytając słowa Nat, sama zaczynam się śmiać. Mój śmiech przypomina raczej histeryczny rechot, po chwili zwijam się w pół, a po policzkach spływają mi łzy. Przed oczami mam twarz Marca. Twarz, która uśmiechała się do mnie w ekstazie, gdy we troje z Sebem tańczyliśmy do *Happy*.

– Marca już nie ma – śpiewam cała zasmarkana, poprzez śmiech i łzy, a potem chowam głowę między nogami. Gluty mieszają się ze łzami. W końcu ocieram twarz papierem toaletowym, wstaję i spoglądam w lustro. – Nie ma go już – powtarzam i splukuję twarz lodowatą wodą.

Choć staram się nie myśleć o moim mężu i tej Chorwatce, wciąż zdumiewa mnie, w jaki sposób Marco złapał tę dziewczynę na swój lep? Co takiego jej mówił? Zastanawiam się nad tym na tyle obiektywnie, na ile potrafię. Wracam myślami do początku naszego związku. Powiedział mi wtedy, że przez lata był nieszczęśliwy i że jestem „aniołem” zesłanym mu przez niebiosy. Czy jej wciskał to samo? Że tkwi w nieszczęśliwym, pozbawionym miłości małżeństwie? Ale przecież wytapetował Facebook i Instagram naszymi wspólnymi zdjęciami... Kilka miesięcy przed narodzinami Louisy umieścił moje zdjęcie i podpisał: „Moja miłość. Moje życie”. Jak to możliwe, by powiedział jej, że jest nieszczęśliwy? I jak to możliwe, że ona mu uwierzyła?

– Nie mógł mówić jej tego samego co mnie. – Zwracam się do mamy na popołudniowym spacerze z Louisą, wypowiadając to, co od miesięcy krąży mi po głowie. – Opowiadał mi, że przez całe lata był nieszczęśliwy, a Nat i jego rodzina to potwierdziły. W ciągu ostatnich trzech lat związku nie mieli z Tanią żadnych wspólnych zdjęć. Zero. Wiem, że nie należy się sugerować mediami społecznościowymi, ale gdy w listopadzie Marco i Viktorija zostali znajomymi na Facebooku, jako zdjęcie profilowe ustawiono fotografię z naszej ciąży sesji zdjęciowej. A Tania nie była jego żoną i nie spodziewała się dziecka. To była zupełnie inna sytuacja.

Zastanawiam się, czy gdyby pięć lat temu Marco i Tania byli małżeństwem, a Tania była w ósmym miesiącu ciąży, uległabym Marcowi? Żołądek mi się ściska na tę myśl.

– Masz rację. To zupełnie inna sytuacja. Ale może wcale nie trzeba było jej przekonywać. Może powiedział, że to wszystko to ustawka, że tylko odgrywał rolę kochającego mężusia, bo zależało mu na zielonej karcie. Może powiedział, że przechodził załamanie nerwowe. Najprawdopodobniej nigdy nie poznamy prawdy.

Mimo to obsesyjnie próbuję zrozumieć.

– Ale dlaczego? Dlaczego chciała się związać z facetem, który ma żonę i dziecko?

Łapię się na tym, że zadaję to pytanie moim znajomym. Padają różne odpowiedzi: „Zawsze się znajdzie jedna na milion. Normalne kobiety na coś takiego by nie poszły, choćby mówił jej nie wiem co”, lub „Marco niczym pies myśliwski wyczuwa w kobietach brak pewności siebie. Wystarczyło, że powiedział jej, jaka to jest wyjątkowa, i już ułożyła się w pozycji horyzontalnej. Jestem pewna”.

Podczas następnej sesji pytam o to Lisę.

– Mógł jej wciskać milion różnych kitów. Najpewniej powiedział, że twoja ciąża była nieplanowana i że zaczął się czuć jak w pułapce.

– Ale gdy się spotkali, zdążył już udostępnić dziesiątki moich zdjęć z ciążowym brzuchem, wszystkie z ckliwymi podpisami, jak to nie może się doczekać narodzin naszego dziecka. Wiem, że mógłby powiedzieć, że kłamał z pierwszego lepszego powodu, ale wydaje się

to trochę naciągane, nie sądzisz?

Lisa milczy przez chwilę.

– Być może nigdy nie uda ci się dojść do tego, co jej właściwie powiedział. Mógł to być banal w rodzaju: „Sądziłem, że jestem szczęśliwy, ale odkąd cię poznałem, widzę to inaczej”. Obrął ją sobie za cel, bo brak jej pewności siebie, a on doskonale wie, jak ją dowartościować. Masz pojęcie, jaką moc mogą mieć słowa: „Dla ciebie gotów jestem zaryzykować wszystko”, wypowiedziane do kogoś, kto przez całe życie szukał potwierdzeń?

Wracam myślami do tej osoby, jaką byłam w czasach, gdy poznałam Marca. Rozpaczliwie potrzebowałam potwierdzenia własnej wartości. Chciałam usłyszeć od innych, że jestem wyjątkowa, bo sama w to nie wierzyłam. Uznałam, że Marco jest moją drugą połówką i że dzięki jego miłości znowu będę „pełna”. Tak bardzo chciałam poczuć magię miłości, być uwielbiana, znaleźć swojego księcia z bajki i stanowić z nim jedność. Nawet gdy dowiedziałam się, że historia z Tanią nie jest jeszcze zakończona, sama się przekonywałam, że jesteśmy z Markiem dla siebie stworzeni, a Tania to tylko przeszkoda na drodze do naszego szczęścia. Zamiast dostrzec w zachowaniu Marca poważną wadę charakteru, usprawiedliwiałam jego kłamstwa i zdrady, widząc w nich środek prowadzący do upragnionego celu – naszej wyśniewanej przyszłości.

– A tak z ręką na sercu... – podejmuje Lisa – ...naprawdę sądzisz, że dojrzała kobieta, która miałaby choć krztynę szacunku dla samej siebie, związałyby się z żonatym facetem, któremu lada moment urodzi się dziecko? Pewnie zagrało tu więcej czynników niż ten jeden...

W końcu pytam Nat, a ona jako pierwsza kwituje to śmiechem.

– Jesteś rozbijająca... W Nowym Jorku są setki dziewczyn takich jak ona. Gwarantuję ci, że wcale nie musiał jej przekonywać. Po prostu miała to w nosie. Wiem, że tam, gdzie dorastałaś, nie miałaś kontaktu z osobami tego pokroju, ale mówię ci, że jest cała masa ludzi, którzy nie znają żadnych granic i którym brak kręgosłupa moralnego. Chcesz to analizować, ale odpowiedź jest banalna: miała to w nosie.

– Myślisz, że są takie kobiety?

Nat znowu parska śmiechem.

– Setki. Tysiące. Zdajesz sobie sprawę, dla ilu ludzi w Nowym Jorku jedyna maksyma życiowa to: „Inni ludzie zwisają mi kalafiorem”? Widziałaś Instagram Croelli? Cały czas publikuje selfie albo mądrości w rodzaju: „Jeśli nie podoba ci się moje podejście, to spadaj”. Pewnie trudno ci się z tym pogodzić, ale na świecie jest dużo złych ludzi. A już na pewno takich, którzy źle postępują.

Rozważam te słowa. Zdaję sobie sprawę, że obsesyjnie chcę pojąć motywację i nastawienie Croelli, bo zrozumienie tego, co dzieje się w głowie Marca, mnie przerasta. To, co zrobił, pozostawiło po sobie ziejącą otchłań. Wiem, że jeśli się w nią rzucę, ja nie odnajdę sensu, żadne światło nie rozbłyśnie; ciemność mnie wessie, i już nigdy nie odnajdę drogi na powierzchnię. „Na jej miejscu mogłaby być każda” – powtarza mi jakiś głos w głowie. Poraża mnie oczywistość tej prawdy. Gdyby nie Croella, padłoby na kogoś innego. Marco polował na kobietę, która nakarmiłaby jego ego, i nie miało większego znaczenia, kto to będzie. Zасыpiając tej nocy, już nie zapytuję się w myślach: „Jak mogłeś mi to zrobić, Marco?”. Teraz chciałabym wiedzieć, jakim cudem udało ci się mnie przez pięć lat oszukiwać.

PRZEDTEM

– O rany, dziś jest dwunasty stycznia. Urodziny Seba! – zawołałam i położyłam Louise w nosidełku z materiału, starannie mocując zapięcie wokół talii.

– Wiem, wiem. Miałem młyn w pracy, no i mała... Kompletnie mi to wyparowało z głowy. – Marco przetarł oczy i upił łyk kawy.

Przez całą noc wstawaliśmy na przemian do Louisy. Było za piętnaście siódma, ale godziny zlewały się w jedno, oboje mieliśmy wrażenie, że jest środek dnia. Marco dołał sobie kawy i usiadł przy stole.

– Myślisz, że dałabyś radę kupić mu dzisiaj jakiś prezent, a ja pogadałbym z Nat i umówił imprezę urodzinową na przyszły tydzień?

– Oczywiście. Pojadę z moimi rodzicami. Wiem, że dużo ostatnio pracujesz. Nadwerężasz się, kochanie.

Pociągnęłam łyk kawy, odstawiłam kubek i zaczęłam chodzić w tę i we w tę po przedpokoju z Lulu w nosidełku.

– Pewnie jest zmęczona, prawda? Przecież prawie wcale nie spała w nocy.

– Nie wiem. – Marco opadł na kanapę. – Może nasze dziecko jest nocnym markiem.

– To akurat dotyczy wszystkich noworodków – zawołałam z drugiego końca korytarza.

– Podobno niemowlaki przed ukończeniem kilku tygodni życia nie odróżniają dnia od nocy.

– Cudownie.

– Hej, mam pewien pomysł – rzuciłam z podekscytowaniem. – Może wszyscy zrobimy Sebowi niespodziankę, gdy po południu wysiądzie z autobusu. Przywitamy go z muffinkami i balonikami? Co o tym myślisz?

– Dzisiaj nie dam rady – jęknął Marco, kładąc nogi na stoliku kawowym. – Idę do pracy na wcześniejszą zmianę.

– Naprawdę? Cholercia. No trudno, to wyjdę po niego z Lulu i moimi rodzicami. Trzeba jakoś uczcić jego urodziny, nie sądzisz?

– Byłoby cudownie, gdybyście mogli coś dla niego przygotować. Szkoda, że nie będzie mnie z wami... Nie znoszę tej roboty.

– To nie fair, że szef każe ci brać tyle nadgodzin. Zwłaszcza teraz. Tylko twoja obecność trzyma mnie w pionie. Mógłbyś z nim o tym pomówić? – spytałam, bujając małą. – Chyba zasnęła. Dzięki Bogu.

– Ten człowiek to wariat, skarbie – powiedział Marco. – Nie obchodzi go, że dopiero co urodziło nam się dziecko. I w nosie ma to, że od dwóch miesięcy nie widziałem swojego syna. Restauracja nie miała w święta takich obrotów, jak się spodziewał, więc teraz trzęsie portkami. Chce, żebym przychodził codziennie na pierwszą po południu, a nie na trzecią, jak zwykle, żeby omawiać ze mną rachunki i strategię. I chce, żebym dzień w dzień wychodził jako ostatni. Więc przez następne kilka tygodni będę wracał dopiero po czwartej nad ranem.

– Marco, to jakiś obłąd... Noce są naprawdę ciężkie i potrzebuję...

– Skarbie, zaufaj mi. Niczego na świecie nie pragnąłbym bardziej, niż móc zostać z tobą i z małą. Odkąd się urodziła, niewiele spędziłem z nią czasu. To doprowadza mnie do szału. Przysięgam, że za kilka tygodni pogadam z szefem. Poproszę o tygodniowy urlop, żeby trochę z wami pobyc.

– Okej. Byłoby wspaniale. – Znowu ziewnęłam i przetarłam oczy. – Jestem wykończona. Naprawdę nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

– Zjedzmy jakieś śniadanie, póki mała śpi – powiedział Marco, wstając z kanapy.

Spojrzał na mnie bacznie. – Chcesz, żebym ją potrzymał, jak będziesz się czesać?

– Och... – Zerknęłam w lustro wiszące na przeciwległej ścianie. – Faktycznie, fryzura jakby piorun we mnie strzelił. – Chyba już od kilku dni nie szczotkowałam porządnie włosów.

– Daj ją. – Marco wyciągnął rękę.

Odpięłam nosidełko i powoli podałam mu Louise. Zaczęłam iść w stronę sypialni, ale po kilku krokach przystanęłam.

– Naprawdę bardzo cię kocham, Marco. Nie spodziewałam się tylko, że to takie trudne... mieć dziecko...

– Obiecuję, że niedługo będzie ci lżej. – Przerwał mi. – Musimy tylko przetrwać ten trudny okres.

– Tak. Jasne – odparłam, zbyt zmęczona, by się sprzeczać. – Niedługo wszystko będzie prostsze. Musi, prawda?

POTEM

Słucham wypowiedzi, które dobiegają z drugiej strony słuchawki, ale w głowie mam pustkę. Co mam zrobić z tymi informacjami? Jak to możliwe, żebym po tym wszystkim mogła jeszcze usłyszeć coś, co mnie zszokuje, wywróci wnętrzności na drugą stronę, a z mózgu zrobi miazgę? Cofnijmy się. Znajoma, która często bywała w Thirsty Owl, napisała mi dzisiaj na Facebooku, że o mnie myśli, i spytała, jak sobie radzę. Powiedziałam, żeby do mnie zadzwoniła, i teraz właśnie rozmawiamy. Opowiedziałam jej całą historię, poczynając od mejla i „platoniczno-związku” przez próbę samobójczą po telefon od agenta nieruchomości i popsute łóżko. Kwituje to westchnieniami i jękami, we właściwych momentach wstrzymując oddech. Gdy sądzę, że rozmowa dobiegła końca, ona zmienia ton głosu.

– Jen... – mówi. – Musisz o czymś wiedzieć. Długo się zastanawiałam, czy ci o tym powiedzieć, i w końcu uznałam, że masz prawo znać prawdę, a teraz wydajesz się na tyle silna, by to usłyszeć.

Myślę sobie: „Usłyszeć co? Co takiego jeszcze mogłabym usłyszeć?”

– Wiesz, dlaczego Steve i Michelle mieli z Markiem na pieńku? Przyłapali go na uprawianiu seksu w Thirsty Owl zaraz po tym, jak otworzyliście... I to trzy razy... Z trzema różnymi kobietami... I zdaje się, że raz nawet jego znajomy, ten Tomas, też brał w tym udział...

– Co takiego? – To jedyne, co jestem w stanie z siebie wydobyć, choć głos mam spokojny.

– Tak mi przykro – mówi koleżanka.

– Nie rozumiem. Po otwarciu restauracji pojechaliśmy na Jamajkę, na nasz skrócony miesiąc miodowy... A nasz związek naprawdę był w fazie miesiąca miodowego...

Myśli wirują mi w głowie. Szukam odpowiednich pytań, które mogłabym zadać. Czy na tym etapie nie powinnam już być w tym zawodowcem? W stawianiu kluczowych pytań dotyczących zdrad mojego męża? Gdy otwieraliśmy Thirsty Owl, byliśmy w sobie zadurzeni po uszy, zaledwie kilka miesięcy wcześniej wzięliśmy ślub... A Marco nadal zarzucał Facebook naszymi zdjęciami.

– Tak mi przykro – powtarza.

Rozłączam się. Rzucam się na łóżko i wbijam wzrok w sufit. Czekam. Czekam na kryzys, na wybuch szlochów. Nic. Wiem, że koleżanka powiedziała prawdę. Że mam w końcu brakujący element całej układanki. Czytałam, że socjopaci nie potrafią być wierni i że w żadnych warunkach nie dochowają wierności dłużej niż przez kilka miesięcy, że nawet na etapie idealizowania swojej ofiary nieustannie poszukują nowych źródeł zaspokojenia. Sądziłam, że jestem wyjątkiem od tej zasady. Rozpaczliwie uczepiłam się tej myśli: skoro przez pięć lat był mi wierny, to nie może być socjopata. Teraz mam pewność. Marco nie postradał zmysłów. Oszukiwał mnie od samego początku. Jest drapieżnikiem. A ja – tymczasem – jego najdorodniejszą zdobyczą.

Wkładam buty do biegania i wciskam nabrzmiałe piersi w sportowy stanik. Narzucam spraną koszulkę i wychodzę z domu. Po drodze dzwonię do rodziców.

– Idę pobiegać. Lulu pośni jeszcze z godzinę.

Wybiegam na Haven Road, skręcam w prawo w Shore Road, coraz szybciej przebiegam nogami. Wychodząc, nie wiedziałam, dokąd pobiegnę, ale teraz wiem. Nabieram prędkości, w płucach czuję pieczenie, wciągam zimne, mroźne powietrze. Skupiam się na oddychaniu i moje pogmatwane myśli powoli zaczynają się rozplątywać, aż pozostaje tylko ta jedna. Skręcam w lewo do Fort Williams, wchodzę tylnym wejściem i prześlizguję się przez niewielką dziurę

w płocie. Mrużę oczy na widok połyskującej od słońca wody. Choć nogi niosą mnie ku mojemu celowi, wolałabym zawrócić. Zmuszam się, by biec coraz szybciej i szybciej. „Dobiegij tam, Jenny”. Ostatni odcinek wiedzie pod górę i przez sekundę wydaje mi się, że nie dam rady; oczy mi wilgotnieją, po twarzy spływają strugi potu, w płucach uczucie pieczenia. I właśnie wtedy pojawia się ta myśl: „Dasz radę. Teraz podołasz wszystkiemu”.

Wdrapuję się na wzgórze, wydłużając krok i pojękując na kilku ostatnich metrach. W końcu je widzę. Schody, na które weszłam w dniu mojego ślubu. Nie zatrzymuję się, żeby zaczerpnąć tchu; muszę biec dalej albo zawrócić. Biegnę w górę, wspominając każdy krok, który rok temu na nich stawiałam, prowadzona do Marca przez tatę. Tym razem jestem sama. Zatrzymuję się dopiero w miejscu, gdzie tata pocałował mnie w policzek i przekazał Marcowi. Pamiętam, jak wielką przepęniała mnie miłość. Jak patrzyłam na mężczyznę stojącego naprzeciw mnie, pewna, że czeka mnie z nim wieczne szczęście. Teraz wiem, że trzeba pozwolić mu odejść. Bo tak naprawdę ten mężczyzna nigdy nie istniał. Nie ma „dawnego Marca” i „nowego Marca”. Marco zawsze był fantomem – najlepszą sztuczką magiczną, jaką widziałam w życiu.

DYM

Biegam. Codziennie. Nie sądziłam, że kiedykolwiek to powiem. Biegnę, wciąż wlokąc za sobą przeszłość, ale jednak w stronę przyszłości. Każdego ranka wdycham słodki zapach skóry mojej córki, a gdy około dziewiątej mała zapada w poranną drzemkę, trwającą zwykle około godziny, wciągam na siebie sportowy strój, zasznurowuję jaskrawopomarańczowe buty i wybiegam na dwór. Nadal do końca nie wiem, dokąd zmierzam, ale dobrze się czuję w ruchu, pocąc się, zmuszając mięśnie do wysiłku. Kilka miesięcy temu, gdy byłam pogrążona w depresji i chaosie, moje najmniejsze dżinsy wisiały na mnie jak na tyczce. Teraz kształty mi się nieco zaokrągliły, skórę mam muśniętą słońcem, i choć na brzuchu, dawniej płaskim i wyrzeźbionym, jest ona nieco zwiotczała i obwisła, to gdy spoglądam w lustro, widzę, że wyglądam lepiej niż kiedykolwiek. „Co za ironia: – rzucam w duchu i uśmiecham się nieznacznie. Odwracam się od lustra, zbiegam ze schodów, macham do mamy, wychodzę na dwór i nagle przystaję. Wracam do środka i chwytam kluczyki do samochodu.

– Muszę coś załatwić, wrócę za godzinę – wołam, wybiegając.

Czterdzieści pięć minut później wpatruję się w kobietę siedzącą naprzeciw mnie. Jej blond włosy kończą się tuż za linią żuchwy, przycięte elegancko na boba; spojrzenie ma jasne i przenikliwe.

– I jak się pani podoba? – pyta rudowłosa fryzjerka, stojąca za moim fotelem.

– Cudownie – odpowiadam, przeciągając dłonią po gładkich włosach.

Nagle przenoszę się do baru, do pierwszego wieczoru spędzonego z Markiem, i myślę o tej dziewczynie, która nerwowo nawijała pasmo włosów na palce.

– Na pewno? Jakoś pani posmutniała – mówi fryzjerka z zatroskanym uśmiechem.

– Na pewno. Bardzo mi się podoba. Dziękuję. – Znowu przejeżdżam dłonią po jedwabistej tafli włosów. – Myślałam tylko, jak dużo ich kiedyś było.

– Potrzebowała pani zmiany, moja droga.

– I to jak!

Wieczorem karmię Louise. Leciutko naciskam kącik jej ust, żeby poluźniła uścisk na moim sutku, a ona odrywa się ze zdziwieniem. Na sekundę otwiera oczy i macha rączką. Nagle, po raz pierwszy, dostrzegam moją córkę. Tak naprawdę dostrzegam. Jakbym zdjęła zaparowane okulary, o których istnieniu nawet nie wiedziałam.

– Jesteś taka piękna – mówię w zachwycie. – Teraz naprawdę cię widzę.

Ma jasnobrazowe włoski i najpiękniejsze błękitne oczy, jakie kiedykolwiek widziałam. Uśmiecha się do mnie.

– Mój Boże, naprawdę cię widzę – powtarzam.

Opary smutku, które spowijały mnie przez ostatnie pół roku, na chwilę się rozwiewają. Muskam palcem jej policzek, mówię „Ciii...” i całuję ją w główkę. Jej włosy pachną miodem. Na krótką chwilę znika cały świat i istnieje tylko ta maleńka dziewczynka. Znowu ją całuję i kładę do łóżeczka, a potem na palcach wychodzę z pokoju, wstrzymując oddech, gdy drzwi jak zwykle skrzypią.

Idę do sypialni. Na stoliku nocnym leży telefon i mnie prowokuje. Nie wchodziłam dziś na profil żadnego z nich. „Nie rób tego. Nie rób”. Ale moje palce poruszają się niezależnie od ciała, rozedrgane, przebiegają po znakach. Marco już nie może mnie zranić. Już jestem ponad tym. Tak przynajmniej sobie mówię. Na jego profilu nie ma nic nowego i zanim się orientuję, zaglądam do niej. Opublikowała nowe zdjęcie. W brzuchu czuję mieszaninę strachu, adrenaliny, niepokoju i mdłości. Wytężam wzrok, powiększam je i widzę... że ma na sobie piżamę mojego

męża. Byłego męża. Byłego, do cholery, byłego, Jenny. Piżamę, którą kupiłam mu dwa lata temu na gwiazdkę. W czerwono-zielono-białe paski. Marco nosił ją przez święta, a potem zrobił z niej spodnie do chodzenia po domu. Przesiadaliśmy na kanapie, wcinając chińszczyznę na wynos, on w piżamie, a ja w moich ciepłutkich mokasynowatych kapciach. A po opędzlowaniu tłustego posiłku kładłam głowę na jego kolanach otulonych miękką bawełną.

W sercu ropieje mi rana. A jednak... jednak nadal może mi zadać ból. Przyglądam się zdjęciu. W gardle rośnie mi kula. Czekam. Nie płaczę. „Wolno ci płakać, to nic złego” – mówię sobie w duchu, ale nadal nic. Wracam na swój profil. „Croella zamieściła zdjęcie Marca w piżamie, którą kupiłam mu na gwiazdkę. Ale nie płaczę” – piszę do Nat. „Nie do wiary! Czy bezczelność tej pary dupków ma w ogóle jakieś granice? JAKIEKOLWIEK? Tylko pamiętaj: masz prawo płakać” – odpisuje. „Wiem, ale teraz muszę przestać ich oglądać. W ten sposób tylko rozdrapuję rany. Nie mogę tego sobie robić”.

Tak. Postęp. Nagle dociera do mnie, że brak łez na widok dziewczyny mojego męża w piżamie, którą mu sprezentowałam, to krok w dobrym kierunku. Śmieję się na głos i zamykam oczy.

Jestem tak zmęczona, że samo to słowo wydaje mi się zbyt trudne, by je wypowiedzieć w myślach – trzy cholerne sylaby. To zmęczenie, od którego szczypią oczy, zaciska się szczęka, a kości sztywnieją. Od czterech miesięcy nie przespałam więcej niż cztery godziny. Louisa budzi się tylko raz w nocy, więc mój sen dzieli się na dwie trzy- albo czterogodzinne fazy. Próbowałam kłaść się wcześniej, tyle że myśli mi wirują w głowie i dopiero koło północy udaje mi się zapaść w nerwowy, niespokojny sen.

Minęło pół roku, odkąd jestem sama, i teraz co innego mam w głowie. Zamiast wciąż na nowo rozpamiętywać szczegóły mojego związku z Markiem, które doprowadziły do tak smutnego końca, albo wyobrażać sobie Marca i Croellę uprawiających nieokiełznany zwierzęcy seks (przecież popsuli łóżko), myślę teraz o Louisie. O tym, że będzie dorastać bez ojca. Że będzie ją dręczyć poczucie, że ma jakąś fundamentalną skazę. Że oglądając zdjęcia z naszego ślubu i z okresu sprzed jej narodzin, gdy byliśmy w sobie bez pamięci zakochani, będzie myśleć – niezależnie od tego, ile razy będę jej to wszystko tłumaczyć (i jak w ogóle będę to tłumaczyć?) – że to ona... Że to jej przyjście na świat wszystko zniszczyło, popsulo. Powtarzam sobie, że będzie wiedziała, jak bardzo jest kochana, i że dorastając, będzie otoczona silnymi mężczyznami, a ja kiedyś powiem jej prawdę (w odpowiednio przemyślanej wersji) o jej ojcu i o tym, jakie ma wady. Czuję też gdzieś w środku, że prawdopodobnie znajdę mężczyznę, który ją razem ze mną wychowa. Dobrego człowieka, który zostanie jej ojcem, będzie układać ją do snu, czesać jej włosy, odrabiać z nią lekcje, uczyć ją jazdy na rowerze, spędzać z nią wszystkie te chwile, które znaczą więcej niż więzy genetyczne. A jednak serce mi pęka na myśl, że Louisa kiedyś dowie się prawdy o swoim biologicznym ojcu. Już nie boli mnie moja własna rana. Teraz boli mnie to, co czeka moją córkę. Bo to o wiele gorsze uczucie.

Ostatnio mam wrażenie, jakbym się cofała. Cały czas męczą mnie mdłości, a niepokój powrócił z pełną siłą. Przed kilkoma dniami poszłam z Louisą do galerii handlowej. Gruchała w wózku, a gdy przemykałyśmy przez Macy's, zwróciła uwagę grupki emerytów.

- Prześliczne maleństwo – zaświergotała siwa kobieta ze sznurem pereł na szyi.
- Bożesz ty mój, co za aniołek! Miłego dnia! – zawołał za nami korpulentny starszy pan.
- Dziękuję – powiedziałam do wszystkich i z uśmiechem na ustach popchnęłam wózek w stronę H&M.

Postawiłam wózek w korytarzu między przebieralniami i zostawiłam uchylone drzwi, żeby cały czas mieć Lulu na oku. Przymierzyłam dwie pary džinsów i kolorową luźną koszulkę, a w tym czasie Louisa zdążyła podbić serca dwóch dziewczyn z boksów obok.

– O rany, chyba nachodzi mnie ochota na dziecko! – powiedziała brunetka.

Wysłałam ze sklepu z dzinsami i koszulką, zapakowanymi w torbę upchniętą w koszu pod wózkiem, i gdy wjechałyśmy na wyboisty podjazd przed domem moich rodziców, Louisa była już gotowa do drzemki. Czułam się dobrze, naprawdę dobrze, i po południu opublikowałam na Facebooku autoportret w nowym stroju z podpisem: „Cudowne wyzwolenie”.

Teraz leżę zwinięta w kłębek na łóżku, a w żołądku czai się stary znajomy lęk. Mam wrażenie, że świat chichocze za moimi plecami: „Myślałaś, że zrobiłaś postępy? No to ci pokażę, jaka jesteś słaba”. Znowu straciłam apetyt, oczy mam zaszkłone i martwe. Rok temu byliśmy z Markiem we Francji, spacerowaliśmy, trzymając się za ręce, po brukowanych ulicach prowansalskiej wioski. Louisa, rosnąca w moim brzuchu, była jeszcze za mała, by przechodnie zauważyli jej obecność, więc przy każdej okazji dzieliliśmy się tą radosną nowiną z nowo poznanymi ludźmi.

– Kotku, powinnaś zamówić sobie dużą porcję, no bo... wiesz... – Marco położył mi dłoń na brzuchu i uśmiechnął się z dumą do siwowłosej kobiety, pomagającej mi wybrać ręcznie tkaną tunikę na jednym ze stoisk na niedzielnym targowisku.

Myślałam, że skończyłam już opłakiwać tego potwora. Byłam pewna, że weszłam w etap zdrowienia. Teraz jednak, gdy leżę przy Lulu, zdaje mi się, że jestem w punkcie wyjścia. Czuję się jak w pułapce. Jestem samotną trzydziestojednoletnią kobietą z dzieckiem, mieszkającą z rodzicami. Ilekroć myślę o przyszłości i o tym, jak pokonać przepaść między chwilą obecną a dalszym życiem, ściska mnie w żołądku i czuję, jakbym się dusiła. Mówię o tym Lisie podczas jednej z naszych sesji.

– To dobre wieści – stwierdza.

– Co konkretnie? – pytam zdumiona.

– To, że zajmujesz myśli czymś innym niż tylko tym, co się stało, traumą, zdradą, zawodem miłosnym. To krok naprzód – wyjaśnia Lisa, zrzucając swoje zielone mokasyny i podwijając nogi pod siebie.

– Hm, nie myślałam o tym w ten sposób. Myślałam, że tkwię w jakimś koszmarnym martwym punkcie, i choć ta cała mgła rozpaczy się trochę przeredziła, to wciąż, do cholery, nie mam pojęcia, co ze sobą począć.

– To zupełnie normalne. Przechodzisz przez naturalny proces zdrowienia. Wychodzisz z szoku i kompletnej rozsypki, przechodzisz przez okres żałoby i zaczynasz myśleć o przyszłości. Widzisz, jaki to wielki postęp? Że w ogóle przyszłość pojawiła się na horyzoncie?

Supel, który mam w żołądku, rozluźnia się po raz pierwszy od wielu dni. Stres, niepokój i przygnębienie to dobre objawy?

– Ale... – mówię z niepokojem – ...nie mam żadnych umiejętności, które mogłabym wykorzystać w Portland. Często o tym teraz myślę. Przez ostatnie siedem lat w Nowym Jorku próbowałam swoich sił w aktorstwie... Jak teraz utrzymam siebie i dziecko?

Już któryś miesiąc z kolei żyję dzięki moim czterem kartom kredytowym. Marco nie przysłał ani centa; wiem, że niedługo będę musiała iść do pracy. Myśl o kilkutyśiącym długu, który już zaciągnęłam, nie daje mi spokoju. A czas ucieka.

– Siedzę tu i patrzę na inteligentną, piękną, młodą kobietę. Jestem pewna, że będziesz jeszcze szczęśliwa. Gwarantuję ci, że gdybyś mogła zobaczyć siebie taką, jaką będziesz za pięć lat, przysłyby niepokój i zdenerwowanie. Wiem, że łatwo mi tak sobie tutaj siedzieć i mówić, ale to wszystko prawda. Ile masz lat, przypomnij mi, proszę.

– Trzydzieści jeden – odpowiadam i krzywię się. – Trochę za dużo, żeby zaczynać wszystko od nowa.

– Żartujesz? – Lisa kwituje to szczerym śmiechem. – Trzydzieści jeden? Jesteś taka

młoda. Ja w tym wieku nawet jeszcze nie znałam swojego męża.

Patrzę na Lisę w zdumieniu. Sądziłam, że ma trzydzieści parę lat, może nawet mniej. Czuję w ciele jakąś lekkość, gdy docierają do mnie jej słowa.

– Ale... – znów zaczynam, pełna wątpliwości. – Martwię się też tym, że moje życie zostało wywrócone do góry nogami, że zaniedbałam karierę, a Marco idzie do przodu, jakby nic się nie stało. Jakbyśmy z Louisą w ogóle nie istnieli. Jeśli wierzyć Facebookowi, dostał nową atrakcyjną pracę. Został dyrektorem generalnym sieci restauracyjnej. – Splatam palce i biorę głęboki oddech. – Czasem dostaję przez to napadów paniki.

– Rozumiem. Ale zaczekaj... Patrzyć na to z punktu widzenia osoby, która nie jest socjopatą. Więc owszem, to zupełnie normalne, że ma się takie myśli i nurtuje ciebie taki niepokój. Jest jednak pewna rzecz: Marco zachowuje się według schematu: krzywdzić i zdradzać każdego, dosłownie każdego, kto szczerze go pokocha. Sądzisz, że ktoś taki może wieść szczęśliwe życie i czuć się spełnionym? Wiem, że to trudne z twojej perspektywy, ale gdy staniesz z boku i pomyślisz o tym, co już wiesz, to zobaczysz historię zdrad i krzywd. Wiesz, że jest patologicznym kłamcą, wiesz, że chorobliwie potrzebuje prowadzić podwójne życie, że nie potrafi kochać ani nawiązywać zdrowych relacji... No to na czym miejscu wołałabyś być, tak w dłuższej perspektywie? Swoim czy jego?

Uśmiecham się.

– Na swoim. I to zdecydowanie. – Milknę i po chwili dodaję: – Wiesz, co jest w tym wszystkim najdziwniejsze? Że przez całe to doświadczenie nabrałam większej pewności siebie w kontaktach z ludźmi. Kiedyś nawet drobne interakcje wywoływały we mnie niepokój, który zagłuszałam przesadną uprzejmością. Chyba zawsze szukałam akceptacji i łaściłam się do ludzi. A teraz mam to gdzieś. Nie chodzi o to, że stałam się wredna czy nieczuła, ale już nie wysiłam się, by być szczególnie miłą, dowcipną, czarującą tylko po to, by zaskarbić sobie czyjąś sympatię. Na przykład, kupując ostatnio w Targecie koszulę, wcale się nie stresowałam przy kasie tak jak kiedyś. Wdaliśmy się z kasjerem w miłą naturalną pogawędkę i tyle. To wielka ulga.

– Wszystko się zgadza. Zaczynasz postrzegać innych ludzi jak odrębne osoby, z ich własnymi życiorysami i problemami. Zdałaś sobie sprawę, że cię nie osądzają, nawet o tobie nie myślą, bo mają własne sprawy. Wydaje mi się, że wcześniej postrzegałaś obcych ludzi zawsze przez pryzmat samej siebie, jako przedłużenie własnej osoby. Dlatego przesadnie martwiłaś się, co o tobie myślą. Teraz zrozumiałaś, że większość ludzi żyje własnym życiem i nie ma czasu zajmować się twoim.

– Masz rację. Chyba tak właśnie jest – potwierdzam, zakładając nogę na nogę. – A jednak cały czas oscyluję między skrajnymi emocjami. Raz czuję się dobrze, innym razem wracam do punktu wyjścia. Kiedy w końcu na dobre „wyzdrowieję?” – pytam z niepokojem.

– Należysz do osób, które zawsze chcą przyszpilić problem i znaleźć dla niego najskuteczniejsze rozwiązanie, prawda? – pyta Lisa z uśmiechem.

– Tak. Przyznaję.

– No więc ten proces, niestety, nie będzie przebiegał liniowo. Wiem, że chciałabyś mieć listę i odhaczać na niej kolejne punkty: wyparcie, smutek, złość. Ale to tak nie działa. Nie jest takie proste. Mogę ci jednak powiedzieć jedno: odwalasz teraz kawał dobrej roboty. Na szczęście nie rzucasz się w nową relację w nadziei, że przeskoczysz kilka stopni naraz, angażując się w nowy związek. Wtedy kobiety wdają się w bardzo szkodliwe schematy i sytuacje. – Lisa spogląda na mnie z uwagą. – Może tego nie dostrzegasz, ale wykonujesz dobrą pracę i posuwasz się do przodu. Zaufaj mi. Warto byłoby zacząć się zastanawiać... może już jesteś na to gotowa... nad tym, co takiego przyciągnęło cię do Marca.

– To znaczy w jakim stopniu to była moja wina? – pytam z niepokojem.

– Nie – odpowiada Lisa stanowczo. – Nie do tego zmierzałam. Chodziło mi o to, żebyś zrozumiała, jaka część ciebie Ignęła do kogoś takiego jak Marco. Jeśli wykonasz tę pracę z samą sobą, jeśli uświadomisz sobie te konkretne aspekty własnej osobowości, zaczniesz odzyskiwać siłę.

Milczę przez chwilę, zbierając myśli. Co takiego dostrzegł we mnie Marco, czego nie widziałam sama?

– Podobało mi się, że czułam się przy nim jak księżniczka z bajki. – Powoli wypowiadam słowa. – Podobało mi się, gdy byłam adorowana.

Lisa potakuje, kiwając głową, jakby już wcześniej wiedziała, co zamierzam powiedzieć.

– Zastanawiające jest to, że na początku waszego związku udało ci się zignorować i odsiać tak wiele informacji na temat Marca. Na przykład to, że miał dziewczynę, że kogoś okłamywał i ranił. Udało ci się spuścić na to zasłonę, żeby nie burzyło twoich własnych celów. Myślę, że to na tym powinniśmy się teraz skupić. Jak deformujesz albo odsiewasz informacje, żeby obraz pasował do twoich oczekiwań.

– Boże... – Splatam palce. – To trudne.

Przez resztę spotkania rozmawiamy o tym, jak wybieram to, co chcę widzieć, a odrzucam to, co nie pasuje do mojej wizji. Lisa twierdzi, że do pewnego stopnia wszyscy tak postępujemy, ale z jakiegoś powodu ja rozwinęłam tę skłonność na tyle, że zaczęła mi szkodzić. Zawsze uważałam się za optymistkę, ale teraz zaczynam się zastanawiać, gdzie leży granica między optymizmem a urojeniem. Tak bardzo chciałam wierzyć w bajkę, że zamykałam oczy na istotne wady charakteru mojego partnera. Do tego stopnia byłam przywiązana do swojego przekonania, że Marco jest tym jednym jedynym, że karmiłam się wszystkim co „dobre” (adoracją, intensywnością uczuć, chemią w łóżku), ignorując wszystko co „złe” (kłamstwa, zdradę, mroczną przeszłość).

– Można by odnieść wrażenie, że na przestrzeni zaledwie kilku tygodni postanowiłaś, iż spędzisz z Markiem całą wieczność, odrzucając wszystkie spostrzeżenia, które z tym kolidowały.

– Lisa milknie na chwilę, dając mi czas do przetrawienia tych słów. – Pierwsze miesiące są dla związku okresem próby, czasem, by określić, czy naprawdę chce się być z tą drugą osobą.

– Jezu... masz rację. W tamtych dniach czułam, jakby to rzeczywiście była sprawa życia i śmierci.

Zastanawiam się nad tym, jak ważne jest zbudowanie poczucia silnego ja i wyznaczenie własnych granic, i dochodzę do wniosku, że nigdy wcześniej nie wykształciłam ani jednego, ani drugiego. Po raz pierwszy w życiu moje myśli, uczucia i czyny zaczynają ze sobą współgrać. Może dla innych to oczywistość, ale gdy teraz coś nie sprawia mi radości ani nie daje spełnienia, po prostu się w to nie angażuję. Wcześniej rozpaczliwie chciałam zadowolić wszystkich wokół. Nigdy nie zadałam sobie trudu, by określić, co tak naprawdę sama czuję i czego tak naprawdę chcę. To niesamowite uczucie, gdy angażujemy się w to, co sprzyja naszemu emocjonalnemu komfortowi, a stroniemy od tego, co go zaburza. Z jakiegoś powodu nigdy nie dotarło do mnie, że mam wybór, że mogę tworzyć mój świat według własnych reguł.

Wychodzę z gabinetu Lisy na oblaną słońcem ulicę i kieruję się do kawiarni na rogu. Nadal ściska mnie w piersi niepokój, czuję, jak rozprzestrzenia się po moim ciele, zatrzymując się w głowie i brzuchu, ale teraz miesza się z nim coś jeszcze. Staję w kolejce za trójką innych osób, żeby zamówić kawę, i skupiam się na tym nowym, zupełnie nieznanym doznaniu, które mnie wypełnia. Czym ono jest? Podchodzę do lady i już mam złożyć zamówienie u sprzedawcy hipstera, gdy nagle uświadamiam sobie, że to uczucie to nadzieja.

– Poproszę małe latte – mówię z uśmiechem, który chłopak natychmiast odwzajemnia z serdecznością.

Napawam się tą ulotną chwilą przepływającego między nami ciepła. Rok temu uśmiechnęłabym się promiennie i poczuła trudny do zdefiniowania niepokój: co ten sprzedawca o mnie pomyślał? Czy uważa, że jestem miła? Muszę być superuprzejma, żeby zatrzeć przykre wrażenie, jakie zrobiła ta arogancka kobieta przede mną. Teraz nie ma we mnie miejsca na uczucia tego rodzaju. Patrzę, jak chłopak bierze moją pięciodolarówkę i wydaje mi resztę; zastanawiam się, jakie ma życie, czy może jest studentem Akademii Sztuk Pięknych, który zarabia w wakacje na chesne, z dala od domu, na własnym garnuszku, i jak sobie radzi z tą swoją nową wolnością i nowymi obowiązkami.

– Dziękuję – mówię uprzejmie, patrząc mu w oczy, gdy podaje mi drobne.

– Miłego dnia.

– Nawzajem.

Po południu słyszę sygnał mojego telefonu. Na ekranie wyświetla się „Marco”. Czuję skurcz w żołądku. Nie odpowiadam na próby kontaktu z jego strony już od wielu tygodni, ale on wciąż znieścacka przysyła mi wiadomości, na które reaguję paniką. Sięgam po telefon i odczytuję: „Miałem skończyć z tą kelnerką. Wykorzystała mnie, gdy byłem pijany, i nie miałem odwagi ci o tym powiedzieć”. O czym on mówi? Jaka kelnerka? Musiał się dowiedzieć, że koleżanka powiedziała mi przez telefon o tej kobiecie z Thirsty Owl. Serce mi przyśpiesza. Zanim się orientuję, co robię, już odpisuję: „Co to znaczy skończyć?”. „Chciałem ją ukatrupić. Zepchnąć ze schodów w restauracji. Nikt by się nie dowiedział”. Z niedowierzaniem wpatruję się w ekran. Ukatrupić? Przez chwilę zastanawiam się, jakie to wywołuje we mnie uczucia. Nie, nie boję się. Nie jest mi też smutno. Czuję coś nieokreślonego. Przechodzi mnie dreszcz. Już mam mu odpowiedzieć, ale Lulu wybudza się właśnie z drzemki i płacze, wyłączam więc telefon.

Godzinę później idę korytarzami Targetu, pchając przed sobą wózek. Umówiłam się z mamą i ciotką Julią na zakupy i przyjechałam parę minut wcześniej. Powoli mijam wieszaki z ubraniami, rozglądając się po wielkim i pustym sklepie. Po dziewięciu latach spędzonych w Nowym Jorku nie zdążyłam się jeszcze przyzwyczać do tutejszego prowincjonalnego komercjalizmu, bez cienia uniżonego tonu i ciągłego naruszania przestrzeni osobistej.

– O, Mags, widzę je!

Słyszę znajomy głos ciotki wołającej od wejścia w kierunku wieszaków, obok których przymierzam bluzkę w paski.

To jej jako jednej z pierwszych osób wyjawiałam prawdziwy powód mojego powrotu do Maine. Pod koniec marca, po miesiącu natrętnych pytań zadawanych moim rodzicom na temat tego, dlaczego nasza wizyta tak się przedłuża, przyszła do nas na kawę. Siedziałam z Louisą przy stole i nerwowo skubałam leżący przede mną pączek.

– Ciociu, muszę ci coś powiedzieć – wydusiłam w końcu. – Tak naprawdę przyjechałam tu z Louisą, bo odkryłam, że Marco ma romans. Postanowiłam wyprowadzić się z domu i nie wracać tam, dopóki nie podejmę jakiejś decyzji.

Wbiłam wzrok w kubek z kawą, a gdy podniosłam oczy, zobaczyłam, że ciotka robi się purpurowa, a po policzkach ciekną jej łzy. Opadła na fotel i jedyne, co była w stanie z siebie wydobyć przez kolejne kilka minut, to powtarzane raz po raz:

– Co takiego? Co takiego?

Gdy zobaczyłam, że płacze, sama wybuchłam głośnym szlochem. A potem dołączyła do nas i mama, płacząc i przytulając ciotkę.

– Ale przecież dopiero kilka miesięcy temu wzięliście ślub... – powiedziała w końcu Julia. – Nie rozumiem...

– No to witaj w klubie, ja też nie – skwitowałam z niewyraźnym uśmiechem, ocierając oczy serwetką.

Opowiedziałam jej o mejlu, o zmianie, jakz zaszła w Marcu, o jego odrętwieniu emocjonalnym i próbie samobójczej. Całkiem zapomniałam, że gdy mój kuzyn Luke był małym chłopcem, pewnego dnia mąż ciotki zniknął, zabierając wszystkie oszczędności, i nigdy nie wrócił. Ciotka kilka lat później wyszła ponownie za mąż za mojego wujka Sama, a cała rodzina pochowała pierwszą część jej życia w czeluściach pamięci, gdzie pokryły ją wspomnienia gromadzone przez kolejne dwie dekady. Ciotka powiedziała, że przez najbliższe kilka lat będzie mi bardzo ciężko, ale że w końcu dojdę do siebie.

– Musisz opłakać rodzinę i przyszłość, którą sobie wymarzyłaś. Musisz przejść przez cały cykl świąt, urodzin i wakacji, zanim rana się zasklepi. I nawet wtedy wszystkie „pierwsze razy” będą bolesne: gdy Louisa po raz pierwszy stanie w łóżeczku, gdy powie pierwsze słowo, zrobi pierwszy krok... Ale pewnego dnia się obudzisz i będziesz bardzo szczęśliwa, że tak się stało. I że stało się to, gdy twoja córka była maleńka. Zrozumiesz, że bez Marca... o ile ten człowiek w ogóle tak się nazywa... wasze życie jest o wiele lepsze.

Uważnie wysłuchałam jej słów i zapisałam je sobie w pamięci, wiedząc, że pewnego dnia do nich wrócę. Od tamtej pory, gdy byłam już w stanie spędzać poza domem nawet kilka godzin, nasza trójka (a właściwie czwórka, jeśli liczyć gruchające niemowlę) regularnie, co kilka tygodni, spotykała się na kawie. W końcu zdradziłam Julii kilka straszliwych szczegółów mojej historii i pokazałam jej zdjęcia nowej dziewczyny Marca.

Teraz patrzę na jej ognistorude włosy wystające znad stojaka i zastanawiam się – za każdym razem na nowo – jak bardzo dwie siostry mogą być do siebie niepodobne. Odkąd pamiętam, żartowano w naszej rodzinie, że ciotka, niska apetyczna i rudowłosa, jest córką mleczarza. Zastanawiałam się w duchu, czy jest w tym żarcie choć ziarno prawdy. I nie tylko fizyczne różnice wprawiają mnie w konsternację. Ciotka jest jak petarda, słynie ze sprośnych dowcipów i emocjonalnych wybuchów, podczas gdy moja mama to oaza spokoju i uduchowienia, niewzruszona tafla jeziora, po której ślizga się cała nasza rodzina.

– Jest i moja śliczna młoda dama – mówi ciotka Julia, biorąc mnie w ramiona. – A raczej są moje śliczne młode damy. – Chichocze.

– Raczej śliczne dzieciaki – rzuca mama; siostry spoglądają na siebie i jednocześnie parszczą śmiechem.

Myśl o mleczarzu pryska.

– Mam ci do powiedzenia coś bardzo niepokojącego – mówię, gdy skręcamy w alejkę ze sklepami z asortymentem dla dzieci.

– Słucham? Jeszcze jakieś niepokojące wieści? Czy to w ogóle możliwe?

– Najwyraźniej Marco to niewyczerpane źródło mrozących krew w żyłach doznań – rzucam z krzywym uśmiechem i opowiadam o rozmowie telefonicznej tydzień wcześniej.

Nagle ciotka zatrzymuje się w pół kroku i stoi jak ten słup.

– Spójrz na moją rękę – mówi, podsuwając mi ją przed oczy. – Mam gęsią skórę.

– Obłąd, co?

– I mówisz, że to trwało przez cały czas? Te zdrady? Czekaj, czyli pewnie też zdradzał cię przed ślubem... – Julia marszczy brwi.

– Pewnie dziesiątki razy – odpowiadam. – Skoro przyłapano go aż trzykrotnie...

Julia wstrząsa się, jakby przeszedł ją dreszcz, po czym rusza naprzód.

– O mój Boże... – Znowu przystaje. Wspina się na palce i szepcze mi do ucha: – Założę się, że uprawiał też seks z tym swoim kolegą Tomaszem!

Oznajmia to tak poważnym tonem, że z trudem powstrzymuję śmiech.

– Niewykluczone – odpowiadam konspiracyjnym szeptem.

Sugestia ta pozostaje mi jednak gdzieś z tyłu głowy, gdy pakujemy do wózka mleko

w proszku i pieluchy. Wyjmuję telefon i wchodzę na profil Marca na Instagramie. Klikam na zdjęcie, które szczególnie zwróciło moją uwagę, odkąd opublikował je dwa dni temu. Autoportret zrobiony z góry: Marco leży na ręczniku plażowym, z twarzą i piersią połyskującymi od tłustego olejku, i układa usta w dzióbek. „Złapać trochę słońca” – głosi podpis.

Osoba na zdjęciu jest mi tak obca, tak niepodobna do mężczyzny, którego poślubiłam, że aż odwracam wzrok.

Nagle przypominam sobie to, co czytałam o worarefilii. No oczywiście! Psychopaci fantazjują, że są pochłaniani przez drugą osobę, ponieważ im samym brakuje własnej tożsamości. Odzwierciedlają zachowanie innych ludzi tak precyzyjnie, że w pewnym sensie faktycznie są „pożerani” przez swój obiekt, i działają tak, dopóki nie odwrócą sytuacji na swoją korzyść i nie rozerwą swej ofiary na strzępy. Być może w fantazjach o byciu pożeranym manifestuje się potrzeba wypełnienia pustki i uzyskania tożsamości.

Jeszcze raz spoglądam na zdjęcie. No jasne! Zamienił się w męski odpowiednik Croelli.

Czuję się tak, jakbym patrzyła na jakieś przebieranki; jestem świadkiem jego fizycznej i emocjonalnej przemiany w zupełnie nową postać. Przez pięć miesięcy lawirował między dwiema tożsamościami – mężczyzny, którego poślubiłam, którego sam nazywał „starym Markiem”, oraz zafiksowanego na punkcie pieniędzy bywalca klubów, co chwila strzelającego sobie selfie, czyli „nowego Marca”. Przez ostatnie miesiące te dwie osobowości prowadziły w nim wojnę; nie przeszedł jeszcze pełnej przemiany w osobę, którą chciał się stać, by przejąć kontrolę nad Croellą. Patrzę na zdjęcie, dopóki starcza mi sił, a potem wsuwam telefon do tylnej kieszeni dzinsów.

Ciotka Julia spaceruje między butami, a ja podchodzę do mamy.

– Jeszcze jedna sprawa, mamó. Marco napisał mi dzisiaj, że zamierzał „ukatrupić” tę kelnerkę, z którą się bzykał w Thirsty Owl. – Pewnym ruchem pcham wózek przed siebie. – Bo nie miał odwagi mi się do tego przyznać. Napisał, że mógłby to zrobić i nikt by się nawet nie dowiedział... – Palcami oznaczam cudzysłów. – Przysłał mi tę wiadomość całkiem zniecka. Czy to nie jest przerażające?

– Mówisz poważnie? – Mama staje jak oniemiała pośrodku alejki z pieluchami.

Parskam śmiechem. Najciekawsze jest jednak to, że prawie się nie wzdygnęłam na widok tego esemesa. Gdy przychodzą od niego wiadomości, po prostu wywracam oczami.

– Ale Jenny, jak myślisz, dlaczego ci to przysłał? – pyta mama, tonem dając mi do zrozumienia, że coś umknęło mojej uwadze.

– Żeby mnie nastraszyć? – zgaduję.

– A dlaczego miałyby to cię nastraszyć? – Mama nie daje za wygraną.

– Mogłabym się wystraszyć, bo... – Zaczynamy powoli iść dalej. – Bo informuje mnie, że zamierzał zabić osobę, która weszła mu w paradę. – Milknę, gdy dociera do mnie, co to tak naprawdę znaczy. – A teraz ja wchodzę mu w paradę.

– Tak, teraz ty wchodzisz mu w paradę, przeszkadzasz. W jego pojęciu to ty jesteś winna temu, że popadł w nielaskę rodziny. Stało się tak nie z powodu tego, co zrobił, ale dlatego, że go przyłapałaś – odpowiada mama.

– Jezu Chryste... Ale przecież gdy został przyparty do muru, to nie zranił mnie ani Louisy. Próbował zranić siebie. A przynajmniej chciał, żeby tak to wyglądało. Więc jakoś specjalnie się nie martwię. – Wkładam kilka chrupek do wyciągniętej rączki Lulu. – Czytałam, że większość psychopatów nie stosuje przemocy.

– No cóż, dziękować Bogu, że nie pojechaliście we trójkę na Peaks. – Mama kręci głową.

– Co masz na myśli?

– Jenny... – Mama zwraca się do mnie stanowczym tonem. – Domek na oddalonej od

cywilizacji wyspie w środku zimy... – Patrzy na mnie, jakby powiedziała coś oczywistego.

Śmieję się.

– Myślisz, że by nam coś zrobił? Mnie i Louisie?

– Zdarzają się wypadki... – odpowiada z powagą, a mną wstrząsa dreszcz.

Przypominam sobie, jak Marco szedł w moją stronę w kuchni, gdy próbowałam uciec do Maine... te jego ciemne i puste oczy... Jednak mimo wszystko przez te lata, które przeżyliśmy razem, nigdy nie przejawiał skłonności do przemocy.

– Niemożliwe – mówię, choć już się nie śmieję. – Naprawdę wątpię.

– Ja w każdym razie się cieszę, że tam nie pojechałaś. Nawet nie wiesz jak bardzo.

Drzemki Louisy wykorzystuję teraz na poszukiwanie pracy. Jakaś część mnie jest nieźle przerażona perspektywą powrotu do pracy, choć inna znów wprost się ekscytuje. Na moje CV składa się siedem lat aktorstwa i kilka lat pracy w charakterze asystenta prawnego i analityka w funduszu hedgingowym. Spędziłam godzinę na uzupełnianiu go dorywczymi zleceniami, które podejmowałam w czasie ciąży. Nie jest tego wiele, ale lepsze to niż nic, poza tym najwyraźniej okazało się na tyle dobre i wiarygodne, że dzisiaj idę na pierwszą rozmowę o pracę do małej kancelarii prawnej. „Nie jesteś jeszcze gotowa – szepcze mi jakiś wewnętrzny głos. – Wciąż zdarzają ci się napady paniki”. Kręcę głową i uciszam go, stojąc przed lustrem i nakładając róż na policzki. Wkładam czarną ołówkową spódnicę do kolan, którą pożyczyłam od siostry. Zerkam w lustro. W wąskiej spódnicy z wysokim stanem i jedwabnej bluzce wyglądam szczupło, ale na brzuchu została mi miękka fałdka po ciąży i po zbyt szybkiej utracie wagi. Wydobywa się ze mnie krótkie „Brrr”, gdy chwytam ją i odciągam. Przez całą ciążę, a zwłaszcza tuż przed porodem, martwiłam się, że trudno będzie mi schudnąć, i nie przyszło mi nawet do głowy, że będę miała zupełnie inny problem. Schudłam za dużo i zbyt szybko, i teraz w talii została mi oponka.

– Odradzałabym dietę – mówię na głos do swojego odbicia.

Zbieram włosy w koczek i wsuwam czarne szpilki kupione w zeszłym tygodniu.

– Świetnie wyglądasz. Trzymamy kciuki! – wołają rodzice, gdy przechodzę przez kuchnię do garażu.

– Dziękuję – odpowiadam nerwowo i przed wyjściem całuję Louisę w główkę.

W brzuchu mi się wywraca, gdy prowadzę samochód do Old Port. Rozmowa ma się odbyć w małej kancelarii mieszczącej się w urokliwym ceglany budynku przy brukowanej ulicy.

– Dzień dobry, jestem Jen. Byłam umówiona na spotkanie. Przyszłam trochę wcześniej – mówię ze spokojną pewnością siebie, a przynajmniej mam nadzieję, że tak właśnie brzmi ton mojego głosu.

– Dzień dobry. Zaraz dam znać. Proszę usiąść i poczekać. Świetny strój – świergocze młoda recepcjonistka i podnosi słuchawkę.

Uśmiecham się i biorę głęboki oddech. Poradzę sobie.

Siadając za wielkim stołem konferencyjnym, czuję przyływ pewności siebie. Ludzie są tutaj młodzi, trzydziestoparoletni, i zwracają się do mnie jak do rówieśniczki. Mówię, że przeprowadziłam się do Maine, bo mam małe dziecko. Po pół roku spędzonym jako pełnoetatowa mama chciałabym wrócić do pracy zawodowej. Wypowiadam to z wymownym uśmiechem, chcąc podkreślić, że ta ciężka praca dawała mi satysfakcję. Zupełnie jakbym nie odkryła, że wyszłam za mąż za psychopatę. Moi rozmówcy potakująco kiwają głowami i odwzajemniają uśmiech.

Pod koniec spotkania jestem już pewna, że zaproszą mnie na drugą rozmowę. Faktycznie, zanim zdążę skręcić z Shore Road w Haven Road, już dostaję mejl. Tak! Tak! Tak!

ISKRY

Kilkoro spośród moich znajomych, którzy sami doświadczyli głębokiej straty, pytało mnie, czy weszłam już w etap gniewu. A gdy odpowiadałam, że nie wiem, mówili, że gdy przyjdzie ten moment, na pewno się zorientuję. Gdzieś w głębi ducha byłam przekonana, że jestem osobą niezdolną do zapalczywości i że gniew, który niekiedy mnie ogarnia, zawsze jest otulony miłością i bólem serca niczym kamień mchem. Ale nagle dzisiaj, następnego dnia po rozmowie o pracę, czuję zniechęca jego przypływ.

Jestem wściekła.

Oburzona.

Jak. On. Kurwa. Śmiał.

Drepczę w kółko po pokoju, odgrywając w głowie rozmowy, które z nim odbędę, wyrzucając z siebie wszystko to, co powinnam mu była powiedzieć dwudziestego stycznia. Dusłam tę złość przez wiele dni. I teraz nie mam na co ją skierować. Mówię sobie, że trzeba być ponad tym i że to dobry objaw, iż robię postęp. Ale właśnie wtedy wylewa się ze mnie żółć pod postacią serii wiadomości do Marca. Przerywam milczenie, wysyłając mu plik najmniej korzystnych zdjęć Croelli, które są dostępne w sieci, z hasztagami: #kretyn, #wszystkospieprzyśleś!!! i #świetnywybór. Wiem, że to zachowanie poniżej poziomu i stać mnie na więcej, ale nastrój od razu mi się poprawia. Ciągnie się to przez kilka dni. Połowę wiadomości Marco kwituje: „Okej, Jen”, a na drugą połowę reaguje falą czułości: „Zawsze pragnąłem tylko jednego: rodziny. Chciałem tylko móc budzić się przy twoim boku co rano, do końca moich dni”.

Żebym tylko nie okopała się w tym gniewie na dobre, bo naprawdę czuję się z nim lepiej niż wcześniej i nie chcę, by mnie opuścił. Choć z drugiej strony nie powiem, jest wielkim ciężarem, który wszędzie ze sobą dźwigam. Zżera mnie. Z zaciśniętymi pięściami opowiadam o tym Lisie.

– A czego się spodziewałaś? Będziesz wściekła jeszcze długo. Spójrz na swoje życie. Na to, jaką opowieść stworzył na narodziny twojej córki. Masz jeszcze dużo gniewu do przetrawienia.

Rozmawiamy o narzędziach, jakie mogą być pomocne w pokonaniu tego stanu, o tym, żebym przestała zaglądać na ich profile w mediach społecznościowych i zaczęła raczej czytać książki o zaufaniu własnej intuicji.

– Chciałabym, żebyś odbudowała wiarę w swój wewnętrzny kompas – mówi Lisa. – Masz dobre odruchy, ale z jakiegoś powodu je zignorowałaś. Mówiłaś, że czułaś się nieswojo w pierwszych tygodniach związku z Markiem i że wasza restauracja wzbudzała w tobie podobne odczucia. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał ci: „Hola, hola, coś tu nie gra”, ale go zagłuszyłaś i robiłaś swoje. Musimy się dowiedzieć dlaczego i włożyć ci w ręce odpowiednie narzędzia, które będą ci pomagały do czasu, aż nauczysz się słuchać swojej intuicji.

To wszystko pięknie brzmi w teorii, ale pozostaję sceptyczna. Po prostu nie mogę przestać. Chcę ich ranić, ich oboje, i to dotkliwie. Chcę, żeby zapłacili za to, co mi wyrządzili.

Dziś po południu mam drugą rozmowę kwalifikacyjną w kancelarii. Szykuję się, a potem siadam na łóżku i wlepiam wzrok w telefon. Złość, która buzuje mi w żyłach, jest wspaniałym uczuciem. Dostanę atrakcyjną pracę i moje życie się ułoży. Ha! Wal się, Marco. Wysyłam mu kolejną serię zdjęć. Czekam na jakiś rodzaj rehabilitacji. Rozjaśnia się ekran telefonu. Przychodzi odpowiedź: „Ona przynajmniej wie, czego mężczyźnie trzeba do szczęścia”. I nagle złość znika, przegnana przez potok łez. Chcę się jej przytrzymać, ucześcić, ale odpłynęła już tak daleko, że zostałam u źródła rzeki sama, samiuteńka. Biorę Louise i schodzę na dół. Chowam twarz w jej

miękkich włosach i szepczę córeczce do ucha, że ją kocham i że będę się bardziej starać.

– Co się stało? – pyta tata szorstko, jak tylko spogląda na moją twarz.

– Nic takiego. Napisałam do Marca jakieś głupie złośliwości. Chciałam, żeby poczuł się jak idiota, że wybrał ją zamiast nas. Ale nie poskutkowało. Odpisał mi: „Ona przynajmniej wie, czego mężczyźnie trzeba do szczęścia”. – Wypowiadając ostatnie słowo, znów wybucham płaczem. – Wiem, że po tym wszystkim, co zrobił, powinnam być już do takich rzeczy przyzwyczajona, ale to nadal boli. Chcę, żeby zapłacił. Chcę, żeby cierpiał tak, jak ja cierpiałam. – Głos mi się łamie i przechodzi w urywane szlochy.

Mama otacza mnie ramieniem i delikatnie bierze ode mnie Louise.

– Nie możesz go zranić, Jenny – mówi tata. – Nie można zranić kogoś, kto nie ma uczuć. Czego byś nie zrobiła, żeby go zranić, on wróci i zrani cię jeszcze bardziej. Tak właśnie działa. Rani kobiety. Nie fizycznie, ale ma zestaw bardzo ostrych narzędzi, którymi kaleczy ich psychikę. Jest w tym mistrzem. Przychodzi mu to tak naturalnie jak oddychanie, a do tego sprawia wielką przyjemność. Za każdym razem gdy wysyłasz mu uszczypliwą wiadomość, karmisz jego ego i dodajesz mu sił. Dla niego to świetna zabawa – tata mówi szybko, rzeczowym tonem. – Może twoja terapeutka ma rację, gdy podkreśla, że on nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, co robi, że robi to podświadomie. Teraz, kiedy wiemy już, że zdradzał cię od początku waszego związku, stało się jasne, że nigdy nawet nie starał się być „dobrym mężem”. Nigdy nie miał dobrych intencji. – Tata zaciska i rozluźnia szczękę. – Musisz zrozumieć jedną prostą rzecz: ten człowiek karmi się twoim bólem.

Wiem, że tata ma rację. Uwolnię się od Marca dopiero wówczas, gdy stanie mi się obojętny. Biegnę do łazienki i ochlapuję twarz wodą. W pośpiechu poprawiam makijaż. Zerkam na swoje odbicie. Ujdzie. Pędzę na dół i wychodzę z domu.

– Pa! – wołam.

– Powodzenia! – odpowiadają mi unisono dwa głosy.

Wracam jeszcze na chwilę, żeby ucałować Lulu.

Jakimś cudem udaje mi się nie spóźnić na rozmowę. Poznaję jednego z partnerów, który podczas poprzedniego spotkania był w sądzie. Jest uroczy i nieśmiały. Nie obrzuca mnie spojrzeniem od pasa w dół i nie próbuje flirtować. Mówi, że jego żona jest na urlopie macierzyńskim i że niedługo wraca do pracy, a wtedy on pójdzie na urlop. Należy do mężczyzn, których wcześniej uważałam za kompletnych nudziarzy, ale teraz, ściskając mu dłoń na pożegnanie, wzdycham w duchu: „Czemu, czemu ja nie wybrałam kogoś takiego?”.

Gdy zaczynam się otwierać przed innymi kobietami i opowiadać im fragmenty swojej historii, okazuje się, że każda z nich ma własną lub dotyczącą bliskiej im osoby, w której też są bolesne epizody – czasem z zapalczywością wyrzucają z siebie słowa, które dusiły przez lata.

Na przykład Ava, koleżanka z Nowego Jorku. Jest niewyobrazalnie piękną kobietą, z gładką ciemną skórą, burzą czarnych loków i głębokimi brązowymi oczami. Pamiętam, że gdy pierwszy raz ją spotkałam, dziwiłam się, że jest tak przyjacielska, życzliwa i pomocna. Przeniosła się z Wielkiej Brytanii kilka miesięcy wcześniej, by rozwijać się zawodowo w aktorstwie. Wpadłyśmy na siebie w jednej z agencji, z którą obie współpracowałyśmy. Od razu się zaprzyjaźniłyśmy, bo jeszcze tego samego dnia okazało się, że mamy podobne wątpliwości, lęki i nadzieje związane z naszą karierą (a raczej jej brakiem). To, że byłyśmy tak od siebie różne fizycznie, było pewnie okolicznością sprzyjającą, bo instynktownie wiedziałyśmy, że nigdy nie będziemy rywalizować o role. Zaczęłyśmy razem wychodzić, umawiać się na wino u mnie w domu, wspierać się przed przesłuchaniami i rozluźniać się, gdy te przebiegały wyjątkowo nieprzyjemnie. Po moim wyjeździe do Maine co kilka dni dzwoniła do mnie i nagrywała wiadomości na skrzynkę. A ja, zamiast oddzwonić, zbywałam ją zdawkowymi esemesami: „Nic

mi nie jest. Nie mogę jeszcze o tym mówić. Opowiem ci o wszystkim, gdy już będę w stanie”. Sama myśl o rozmowie telefonicznej wykańczała mnie i wywoływała panikę. Ale Ava nie dawała za wygraną. Wciąż dzwoniła i pisała. W końcu dotarło do mnie, że ta dziewczyna, którą znałam zaledwie od roku, po cichu mnie wspiera i nie zostawi mnie samej sobie. Kilka tygodni temu, mniej więcej wtedy, kiedy poszłam na rozmowę o pracę, nagle poczułam potrzebę nawiązania kontaktu z przyjaciółką, która była mi tak wierna.

– Ava... – zaczęłam. – Przepraszam, że tak długo milczałam.

– Kochana, po prostu mów – rzekła tylko.

I tak zrobiłam, zaczynając od samego początku. Gdy doszłam do moich lektur na temat socjopatii, na chwilę zapadła cisza.

– Jen, właśnie doznałam cholernego objawienia – odparła swoim miękkim brytyjskim akcentem. – Myślę, że mój ojciec jest socjopatą.

Natychmiast przypomniałam sobie, jak kiedyś po kilku kieliszkach wina powiedziała mi, że jej tata jest obecnie z piątą żoną. Zszokowało mnie to, ale Ava zbyła to śmiechem; nigdy więcej nie poruszaliśmy tego tematu.

– Ojciec wdał się w romans, gdy miałam dwa lata, a mój brat był niemowlęciem – powiedziała mi teraz przez telefon. – Pewnego razu mama zadzwoniła do hotelu, w którym tata zatrzymał się podczas wyjazdu w interesach, i odebrała jego młoda ładna koleżanka. Była późna noc, mama od razu wszystkiego się domyśliła.

Ava mówiła dalej, po części do mnie, po części do samej siebie, po raz pierwszy układając wszystkie elementy w jeden obraz.

– Gdy byłam już nastolatką, powiedziała mi, że odłożyła wtedy słuchawkę i zwymiotowała do zlewu. Była zrozpaczona. Ojciec przekonywał ją, że to tylko okropny błąd i że skończy z tym. Błagał o jeszcze jedną szansę. Miała dwójkę małych dzieci i wydała wszystkie swoje oszczędności, by on mógł skończyć studia prawnicze, więc mu wybaczyła. A dwa lata później, gdy w końcu zyskała zaufanie, spakował walizkę i wyprowadził się do swojej kochanki, która, jak się okazało, mieszkała tuż obok... – Ava zaśmiała się lodowato. – Mama w końcu zrozumiała, dlaczego zaraz po tym, jak podobno zakończył swój romans, tak nalegał, byśmy się przeprowadzili.

Milczałam chwilę.

– Ale... – zaczęłam. – Mówiłaś, że ma piątą żonę?

– O tak. Poślubił kochankę, a potem porzucił ją dla innej kobiety. Potem znowu to samo. I znowu. Przez te wszystkie lata sądziłam, że po prostu jest kobieciarzem, a moja mama winiła siebie za rozpad małżeństwa. Ale ten cały cykl, te powtarzające się relacje, o których mówisz. Zrobił to wszystkim swoim żonom. I wiesz co, Jen... – wypowiedziała moje imię powoli – ...myślę, że zrobił to także i mnie.

Przez kolejną godzinę opowiadała, jak to było dorastać, walcząc o miłość ojca: zawsze na łasce i niełasce jego nastrojów, z nieustannie towarzyszącym mglistym wrażeniem, że byli dla niego z bratem tylko trofeami, którymi chwalił się przed światem, ilekroć miał taką potrzebę.

Była też Monica, właścicielka cukierni na Peaks Island, która powiedziała mi, że przed pięciu laty zaręczyła się z mężczyzną swoich marzeń. Spotykali się przez rok i kupili razem dom. Potem się oświadczył. Pojechała odwiedzić swoją siostrę na drugim końcu kraju, a gdy wróciła, zastała drzwi wejściowe zamknięte na klucz. Zdziwiła się, bo nigdy nie zamykali drzwi na zamek. Wyłowiła z torebki klucz, którego prawie nigdy nie używała, ale okazało się, że nie pasuje. Wyjęła telefon, by zadzwonić do narzeczonego, i właśnie wtedy zauważyła wiadomość głosową.

– Musiałam ją przesłuchać pięć razy, by dotarł do mnie jej sens. Powiedział, że między

nami koniec i że zmienił zamki w drzwiach. Tyle. Nie odbierał telefonu i nigdy więcej z nim nie rozmawiałam, to znaczy tylko poprzez prawników. A, no i tydzień później wprowadziła się do niego nowa kobieta. Z dwójką swoich dzieci. – Monica zamilkła na chwilę i uśmiechnęła się do Louisy. – Wiem, że mi teraz nie uwierzysz, ale to najlepsza rzecz, jaka mogła ci się przydarzyć.

I była Delaney. Kobieta, o której przypomniałam sobie tamtego dwudziestego stycznia i która od tej pory tkwiła w mojej głowie tuż pod powierzchnią świadomości pod pokładami rozpacz, strachu i złości. Kobieta, o której próbowałam zapomnieć, od kiedy poznałam ją dwa lata wcześniej. To była moja pierwsza reklama kosmetyków do włosów. L'Oréal zatrudnił mnie jako twarz nowej serii produktów do koloryzacji. Zamierzali ufarbować moje ciemnoblonde włosy na jaskrawy rudy i przemienić mnie z szarej myszki w olśniewającą ognistą heterę. Delaney była moją makijażystką. Od razu ją polubiłam. Jej twarz o klasycznie pięknych rysach, okolona długimi blond włosami, i idealny nosek kontrastowały z krzykliwą i barwną osobowością. Rozmawiałyśmy, gdy nakładała mi makijaż. Opowiedziałam jej o zaręczynach z Markiem, argentyńskim tatusiem, który zjawił się nie wiadomo skąd i chciał mi nieba przychylić. Wtedy Thirsty Owl była dopiero w planach, a ja z entuzjazmem perorowałam, że być może niedługo otworzymy własną restaurację.

– Wyszedłam za Kubańczyka – powiedziała Delaney, nakładając mi cień na powieki. – Zakochałam się w nim na zabój. Był niesamowicie przystojny i czarujący. Załatwiłam mu zieloną kartę. – Słuchałam uważnie, nie poruszając żadnym mięśniem. – Gdy byliśmy małżeństwem, wypuściłam linię kosmetyków do makijażu, która odniosła duży sukces na rynku. Mój mąż nie palił się do pracy, ale z jakiegoś powodu mi to nie przeszkadzało. Wspierał mnie, a moja firma miała duże zyski, więc wszystko było okej. Niedługo po tym, jak dostał zieloną kartę, odkryłam, że mnie zdradza. Z jakimś tuzinem kobiet, tak mniej więcej...

– O mój Boże... Naprawdę? To chore... – Ze zdumienia aż otworzyłam usta, gdy Delaney nakładała mi róż na policzki.

– Nie chcę cię straszyć – powiedziała, ostukując pędzel o paletę.

– O nie, nie. – Zaśmiałam się głośno. – Marco nigdy by czegoś takiego nie zrobił. To znaczy... dzięki, że mi zaufałaś, ale nie... – Znowu parsknęłam śmiechem, może nawet trochę zbyt głośno. – U mnie to całkiem inna sprawa. Marco jest moim najlepszym przyjacielem, moją drugą połówką. Nigdy nie zrobiłby czegoś takiego.

Szybko zmieniłam temat. Ale po dwudziestym stycznia jej opowieść chodziła mi po głowie, coraz intensywniej dobijając się do świadomości, aż w końcu po rozmowie z Avą postanowiłam napisać do Delaney.

„Nie wiem, czy mnie pamiętasz – robiłaś mi makijaż do reklamy L'Oréala. Kilka miesięcy temu urodziłam dziecko. Gdy moja córka miała zaledwie miesiąc, dowiedziałam się, że mój mąż ma kochankę. Mówiłaś, że spotkało cię coś podobnego. Nie wiem, dlaczego tak naprawdę do ciebie piszę. Po prostu poczułam, że nie bez powodu opowiedziałas mi o tym epizodzie ze swojego życia, i chciałam się z tobą skontaktować. Jen”.

Odpowiedź przyszła jeszcze tego samego dnia: „Jasna cholera. Zadzwoń do mnie”.

– Najpierw opowiedz mi wszystko po kolei – poprosiła, jak tylko odebrała, a gdy skończyłam, odparła: – Sama nie wiem, dlaczego ci o tym wtedy opowiedziałam. Prawie nikomu się z tego nie zwierzałam. Po prostu czułam, że powinnaś wiedzieć. W sposobie, w jaki opowiadałaś o Marcu, było coś szczególnego... Nie potrafię tego wytłumaczyć. Czułam, że muszę cię ostrzec.

Delaney dopowiedziała mi resztę historii, którą pominęła dwa lata temu. W ramach

postanowień rozwodowych musiała zapłacić mężowi pół miliona dolarów, czyli połowę wartości swojej firmy. Dopiero kilka miesięcy temu skończyła płacić mu alimenty.

– Zaraz, ale dlaczego musiałaś mu płacić alimenty, choć to on ciebie zdradzał? – pytam całkiem zbita z tropu.

– W Nowym Jorku nie ma orzekania o winie. Nikogo nie obchodzi, dlaczego się rozwodzisz. Majątek dzieli się na pół. A moją firmę uznano za nasz wspólny majątek, bo założyłam ją podczas trwania małżeństwa. Skończyło się na tym, że musiałam ją sprzedać, żeby spłacić jego część. Wszystko trzeba było zaczynać od nowa. Moja firma dopiero teraz nabiera rozpędu i muszę przyznać, odnosi większe sukcesy niż ta pierwsza. Ale wtedy nie miałam wyjścia, w przeciwnym razie mój były mąż do końca życia miałby połowę udziałów w mojej firmie. A ponieważ to ja byłam jedynym żywicielem rodziny, na pięć lat zasądzono mi alimenty na rzecz męża.

– Ożeż w mordę...

– Więc pod tym względem masz szczęście. Nie musisz dzielić majątku. Wygląda na to, że Marco zostawił ci tylko długi. Wiem, że w twoich oczach nie wygląda to różowo, ale uwierz mi, to pozytyw. To bardzo usprawni rozwód.

Delaney opowiedziała mi później, jak przeżyła rozwód i wyleczyła złamane serce, by na koniec stwierdzić, że cały ten związek był jedną wielką farsą.

– Wiesz, jestem inteligentna, pochodzę z dobrej rodziny. Naprawdę mam wiele do zaoferowania – odezwałam się, gdy Delaney skończyła swoją opowieść – więc dlaczego wybrałam takiego kolesia? Bo było mi go żal? Bo chciałam mu pomóc?

– Skarbie – w słuchawce jej głos zabrzmiał bardzo stanowczo – gdy znajdziesz się po drugiej stronie tego bagna, poczujesz w sobie taką moc, że będziesz mogła góry przenosić.

PRAWDA JAK OGIENÍ

Minął miesiąc, od kiedy ostatni raz kontaktowałam się z Markiem. Mam się dobrze. Zaczęłam pracować na pół etatu w małej firmie planowania finansowego. Louisa będzie chodziła do żłobka trzy razy w tygodniu. Po odliczeniu opłaty za żłobek zostanie mi dokładnie pięćdziesiąt osiem dolarów na tydzień, ale zawsze to powrót na rynek pracy, a przede wszystkim – do życia.

Rozświetla się ekran telefonu leżącego na stoliku nocnym. Zerkam na niego kątem oka. Wiadomość od Nat. „Rany, on naprawdę na to poszedł?”. „Na co?”. Nagle nachodzą mnie mdłości. „O nie, myślałam, że widziałas. Jego zdjęcie profilowe na Facebooku”. W tym samym czasie dostaję esemesa od Holly: „Trzymaj się, dziewczyno. Pamiętaj, że jesteś od niego bardziej wartościowym człowiekiem, a najlepszą zemstą będzie, gdy pozostaniesz na to obojętna”. Holly i Stella od początku zajęły tę samą pozycję: Marco to megapalant, ale nadstawianie drugiego policzka to najskuteczniejsza długodystansowa strategia dla mnie i dla Louisy.

Klikam w ikonę Facebooka i wpisuję w wyszukiwarce „Marco Medina”. Choć nie należymy już do swoich znajomych, nadal wyświetla mi się jego zdjęcie profilowe. Przez chwilę mój mózg nie jest w stanie zarejestrować tego, co widzą oczy: mężczyzna z nagim torsem i kobieta w bikini stoją na dziobie jachtu; on obejmuje ją ramieniem, ona całuje go w policzek. On w jednej dłoni trzyma koktajl. Jej długie włosy zasłaniają mu twarz. On uczesał swoje do tyłu. On skrzyżowała nogi w nienaturalnej pozycji à la Betty Boop. On wyduł usta w próżnym uśmiechu. Wpatruję się w to zdjęcie przez kilka minut. Po tym jak przez pół roku zaprzeczał temu romansowi, czuję się, jakbym oglądała wielkanocnego króliczka jadącego na jednoróżcu. Pod zdjęciem są dwa komentarze. Klikam na nie drżącym kciukiem.

„Nie!!!” – od jego taty. Biedny Oscar... Współczuję mu przez ułamek sekundy, po czym mój wzrok pada na następny komentarz od jednego z najlepszych kolegów Marca: „Zdajesz sobie sprawę, że cudzołóstwo jest wykroczeniem, prawda?”.

O mój Boże. Oddycham. Siedzę i wpatruję się w zdjęcie. Pojawia się komentarz za komentarzem, przy czym połowa autorów potępia Marca, a druga nie ma pojęcia, że blondynka na zdjęciu to nie ja. Co chwila naciskam „Odśwież”. „Ale laska z naszej mamuśki! Ulala!” – napisał jeden z naszych współpracowników. Chryste. Kilka minut później pojawia się połyskująca łysina Andrew, a obok jego odpowiedź: „To nie nasza mamuśka, mój drogi”. Gdy znów odświeżam stronę, wszystkie komentarze znikają.

Nie potrafię oderwać wzroku.

Gdy odświeżam ponownie, wszystko w żołądku mi się zaciska. Pięć nowych komentarzy. Jak to w ogóle możliwe? Klikam na nie. Przez chwilę nie rozumiem, co widzę. Mam przed oczami pierwszy komentarz Oscara: „Nie!!!”, a pod nim ten o cudzołóstwie. Przez ułamek sekundy zastanawiam się, czy Facebook nie padł ofiarą jakiegoś wirusa, który replikuje usunięte komentarze. Przesuwam kursor do góry i nad każdym zrzutem ekranu dostrzegam twarz Holly. Publikuje zrzuty ekranu szybciej, niż Marco nadaża je usuwać! Na każdy usunięty przypadają dwa nowe, aż jedenaście świeżych komentarzy (plus „Nie!!!” Oscara oraz ten o cudzołóstwie) rozwija się pod jego zdjęciem jak szpula przędzy. W końcu wszystkie znikają, jeden po drugim, i zostaje tylko samo zdjęcie niczym ostentacyjny proporzec degrengolady.

„Wybacz, kochana, ale trochę mnie, kurwa, poniosło” – pisze do mnie Holly.

Uwielbiam ją.

Wieczorem dostaję dziesiątki esemesów i wiadomości na Facebooku. Wszyscy, którzy albo nie wiedzieli, co się stało, albo czekali na jakiś odpowiedni moment, by się ze mną

skontaktować, robią to właśnie teraz. „Co jest, kurwa?!”, „Zbiera mi się na mdłości”, „Szuja stulecia!”, „Szkoda na nich nerwów. Im szybciej o nich zapomnisz, tym lepiej. Niech utoną we własnym szambie”.

Przez ostatnie kilka dni coś we mnie narastało. Na początku sądziłam, że to mój wierny przyjaciel gniew. Ale to nie on. Wywołuje podobne doznania, ale to coś innego. Skupiam się na tym uczuciu i pozwalam mu dojrzeć. Wiem już, czym ono jest. To żądza krwi. Chcę zemsty. Czuję jej smak – metaliczny posmak na czubku języka. Zaraz rozpęta się burza; sztormowe wiatry chłoszczą mnie od środka. Wiem już, że prawda, tak jak ogień, rodzi się z iskry. Z początku widziałam tylko chmury dymu. Oślepiąca nim, szłam dalej, potykając się i zaciskając piekące oczy. Ale potem od jednej iskry zapłonęło całe ognisko. Ogień rósł. Płomień za płomieniem. Otaczający go dym powędrował w górę. Ogień się rozszalał. Moje ciało się rozpałiło, a powietrze nagle stało się czyste. Otworzyłam oczy, obraz stał się jasny i klarowny. I teraz, gdy w moim wnętrzu płonie ten ogień, nie ma odwrotu. Wiem gdzieś tam głęboko w kościach, że w końcu sprawiedliwości stanie się zadość. Marco i Chorwatka zniszczą się nawzajem; miliony złych decyzji rozsądzą ich związek na strzępy.

Dla każdej kobiety, którą kopnięto jak worek śmieci po tym, jak zaufała mężczyźnie i powierzyła mu życie. Dla każdej kobiety mającej dziecko z człowiekiem, który uważa, że obowiązki rodzicielskie sprowadzają się do wzięcia dzieciaka raz na miesiąc do kina. Dla każdej kobiety, która wzdycha w duchu: „Jego karma go w końcu dopadnie”. Dla każdej kobiety, która została zdradzona, wykorzystana, oszukana, niedoceniona. Następna część jest przeznaczona dla każdej takiej kobiety.

WSTAJE NOWY DZIEŃ

Zdenerwowana, ale pełna życia i energii, siedzę przed gabinetem Lisy, niecierpliwie czekając, aż wysunie przez drzwi głowę i zaprosi mnie do środka. Minęło pół roku, odkąd po raz pierwszy przekroczyłam próg jej gabinetu, przyglądając się tej świetnie zorganizowanej kobiecie o inteligencji jak brzytwa i myśląc smutno, że też kiedyś taka byłam. Rytmicznie bujam nogą i bawię się naszyjnikami, który podarowała mi Stella: mały niebieski kamyk na prostym złotym łańcuszku.

– Jen? – Lisa woła mnie z uśmiechem.

Natychmiast wstaję i chwytam moją torebkę leżącą obok.

– Jak się masz? – pyta Lisa i siada na krześle.

– W porządku – odpowiadam. Stukam butem o podłogę i biorę głęboki oddech. – Tak naprawdę to chciałam z tobą o czymś porozmawiać. Przez ostatnie kilka tygodni coraz więcej myślę o pewnej sprawie. Pojawił mi się w głowie pewien pomysł. Jestem nim bardzo podekscytowana, a towarzyszą mu pozytywne uczucia, zupełnie jakby zrodził się w jakiejś silnie ugruntowanej przestrzeni.

Lisa patrzy na mnie zachęcająco. Pomysł krąży mi w głowie od kilku tygodni, ale dotąd odsuwałam go od siebie. „Niewykonalne – mówiłam w duchu. – Wymaga poświęcenia i mnóstwa czasu”. W końcu jednak postanowiłam posłuchać swojej intuicji. Pozwolić tej idei dojrzeć, zapuścić korzenie we wszystkich komórkach mojego ciała.

– Im więcej o tym myślę, tym bardziej skłaniam się ku pewnej decyzji. – Biorę jeszcze jeden głęboki oddech. – Wydaje mi się, że chciałabym zostać kimś w rodzaju terapeutki specjalizującej się w zaburzeniach osobowości, kimś, kto pomaga kobietom wyzwolić się z toksycznych relacji.

Ostatnie słowa wypowiadam z podekscytowaniem. Spodziewam się, że Lisa skwituje je śmiechem. Albo delikatnie zasugeruje, że jestem zbyt pokieraszowana, by móc komukolwiek nieść pomoc. Ale ona tylko siedzi, wyprostowana na krześle.

– Tak. – W końcu się odzywa. – Tak. Tak. Tak. Czekałam, aż to powiesz. No to pomówmy o tym.

Z pewną ostrożnością wypytyuję ją o jej własne tło zawodowe, nie wiem, z jakiego rodzaju problemami osobistymi może się borykać jako terapeutka. Odpowiada mi bez ogródek:

– Są dwie drogi, by zostać licencjonowanym terapeutą. Możesz zrobić LCSW albo LCPC.

Wyjaśnia mi, co oznaczają. Z zapalem wszystko notuję. Lisa mówi mi, że na swoją uczelnię chodziła tylko latem, od czerwca do sierpnia, a jesienią, zimą i wiosną odbywała praktyki.

– Czy te praktyki są płatne? – pytam z nadzieją.

Muszę zacząć zarabiać. Przez ostatnie miesiące żyłam na kredyt. Na szczęście nie płacę czynszu, a do niedawna potrzeby Louisy były zaspokajane przede wszystkim przeze mnie. Niedługo jednak będziemy potrzebowały własnego lokum, a ja będę musiała udowodnić, że potrafię utrzymać siebie i córkę.

Teraz potrafię lepiej zrozumieć, dlaczego kobiety zostają przy swoich mężach i trwają w przemocowych związkach, zwłaszcza jeśli mają małe dzieci. Wydawałoby się, że kobieta powinna wyjść z takiego położenia, by chronić dzieci. Ale przez te kilka pierwszych miesięcy tak bardzo cierpiałam z powodu utraty Marca i swoich marzeń, że z trudem funkcjonowałam. Nie mogłam jeść. Nie mogłam spać. Trzęsłam się ze strachu. Oddałam Louise pod opiekę moich rodziców. Wiedziałam, że będzie bezpieczna, a ja będę miała warunki, by przeżyć konieczne

emocje, smutek, rezygnację i gniew. A co z kobietami, które nie mają takiego wsparcia? Którym brak środków, by odejść?

– Niestety nie. Przez trzy lata nie dostajesz żadnego wynagrodzenia. Ale potem możesz otworzyć prywatny gabinet.

Rozmawiamy też o innych kierunkach studiów w dziedzinach pracy społecznej i doradztwa psychologicznego. W Maine jest kilka przyzwoitych uczelni, a część kursów oferowana jest online.

Wychodzę od Lisy podekscytowana. Tak. Naprawdę coś jest w stanie mnie pobudzić. Wspominam siebie sprzed pół roku, gdy sądziłam, że nigdy już nie wybuczę swoim piskliwym śmiechem hieny. Śmiechem, który kiedyś wydobywał się ze mnie naturalnie, zanim nauczyłam się go powstrzymywać. A jednak kilka tygodni temu wybuczałam tym mięsistym dwutonowym piskiem. Nie pamiętam nawet z jakiego powodu, ale pamiętam, że pomyślałam wtedy: „Boże, mój prawdziwy śmiech!”. Opuszczając gabinet Lisy, mam to samo uczucie, tylko jeszcze wyraźniejsze. Kiedyś, w pewnym punkcie swojego życia, przestałam odczuwać radość związaną z moją własną osobą, ciesząc się tylko z tym, co wiązało się z Markiem. Przeżywałam jego sukcesy, jego przyjemności, jego marzenia. A teraz przepelnia mnie cudowne, ugruntowane, przesywające na wskroś uczucie podekscytowania odnoszącego się do mnie samej i do mojej córki. Chcę jej pokazać, czym jest siła, że nic w tym złego, gdy człowiek się potknie, nawet gdy upadnie i stłucze sobie tyłek. Bo w końcu się podniesie. Chcę rozbudzić w niej inspirację. Nauczyć ją, że aby się odnaleźć, trzeba przejść przez piekło. Chcę, by wiedziała, że nie musi być dla nikogo lekarzem ani zaprzedać się, by kogoś kochać. Chcę, by wiedziała, że to dzięki niej, tak, właśnie dzięki niej, dostałam tę cudowną szansę, by żyć życiem, do którego zostałam powołana. Naszym życiem.

Budzę się w ciszy i od razu obracam się na drugi bok, by sprawdzić godzinę. Jest wpół do siódmej rano. Z pokoju Louisy nie dobiega jeszcze kwilenie. Rozkoszuję się chwilą spokoju, przeciągam się, rozprostowuję ręce i nogi, macham palcami u stóp. Zapalam lampkę na stoliku nocnym i czekam, aż oczy przyzwyczają się do światła. Zastanawiam się, czy uda mi się zakraść do łazienki i umyć zęby, zanim Louisa się obudzi. Powoli opuszczam jedną nogę na podłogę, ale gdy na palcach drobię do łazienki, podnosi się przeraźliwy wrzask. Seb odwiedził nas po raz pierwszy od czasu mojego wyjazdu z Nowego Jorku, teraz śpi obok, w moim dawnym pokoju, drzwi obok. Nie chcę, żeby Louisa go obudziła, więc szybko zmieniam kierunek i idę do pokoju malej.

– Czy to moje kochane maleństwo? – szepczę, otwierając drzwi i zerkając przez szparę.
– O tak, z pewnością słyszę moje maleństwo!

Lulu przytrzymuje się rączkami szczebelków łóżeczka, na przemian wstając i kucając. Gdy do niej podchodzę, jej twarz się rozpromienia i mała wydaje z siebie radosny okrzyk, że ją znaleziono. Rozpinam becik i wyjmuję ją z łóżeczka.

– Cześć, zwierzątko – mówię do karuzeli wiszącej pod sufitem. – *Un, deux, trois, quatre, cinq* – recytuję cicho w kierunku pięciu gwiazdek upiętych na oknie.

Trącam nosem i ustami czuprynkę Louisy i wdycham zapach miodowego szamponu.

– Chodź, popatrzysz, jak myję zęby – mówię.

Zanoszę ją do łazienki i stawiam na podłodze. Patrzy na mnie, jak przygotowuję szczoteczkę, a gdy wkładam ją do buzi, uśmiecha się.

– Wiem – mówię z buzią pełną piany. – To dość zabawne.

Podnoszę córeczkę i sadzam na biodrze; potem schodzimy do kuchni, gdzie krzątają się już moi rodzice. Mama nalewa gorącą kawę, a tata wyjmuje naczynia ze zmywarki.

– Lulu!!! – wołają oboje, a Louisa w odpowiedzi promiennie się uśmiecha i podskakuje,

odpychając się na moim biodrze.

Jest niedzielny poranek. Lato ma się już ku końcowi, i choć w południe temperatura wynosi jakieś dwadzieścia siedem stopni, ranki są chłodne, a nocą pierwszy ziąb zapowiada nadchodzącą jesień, a za nią zimę.

– Jak spałaś? – pyta mama, wyjmując jeszcze jeden kubek z szafki.

– Jak kamień. Do szóstej trzydzieści pięć nawet nie zaglądałam do małej. Więc przespałam jakieś... dziewięć godzin.

– To świetnie – mówi mama, płynnie wymieniając kubek z parującą kawą na Louise, którą bierze w ramiona.

Z rozkoszą upijam kilka łyków, wpatrując się w moją córeczkę.

– Jest niesamowita – wzdycham.

Louisa wyrывa się, by dosięgnąć iPada leżącego na kuchennym blacie. Potem tata rozstawia w bibliotece szachownicę, a ja z Louisą za rękę spaceruję po pokoju krokiem pijanego marynarza.

– Kochani, zobaczcie! – wykrzykuję, podczas gdy moja córeczka stawia stópkę, trochę zbyt krzywo, i potyka się. – Była tak blisko! Zaraz sama zacznie chodzić!

Idziemy z mamą i Louisą do Scratcha, by uzupełnić zapasy granoli i różowego wina. Piekarnia wygląda przytulnie i tętni życiem. Zapach croissantów i świeżo wyjętych z pieca bajgli uderza w nozdrza, gdy tylko otwieramy skrzypiące drewniane drzwi.

– Jakie piękne oczęta! I jaka piękna skóra! Co za szczęściara – mówi młoda ekspedientka. Obrzucam wzrokiem swoje blade ręce i śmieję się.

– Jej tata jest z Argentyny.

– A! To taki patent... – Sprzedawczyni się śmieje. – Gratulacje – dodaje, puszczając do mnie oko.

Czuję skurcz w podbrzuszu.

– Tak się składa, że... – zaczynam, ale zaraz milknę. – Tak – rzucam z wąskim uśmiechem. – Ma dużo szczęścia.

Seb budzi się około dziesiątej i wchodzi do pokoju, przecierając piąstkami oczy.

– Cześć, co słyhać? Jakie plany na dzisiaj?

Gdy kilka dni temu usłyszałam chrzęst opon samochodu Nat na naszym zwirowanym podjeździe, zerwałam się z kanapy i pobiegłam do drzwi. Na krótką chwilę zatrzymałam się, nie wiedząc, co poczuję na widok Seba po tych wszystkich wydarzeniach. Ale gdy wysiadł z samochodu, był już tylko Seb. Kochany mały Seb.

– Masz już nos dorosłego mężczyzny – powiedziałam, biorąc go w ramiona.

– Wiem. – Uśmiechnął się z dumą. – Mama twierdzi, że z dnia na dzień nabrałam męskich rysów twarzy.

I teraz odpowiadam mu:

– Może wybierzemy się na Ferry Beach? – Dobrze wiem, że to ulubiona plaża Seba, na której godzinami polował kiedyś na kraby pustelniki.

Gdy jesteśmy już na miejscu, pytam chłopca, czy miałby ochotę przejść się ze mną na spacer. Potakuje ochoczo, ale przeczuwa, że chodzi o coś więcej niż tylko spacer.

– Wiem, wiem – na jednym wydechu odpowiada Seb. – Spodziewałem się tego.

– Bystry z ciebie chłopak. – Śmieję się. – Obiecuję, że będę się streszczać. Chcę, żebyś wiedział, że jeśli kiedykolwiek będziesz miał ochotę porozmawiać ze mną o tym, co się wydarzyło, albo mnie o coś zapytać, to możesz. O cokolwiek. Zawsze.

– A tak, wiem – kwituje Seb. – Dużo rozmawiałem z mamą.

– To dobrze. Cieszę się, że jesteście z mamą tak sobie bliscy. Zależy mi na tym, żebyś

zrozumiał, że nikt nie był w stanie tego przewidzieć. To nie było tak, że dorośli mieli przed tobą jakieś wielkie sekrety, do których nie chcieli cię dopuścić. To był szok dla wszystkich. – Niezdarnie prowadzę mój wywód. Nie chcę, by z powodu tego, co się stało, Seb zaczął wątpić we własne postrzeganie rzeczywistości.

– Tak, tak, wiem, wiem – Seb potakuje, kiwając głową.

– I mam do ciebie pytanie. – Biorę głęboki oddech. – Wiem, że okoliczności były trochę inne, ale jak to było dorastać z jednym tylko rodzicem w domu?

Seb obrzuca mnie tak przenikliwym spojrzeniem, że boję się odpowiedzi i tego, co będzie ona znaczyła dla Lulu. Przypuszczam, że powie mi, że było ciężko, że zawsze odstawał od innych dzieci. Ale nagle na jego twarzy wykwita uśmiech.

– Żartujesz? Rozstanie moich rodziców to najlepsza rzecz, jaka mnie spotkała. Cały czas o tym rozmawiamy z mamą. Jak bardzo uwielbiamy życie we dwoje.

– Naprawdę? Mówisz poważnie?

– Z ręką na sercu. – Rozbryzguje nogą wodę, która liże jego stopy. – To znaczy... kocham mojego tatę. – Spuszcza wzrok i sprawia wrażenie zmieszanego.

Chciałabym go przytulić i powiedzieć, że wszystko w porządku, że ma prawo kochać swojego tatę, lecz zamiast tego uśmiecham się tylko.

– Ale jesteśmy z mamą dobrymi przyjaciółmi – podejmuje Seb – i mamy razem superfajne życie. – Milknie, a ja pozwalam, by wiatr osuszył łzy spływające mi po policzku. – To wszystko? – pyta. – Mogę już iść polować na kraby?

Tego wieczoru, gdy podczas kąpieli polewam Louise ciepłą wodą z zabawkowej konewki, układam w głowie list:

„Louisa. Louisa”. Wciąż powtarzam Twoje imię. Przebiegam językiem po sylabach. Nie znam słodsze słowa. Patrzę na Ciebie i coś sobie uświadamiam. Ta część mnie, o której sądziłam, że wyrwał mi ją Marco... Ta, którą uważałam za utraconą, a ziejącą po niej pustkę za nie do wypełnienia... Tej pustki tam nigdy nie było. Nigdy nie było wyrwy. Marco nic mi nie odebrał, bo od początku byłam pełnią. I tego chciałam Cię nauczyć, kochanie. Urodziłaś się doskonała, bez żadnych braków. Spójrz tylko na siebie.

Pamiętam te noce w szpitalu, tuż po Twoich narodzinach. Płakałaś i płakałaś, całą noc, tak głośno, że pielęgniarka w końcu zajrzała do pokoju. „Wszystko w porządku?” – spytała zaniepokojona. „Nie wiem, co robić” – odparłam i sama wybuchłam płaczem. Marca nie było przy mnie od kilku godzin, powiedział, że musi iść do pracy, załatwić jakieś nedoróbki. Z kilku godzin zrobiło się sześć, aż przyszła druga nad ranem. Nie przestawałaś krzyczeć. Przystawiłam Cię do piersi i zacisnęłam zęby, gdy dłońmi ścisnęłaś mój sutek z siłą prasy do odpadów. Kołysałam Cię. Śpiewałam. Chodziłam w kółko po ciasnym pokoju, bujając Cię i tuląc. Czekałam, aż zaleje mnie fala miłości. Czekałam, aż popłynie w moich żyłach ta instynktowna matczyzna miłość, przy której ból i wrzask przestaną cokolwiek znaczyć. Zamiast tego ogarniała mnie coraz większa panika. Tak naprawdę chciałam powiedzieć pielęgniarce: „Chyba nie dam rady. Strasznie mi przykro, ale chciałabym cofnąć czas. Proszę, pozwólcie mi to wszystko odkręcić”. Tymczasem poprosiłam ją, by pokazała mi, jak poprawnie zawinąć becik. Opatuliła Cię, ciasno i ściśle, i zasnęłaś na całe pięć godzin. Marco wrócił za kwadrans trzecia, w środku nocy.

Gdy przywieźliśmy Cię do domu, myślałam, że napad paniki ustąpi, a w jego miejsce powoli wsączy się miłość. Ale panika narastała. Chaotyczna i intensywna. Nie potrafiłam nawet powiedzieć, co konkretnie tak mnie przerażało. Wiedziałam tylko, że muszę przedrzeć się przez własną skórę i uciec, zostawiając pustą skorupę mojego ciała, żeby zajmowała się Tobą i całym

tym nowym życiem, które się przede mną rysowało. Gdy znalazłam tamten mejl, nagle przybyło mi tyle zmartwień, że panika, hormony i Ty, moja kochana, zeszyście na plan dalszy. Mówiłam sobie i innym, że z powodu tego, co zrobił Marco, straciłam Cię z oczu na kilka miesięcy. Gdy znajomi mnie pytali, jak się czuję jako świeżo upieczona matka, kręciłam głową i odpowiadałam z krzywym uśmiechem: „Szczerze mówiąc, nawet nie pamiętam wiele z pierwszych miesięcy życia Louisy”, na co natychmiast odpowiadali: „Oczywiście, przeszłaś przecież piekło, ale na szczęście miłość do Louisy pomogła Ci przetrwać. Co za błogosławieństwo”. Potakiwałam, przyznając, że Marco skradł nam ten czas, mnie i Tobie. Doskonała wymówka.

Prawda jest jednak taka, że nie zakochałam się w Tobie od pierwszego wejrzenia, tak jak w Twoim tacie. W Marcu zakochałam się, zanim zdołałam go tak naprawdę poznać. Było to kapryśne uczucie, od którego miałam motyle w brzuchu i zawroty głowy. A w Tobie zakochiwałam się stopniowo. Najpierw w Twoich miękkich złotych włosach. W Twoich tłuściutkich rączkach. W Twoim szerokim bezzębny uśmiechu, który prawie nigdy nie schodzi Ci z ust. Zadurzyłam się w Twoim zmarszczonym czółku i rozdzierającym płaczu, który rozlega się, ilekroć się przewrócisz, i od którego Ziemia drży w posadach. W Twoich ostrych piskliwych wrzaskach i niskim lwim ryku. A gdy ta mała sadzonka mojej miłości wypuściła korzeń, zaczęła rosnać. I zrozumiałam, że nie chodziło o to, że Cię nie kochałam. Chodziło o to, że nie rozpoznałam, że zakochuję się w Tobie powoli, w sposób czystszy, głębszy i prawdziwszy niż wszystko, co do tej pory przeżyłam.

Lulu wstaje w wannie, wrywając mnie z zadumy. Otulam ramieniem jej śliskie ciało i sadzam z powrotem. Marszczy brewki, znowu się podnosi i radośnie popiskuje:

– Ga, Lu!

Łapię ją za nadgarstek, zanim stópki zdążą wyslizgnąć się spod jej ciała.

– No dobra, koniec kąpieli. Kąpiel kończy się wcześniej, gdy Lulu upiera się, by wstawać – mówię i owijam ją rącznikiem.

Lulu otwiera i zamyka bużkę jak ryba i patrzy na mnie spod frotowego kaptura. Kładę ją na jej pizamie, a ona się wije i próbuje ze mną walczyć ostatnim zrywem energii.

– Ha! Gotowe! – wykrzykuję tryumfalnie, gdy udaje mi się zapiąć ostatni zatrzask.

Moi rodzice całują ją na dobranoc, a na schodach słyszymy jeszcze ich pożegnanie:

– Kochamy cię, Lulu.

Lulu leży obok mnie i pije ze swojej butelki, a ja myślę o tym, jak bardzo kochałam Marca i jak bardzo mi przykro, że nie mam już męża, ale też o tym, że wolę życie bez męża niż takie zbudowane na kłamstwie. To, które mam, życie z moją córką, wydaje się rzeczywiste w sposób przekraczający wszelkie moje wyobrażenia. Jestem szczęśliwa.

Louisa opróżnia butelkę. Przekręcam jej bezwładne, upojone mlekiem ciało, i poklepuję ją po plecach.

– Dobranoc, zwierzęta – rzucam w kierunku karuzeli, gdy obok niej przechodzimy. – *Un, deux, trois, quatre, cinq* – liczę gwiazdki, odkładając Lulu do łóżeczka. – Śpij dobrze, moja słodka. Do zobaczenia rano – szepczę jej do ucha. – Kocham cię, jak nie wiem co.

PODZIĘKOWANIA

Na każdy sukces składają się miliony, miliardy drobnych chwil, słów, czynów podarowanych nam przez innych ludzi (choć zrazu możemy nie postrzegać ich jak dar). Dotyczy to zwłaszcza tej książki. Dlatego teraz chciałabym podziękować...

Mojej nieustraszonej i dzielnej agentce Myrsini Stephanides za to, że mój rękopis nie trafił na półkę odrzuconych propozycji.

Mojemu redaktorowi za mądrość i wyczucie oraz pokojowe nakłonienie mnie do poprawek, dzięki którym książka stała się lepsza, a także za to, że występował w mojej sprawie w nie zawsze przyjaznym świecie wydawniczym.

Mojej doradczynie literackiej Suzanne Kingsbury, która dodawała mi odwagi w całym tym przedsięwzięciu.

Lynsey i wszystkim moim siostrom w walce – byłyście dla mnie wsparciem przez dwadzieścia lat. Dziękuję, że towarzyszyłyście mi w ciemności do czasu, aż ujrzałam światło.

Mojej bratniej duszy – Aga, dziękuję, że kosztem własnego snu odpowiadałaś na wszystkie moje nocne esemesy.

Moim rodzicom – słowa nie wyrażą... No właśnie. Próbowałam dokończyć to zdanie i cztery razy kasowałam. Bez Was nie byłoby tej książki. Ani niczego innego. Dziękuję, że nas uratowaliście.

I wreszcie dziękuję Czytelnikom – jestem z Wami.

**SAMO
ŻYCIE**

HISTORIE, KTÓRE
WYDARZYŁY SIĘ
NAPRAWDĘ

Jen Waite

Z RAJU DO PIEKŁA

Opowieść o małżeństwie i zdradzie

